

czerwiec '89

**kultura**

**NIEZALEŻNA**

**52**

czerwiec '89

# kultura

# NIEZALEŻNA

Miesięcznik

Komitetu Kultury Niezależnej

Warszawa

52

1989

WYDZIAŁ KULTURY I SZKOLNICTWA  
M. ST. WARSZAWY

## SZKICE

- Krystyna Kersten - Powojenne wybory  
intelektualistów - 3  
Anna Łukowska - Borowski i Szałamow  
- dwie dole - 42

## PROZA

- Bohumil Hrabal - Flet czarodziejski - 65  
Edward Balcerzan - Bumek Narozny Dom - 78

## WIERSZE

- Konrad W. Tatarowski - 97

## RECENZJE

- Juliusz Jarosławski - Źródło życia - 102  
Piotr Sliwiński - Po zapaści - 108  
Magdalena Lubelska - Podpolje encor - 138  
A.H. - Stare grzechy - 139  
A.H. - "Chcica" - 139  
Marek Wojgienia - Ludzie chcą poezji - 145  
Dorota Chamczik - Vaclav Havel.  
Zabrania się...? - 155

## REALIA

- Andrzej Osęka - POLCUL - "Po wsze  
czasy" - 162

- WYDARZENIA /red. Leon Bober/ - 166

Copyright by

KULTURA NIEZALEŻNA

Numer oddano do druku

1 czerwca 1989 r.



Masz. 22 99

# SZKICE

KRYSTYNA KERSTEN

## POWOJENNE WYBORY INTELEKTUALISTÓW

Jeżeli się nie żyje tak jak się myśli,  
Zaczyna się myśleć tak, jak się żyje.

Hanna Malewska: "Uwagi  
o wolności myśli".

"Dziś i Jutro",  
23 V 1948

Rzucam was, prorocy, mistrze i  
wzbawiciele  
Wystarczy mi uliczka. Pragnę tak  
niewiele.  
Żyjemy w czasach, kiedy konieczny jest  
wybór

A ja się urodziłem jedną z szachowych  
figur.

Andrzej Braun: "Do Jerzego.  
Rozmowa w gronie przyja-  
ciół". "Twórczość", 1948,  
z. 1

Postawy polskiej inteligencji, a zwięsz-  
cza intelektualistów, wobec sytuacji jaka  
została Polsce narzucona na przełomie wojny  
i pokoju, nieco zaś później postawy wobec  
intelektualnego i moralnego wyzwania które  
niósł za sobą postępujący proces komunis-  
tycznej totalitaryzacji kraju wraz z ściś-  
le z nim związaną unifikacją i uniformiza-  
cją w ramach bloku radzieckiego - to temat



animujący umysły od kilku lat. Waga jego, atoli, wykracza poza współczesne konteksty i wynikające stąd zainteresowania, jak też emocje. To temat ważny, mieści się bowiem w wielkim dyskursie o kondycji intelektualistów - nie tylko przecież polskich - w naszym wieku dwudziestym, z jego dwiema wojnami światowymi, totalitaryzmami, krwawymi dyktaturami, ludobójstwem, masowymi przesiedleniami obejmującymi dziesiątki milionów istnień ludzkich, z torturami stosowanymi w krajach chlubiących się przynależnością do europejskiej, chrześcijańskiej kultury, z obozami koncentracyjnymi i łagrami, z klęską wreszcie dwóch potężnych ideologii, przyświecających dziewiętnastemu stuleciu: komunizmu i nacjonalizmu, z załamaniem wiary w postęp; wieku, kończącego się pytaniem o kształt zagrożonego klęską ekologiczną świata.

Mowa o intelektualistach, ale nic bardziej mglistego niż to pojęcie. Lewis A. Coser w swojej książce "Men of Ideas" stwierdzał, że niewiele jest pojęć równie nieprecyzyjnych i równie kontrowersyjnych wartościowo /1/. Istotnie, pojęcie "intelektualista" nie ma jasno wyznaczonej, powszechnie przyjmowanej substancji znaczeniowej; próby ustalenia cech, kształtujących zbiór "intelektualiści" okazywały się jak dotąd zawodne /2/. Samo słowo, w postaci przymiotnikowej: "intelektualny" ma stary rodowód; w znaczeniu odpowiadającym naszemu, pojawiło się w Anglii w połowie XVII w. Lecz dopiero w końcu XIX w. zaczęła się jego właściwa kariera, a to w związku ze sprawą Dreyfusa. "Manifestem intelektualistów" nazwała redakcja pisma "L'Autore" opublikowany 14 stycznia 1898 r. jednozdaniowy protest "przeciw pogwałceniu procedury prawnej w procesie 1894 r. i przeciw tajemnicy otaczającej sprawę Esterhazego", połączony z żądaniem rewizji procesu. Wśród podpisanych pod protestem,

na pierwszym miejscu znajdowali się Emil Zola i Anatol France. Dalej figurowały, wśród innych podpisy: pisarzy - członka Akademii Francuskiej Ludovica Halévy, Fernanda Grega, Marcela Prousta, młodego wówczas Leona Bluma; historyków - członka Akademii Gabriela Monod, Gustave Lanson, Charlesa Seignobos, romanisty Ferdinanda Brunot.

Słowo, uznane za neologizm, od pierwszej chwili zyskało wielki ładunek wartościujący negatywnie, bądź pozytywnie. Pisano z przekąsem o tych, którzy sami siebie uważają za przynależnych do szlacheckiej kasty, o ludziach, żyjących w cieniu bibliotek lub laboratoriów, uczonych, pisarzach, filozofach, pretendujących do rangi nadludzi li tylko z racji swych intelektualnych zdolności, których wartość jest względna /3/. Od owego czasu pojęcie "intelektualista" łączy w sobie dwa desygnaty: jest to człowiek szeroko pojętej kultury, w służbie wartości nadrzędnych. Jedni, jak Max Weber czy Talcot Parsons, będą kładli nacisk na funkcję w sferze kultury, zbliżając kategorię "intelektualiści" do grupy społeczno-zawodowej; inni dopatrzają się podstawowego wyznacznika w obszarze wartości: prawdy, rozumu, sprawiedliwości, piękna. A więc intelektualistą będzie człowiek żyjący raczej dla idei niż z idei, odczuwający potrzebę wyjścia poza bezpośrednio doznawaną rzeczywistość, penetrowanie uniwersalnego królestwa znaczeń i wartości; człowiek uczulony na sacrum, stojący na straży moralnych standardów. Intelektualiści - pisał Edward A. Shils - to następcy starożytnych kapłanów, biblijnych proroków, dworskich błaznów. Obrońcy wolności myśli i sumień, sceptyczni, krytyczni, opanowani pragnieniem poznania i rozumienia świata. Buntowniczy w wymiarze idei i wartości, ale i stróż tego co trwałe, nieprzemijające, konstytuujące człowieczeństwo /4/.

Płynność, wieloznaczność pojęcia odzwierciedla nieokreśloność ról przypisywanych intelektualistom, jak i ról wybieranych przez ludzi idei. Dotyczy to szczególnie roli w obszarze wartości oraz wynikającej z niej odpowiedzialności. Od czasów starożytnych wśród intelektualistów ścierała się tendencja do angażowania się w służbę polityki, by nie tylko objaśniać świat ale i go zmieniać z przeciwstawnymi im dążeniami do zamknięcia się w hermetycznej przestrzeni, izolowanej od szeptu dobiegającego z agory, do służenia nauce i sztuce w ciszy i spokoju. Pomędzy skrajnymi biegunami znajdzie się rozumienie odpowiedzialności intelektualisty w ujęciu Julien Benda, nawiązujące do Encyklopedystów i sygnatariuszy Manifestu 1898 r. - rozgraniczające zaangażowanie w bieżącą politykę od gotowości występowania w obronie zagrożonych wartości ponadczasowych, do jakich Benda zaliczył rozum, prawdę, sprawiedliwość. "Zdrada Klerków" opublikowana w 1927 r. była skierowana bezpośrednio przeciw tym intelektualistom francuskim, którzy włączali się w nurt wznoszących się prądów nacjonalistycznych. Przypomniana w 1946 r. /następne wydania francuskie 1958, 1975/ zachowała w pełni swoją aktualność, tyle, że po wojnie francuscy intelektualiści byli urzeczeni komunizmem. Obie te fascynacje miały zresztą wiele cech wspólnych, były odpowiedzią na kryzys kultury europejskiej. Dodać można, że w 1946 r., jak dwadzieścia lat wcześniej, głos Benda został zagłuszony przez tych, których przyciągnął magnes polityki /5/. O "klerku, który przeżył wojnę" pisał ironicznie na łamach "Odrodzenia" Zbigniew Bieńkowski /6/.

W tym czasie problem roli i odpowiedzialności intelektualisty - pisarza, uczonego, człowieka teatru, malarza - kwestia stosunku intelektualistów do polityki, ich zaangażowania, obowiązków wobec kraju,

społeczeństwa, a także wobec uprawianej twórczości, w Polsce miał inny wymiar niż w normalnych, ustabilizowanych społecznościach, nieporównanie bardziej dramatyczny. Położenie w jakim znalazł się kraj wymuszało wybór postawy wobec ustanowionego przez komunistów systemu władzy, przez dużą część Polaków postrzeganej jako obca, narzucona, wsparta o przemoc radziecką. Dylemat ten przeżywali intelektualiści w kraju na równi z tymi, których wojna wyrzuciła poza granice Polski. Dla pierwszych było to pytanie: wyjeżdżać czy pozostać w Polsce, dla drugich: wracać do Polski pozbawionej suwerenności, bez Lwowa i Wilna, zdominowanej przez komunistów 1939 r. A gdy wybór padł na rzecz pozostania lub powrotu, a w wypadku zamieszkałych na Kresach Wschodnich - przesiedlenia, trzeba było podejmować następne decyzje: współdziałać z nową władzą czy aktywnie ją zwalczać? Jeśli współdziałać, to w jakim wymiarze? Jeśli przeciwstawiać się, to w jaki sposób? trwać w oporze? biernie wyczekiwać zmiany? schronić się na wewnętrzną emigrację? przywdziać maskę? walczyć skrycie, udając akceptację? Współdziałanie było przecież stopniowalne i mogło przybierać rozmaity charakter, od identyfikacji z implantowanym porządkiem po wallenrodzizm. To wybory w płaszczyźnie działania, polityki, lecz nie mniej istotne i trudniejsze chyba, były te dokonywane w płaszczyźnie idei i wartości. Gdy o intelektualistach mowa, one to wybijają się na pierwszy plan.

Wbrew stereotypowym poglądom, wybory i decyzje podejmowane, poczynając od lipca 1944 r., przez polskich intelektualistów - tych w kraju w jego nowych granicach, tych na Kresach Wschodnich, który odpadły od Polski, tych na uchodźstwie, były ogromnie zróżnicowane. Upowszechniona klisza intelektualistów o zniewolonych duszach i umysłach - mniejsza o przyczyny zniewole-



nia, wedle tej kliszy mniej lub bardziej niechwalebne - została wykreowana przez wieloletnie zabiegi władzy, w niebyt spychającej wszystkich i wszystko co pozostawało poza kręgiem oficjalnego życia w PRL, a jednocześnie eksponującej osoby i dzieła, mające dowieść, iż pisarze, uczeni, artyści, wśród nich ci wybitni, znani, cieszący się renomą i autorytetem, popierają ustanowiony porządek. Przez czterdzieści lat światło reflektora było kierowane na odpowiednio dobrane postacie i dzieła - w różnych okresach różne - kreując hierarchie niezupełnie zgodne z rzeczywistością. Choćby dlatego, że w mroku, większym lub mniejszym, zależnie od czasu, pozostawali twórcy którzy wybrali emigrację. Nielicznym jedynie udało się dzięki mocy talentu i pozycji zdobytej w świecie, z opóźnieniem, z przerwami, przebić się do polskiej publiczności, wzbogacić polską kulturę i naukę. Większość intelektualistów znajdujących się na obczyźnie pozostała w kraju nieobecna, w najlepszym wypadku źle, nie w pełni, obecna. Jeszcze bardziej niszczący był wpływ politycznie narzuconej selekcji na młodych będących wówczas u progu drogi twórczej - zwracała na to uwagę Hanna Malewska, gdy w 1955 r. intelektualiści polscy zaczęli swoje pierwsze obrachunki /7/.

Kiedy mówi się o postawach polskich intelektualistów, jak też o wynikających z tych postaw wyborach i zachowaniach, nie sposób pominąć kondycji w jakiej ludzie idei znajdowali się w chwili zakończenia wojny. Na kondycję tę składały się olbrzymie straty biologiczne i materialne - zarówno Niemcy jak i władza radziecka na Kresach Wschodnich świadomie niszczyli elitę polską - rozbicie i rozproszenie środowisk, doświadczenia czasu wojny - te osobiste i te zbiorowe, głębokie rozczarowanie związane z potraktowaniem sprawy polskiej przez sojuszników, kompromitacja



elit politycznych II Rzeczypospolitej, syndrom pokłękowy, a wszystko to nałożone na kryzys, jaki kultura europejska w szerokim rozumieniu przeżywała w okresie międzywojnia, kryzys który nie skończył się wraz z wojną. Polska elita intelektualna dostatecznie silnie związana była z Zachodem, by dzielić z nim poczucie schyłku, katastroficzne lęki, przeczucie, iż - cytując Raymonda Arona - "mimo rozpaczliwych a nieskutecznych wysiłków, siły nieznane i bliskie ciągną ją /Europę - K.K./ nieuchronnie do grobu". Pisał to Aron w eseju "Wielka Schizma", publikowanym w 1950 r. w paryskiej "Kulturze" /8/. W tejże "Kulturze" w 1947 r. zespół redakcyjny wyrażał przekonanie, iż "osłabnięcie więzi łączącej Polskę z Zachodem wynika nie tylko z faktu, że po II wojnie światowej Polska znalazła się politycznie w sowieckiej strefie wpływów i interesów. Powodów należy doszukiwać się głębiej - w zjawisku ciężkiego kryzysu jaki przeżywa dziś cała kultura europejska. Zachwiał się system pojęć, wartości i norm, którymi żyliśmy dotychczas. Kultura europejska utraciła swą konsystencję, swą zdolność odporu i promieniowania". Diagnozie tej towarzyszyły optymistyczne rokowania na przyszłość: przekonanie, że kryzys jest przejściowy, że "skończy się z chwilą, gdy prawdziwi Europejczycy wszystkich narodów i ras podejmą trud obrony, uporządkowania i twórczej rozbudowy zasad życia i myślenia, które ukształtowały naszą przeszłość i zdolne są jeszcze, mimo wszystko, ukształtować naszą przyszłość" /9/. Tymczasem jednak Europa żyła w klimacie zbliżającego się końca. "Kasandra" ostrzega przed kataklizmem - pisał Konstanty Jeleński - Prorok czuje, że stoi u krańca cywilizacji, że zbliża się koniec jego świata. Widzi śmiertelnych jeźdźców i słyszy trzask rozrywanych pieczęci. Lub - jak wergiliuszowska Sybilla przepowiada założenie Rzymu

przez ostatniego uchodźcę z Troi". Jeleński konstatawał, że dwa najbardziej dynamiczne światopoglądy, które się ze sobą ścierają: komunizm oraz katolicyzm zawierają deterministyczną wizję "końca historii" /10/.

Wypowiedziom na łamach "Kultury", wychodzącej w Paryżu od 1947 r., można przeciwstawić gromiące katastrofizm artykuły Stefana Żółkiewskiego, Jana Kotta, Kazimierza Wyki, jakie w tym czasie ukazywały się w kraju w "Odrodzeniu" czy w "Kuźnicy" /11/. W kraju oficjalnie literaturze katastroficznej wydano wojnę, potępiali ją krytycy, wyrzekali się jej poeci. Miłosz pochwalony przez Kotta za drukowaną w "Odrodzeniu" "Piosenkę o końcu świata", usnaną przez krytyka za piękny przykład otrząsania się z katastroficznych miazmatów, bronił się bardzo nieśmiało: "Nie, nie wstydzę się, że byłem katastrofistą i że w formie nieraz splątanej, niejasnej, wypowiadałem strach przed zagiądą. Nie wstydzę się strachu. Bałem się tego, co nadejdzie. Popełniłem wiele głupstw, ale nigdy nie żyłem pogodną głupotą polskiej inteligencji" /12/. Brzmi to niemal jak samokrytyka. W obowiązujące w tym czasie wykładni, schyłkowym prądem na zachodzie przeciwstawiano optymistyczną wizję jutra, które zrodzone w Rosji, ogarnie wkrótce chylący się do upadku świat kapitalistyczny. Wyka pisał: "Katastrofistami są pijacy, katastrofistami są szabrownicy. Nie wiedzą czy świat potrwa jeszcze dwa tygodnie i zarabiają póki czas" /13/. W tej perspektywie, w Polsce odbudowującej się i dokonującej reform społecznych w przeciwieństwie do Zachodu nie było miejsca na pesymizm, lęki metafizyczne, przeczucie końca świata. Dekadentyzm miał ustąpić miejsca "nowej dynamice twórczej" /14/.

Właśnie - miał ustąpić. W rzeczywistości bowiem, polscy intelektualniści, przynależąc integralnie do Europy, dzielili niepokoje intelektualistów zachodnich, choć ich sytu-

acja była, bez wątpienia, specyficzna i dużo bardziej tragiczna. W kraju zrujnowanym, znajdującym się w stanie wstrząsu spowodowanego zmianą granic, milionowymi przemieszczeniami ludności, przemianami ustrojowymi, lęk przed grożącą atomową zagiądą schodził na plan dalszy, wobec konkretnych, namacalnie doświadczalnych zagrożeń dnia dzisiejszego. W Polsce komunizm był odczuwany bezpośrednio i realnie, to zaś pociągało konieczność wykształcenia natychmiastowych środków obronnych, bądź też ukorzenie się przed "historyczną koniecznością", od której nie ma apelacji. W 1951 r. Melchior Wańkowicz pisał o Polakach jako o narodzie przetartym między dwoma największymi eksperymentalnymi tyglami: totalizmu niemieckiego i totalizmu rosyjskiego. Uważał, że "Naród ten jest więcej przygotowany na przetrwanie anarchii międzyepocza, niż narody jeszcze nie zaszczepione" /15/.

Stan kraju, w tym stan kultury, instytucji życia kulturalnego, warsztatów pracy uczynnych, środowisk kulturotwórczych, w sprzężeniu z nieporównanie drastyczniejszym przeżyciem okupacji niż to miało miejsce w Europie Zachodniej, z doświadczeniem radzieckim, jak też z głębokim rozczarowaniem do Zachodu, który zdradził polską sojuszniczkę, choć to przecież ona pierwsza stawiała opór ekspansji nazistowskiego barbarzyństwa, stworzyły klimat psychologicznej gotowości do przyjęcia porządku zaprowadzonego przez komunistów. Bardzo trafnie odczytał to Aleksander Janta Połczyński w swojej wnikliwej książce "Wracam z Polski", napisanej po krótkim pobycie w kraju w 1948 r. Książce, która wywołała falę oburzenia w środowiskach uchodźczych, ściągając na autora gromy, włącznie z pomówieniem o zaprzękanie się "reżimowi warszawskiemu" /16/. Janta pisał: "Opuścili ich przecież

ten Zachód, wydał na pastwę przeciwnych jemu wpływów, zostawił oszukanych, zawiedzionych do gruntu i nie pogodzonych z niczym. Wychodzą czasem naprzeciw z dnia swoich przeżyć, jako pokolenie barykad i obozów, cywilizacji pieców, mordów i gwałtu, żyjące w tragicznym poczuciu osamotnienia". I dalej: "Niesiesz na sobie Zachodzie piętno współwiny za wszystko /.../ Przed nami jest 'jądro ciemności'. Ostatni wiersz w "Traktacie moralnym" Miłosza podsumowuje drugą stronę tego uczucia, które nie jest spodziewaniem, ale mimo najwyższych zagrożeń, nie oznacza jeszcze rezygnacji. Bowiemy sens przeżywanego dramatu głęboko przenika nasze dusze. Od udziału w nim nie może być ucieczki". Książka kończy się stwierdzeniem, że Polacy, kiedy patrzą na Zachód myślą, iż tam się dyskutuje i walczy na niby, tu zaś w Polsce, żyje się i umiera naprawdę" /17/.

Janta pisał o ludziach w kraju, ale rozczarowanie do Zachodu, połączone z rozczarowaniem do własnych, polskich, elit politycznych, stanowiło jeden z najbardziej istotnych rysów ówczesnej świadomości Polaków, niezależnie od tego gdzie się znajdowali - nad Wisłą, nad Tamizą, nad Potomakiem, czy nad Sekwaną. To w "Wiadomościach" ukazał się wiersz Jana Rostworowskiego, pełen goryczy i żalu:

"Złożyliśmy galowo pamiątki przebrzmiałe,  
Czeki krwią podpisane, których nikt nie  
przyjął,  
W szklanych szafach nie szumią. Zrodzone na  
chwałę  
Naszą śmierć uświetniały, lecz sprawę  
niczyją.  
Ot, może drobnym pyłem na angielskiej wadze  
Zaciążyły, by szalę w ich stronę nachylić,  
Gdy Polak śnił pocziwie: do Kraju prowadzą  
Wskrzeszonego szablami w jednej wielkiej  
chwili.  
Nie ma chwil 'ostatecznych', 'listopadów'  
nie ma,



Wróżby nocą szeptane sprawdzić się nie  
 Gdzieś ślepy m poszedł torem ten szumny <sup>mogą;</sup>  
 Droga w sen, która dzisiaj nie jest naszą <sup>poemat,</sup>  
 droga. <sup>drogą.</sup>  
 Znaliśmy i znów znamy te słowa zakłète: -  
 Panowie, przy ich drzewcach... wytrwali...  
 ci sami...  
 Że historia, że zakręt, że za tym  
 zakrętem...  
 Że Bóg z Napoleonem, Napoleon z nami.  
 Nie pomni, że to było, że nic się nie  
 zmienia  
 Żywi nie myśląc o tych, co legli pokotem.  
 Ach mówcy, spójrzcie najpierw na własne  
 sumienia,  
 A apel do serc naszych zostawcie na potem.  
 Tłum ma serce zapalne, tłum zawsze odpowie  
 I sztandary też łatwo znów wynieść na  
 słońce.  
 Ale Wy - trzykroć najpierw pomyślcie  
 panowie  
 Obwołując dzień 'dziwny jak przed świata  
 końcem',  
 Karmiąc 'oczekiwanie tęskne i radosne'"/18/

Intelktualiści, jak zresztą duża część  
 polskiego społeczeństwa, zderzyli się z  
 komunizmem i stanowionym przez komunistów  
 systemem, w znacznym stopniu rozbrojeni  
 - intelektualnie i moralnie. Cywilizacja  
 judeo-chrześcijańska, stara europejska kul-  
 tura, okazały się bezsilne wobec hitlerow-  
 skiego barbarzyństwa, wobec masowych mor-  
 dów, Holocaustu, obozów koncentracyjnych,  
 segregacji rasowej; to w ich wnętrzu zro-  
 dził się i doszedł do głosu system, depczą-  
 cy wartości, które Europa wytworzyła w  
 ciągu wieków. Co więcej, pokonawszy III  
 Rzeszę, Zachód starannie zasłonił sobie  
 oczy, aby nie zobaczyć zbrodni dokonanych  
 i dokonywanych na Wschodzie: łagrów, depor-  
 tacji, tortur NKWD, masowego zabijania,



a także odbierania ludziom i narodom elementarnych praw i swobód. Polscy intelektualniści, wbrew temu, co wielu z nich twierdzi po latach, znali, w części przynajmniej, prawdę o tym co dzieje się w ZSRR. Niemała ich liczba przeszła przez deportacje, więzienia, łagry za kołem polarnym. Ale - paradoksalnie - wiedza ta niejednokrotnie pociągała za sobą pogiębie nie negatywnego nastawienia wobec Zachodu oraz gotowość kapitulacji przed tym co nadciągnęło ze Wschodu. To nie było tylko działanie strachu. Ważniejsze, z początku szczególnie, było przekonanie, że oto siła triumfuje nad prawem, przemoc wypiera sprawiedliwość, kłamstwo - prawdę, że rezygnacja i kapitulacja biorą górę nad heroizmem i niezłomnym trwaniem przy wartościach. Polski rząd na uchodźstwie powołujący się na imponderabilia, na prawo międzynarodowe, na zasady Karty Atlantycznej nie miał żadnej szansy utrzymania autorytetu i wpływu, straciwszy realną moc oddziaływania na bieg wydarzeń.

Kiedy się studiuje twórczość pierwszych lat powojennych, śledzi zachowania intelektualistów w kraju i poza krajem, dostrzega się jak przemożną rolę odgrywała wówczas klęska. Klęska Rządu Rzeczypospolitej, klęska powstania w Warszawie, klęska Armii Krajowej, klęska oczekiwań, nadziei. Obserwuje się typowe objawy nastrojów pokłeskowych: potępienie konspiracji, mierzenie sił na zamiary, przypisywanego Polakom braku realizmu i rozwagi, nieodpowiedzialności elit, które zawiodyły, nie zabezpieczając suwerennego bytu państwa i narodu. Jak pisał wówczas w "Kulturze" Adam Uziembło: "Próbom rzucania się z motyką na słońce przeciwstawiano wyniki ugodowej polityki /Wielopolski/, pracy organicznej w dziedzinie przemysłu, handlu, narastania bogactw, a łącznie z tym dźwigania nauki, oświaty, literatury, sztuki - możliwości, jakie przed nami już-już otworem stały" /19/.

Na polu realizmu, trzeźwości, pragmatyzmu spotykali się intelektualiści różnych obozów politycznych, różnych światopoglądów. Ci, którzy w taki oto sposób reagowali na kolejną klęskę polskich nadziei na równi z tymi, dla których Polska Ludowa była przedmiotem dążeń, wymarzonego celem.

Wśród możliwości, jakie przed Polakami "już-już otworem stały", moszcząc drogę ku akceptacji władzy komunistów, poczesną rolę odgrywały zabezpieczenie ze strony Niemiec oraz przyłączenie do Polski ziem na zachodzie i północy. Oba te czynniki miały bardzo duże znaczenie po wojnie, nie tylko w rządowej propagandzie. Sprzyjały one zaangażowaniu się intelektualistów związanych z dawną ze środowiskami polskimi w Niemczech, ze Śląskiem, Pomorzem, Wielkopolską, czynnych w Polskim Związku Zachodnim czy, podczas wojny, w Biurze Ziem Zachodnich Delegatury Rządu, a także i tych, którzy przesiedleni z Wilna i Lwowa, przystąpili do tworzenia polskiego życia kulturalnego na ziemiach przyłączonych. Niebezpieczeństwo niemieckie, trwałość nowej granicy na zachodzie, zagrożenie pokoju - na tym właśnie polu komuniści w najtrudniejszym okresie - w 1952 r. - mogli skłonić do publicznych wypowiedzi popierających politykę ZSRR osoby takie jak Maria Dąbrowska, jak Stefania Skwarzyńska, Antoni Gołubiew, Jerzy Turowicz. Dąbrowska wówczas pisała: "Że na Zachodzie knuje się wojna, to wszyscy wiemy. Że wbrew deklamacjom o obronie wolności, wojna ta w celu zniszczenia nowych form życia tworzonych z takim trudem, wśród takich cierpień i z taką wiarą w możliwości zbudowania lepszego świata gotowa będzie 'dla walki z komunizmem' wytracić jako 'zarażone' wszystko co 'żyje, z tego niestety, jeszcze nie wszyscy zdają sobie sprawę. Są jeszcze ludzie - stwierdzała - którym trudności związane z przebu-

dową społeczną i gospodarczą, trudności nieraz głęboką troską cienia czoła - do tego stopnia przesłaniają patetyczną wielkość naszego czasu, że gotowi by bodaj w rozpętaniu katastrofy światowej szukać z nich wyjścia. "/.../ Olbrzymia większość narodu zdaje sobie sprawę z kilku ważnych rzeczy. Z tego, że historycznie polskie Ziemię Zachodnie, podwalina dawnego państwa Piastów nie mogą nam być wydarte. Że skoro na wieki wieczne mieć będziemy tych samych sąsiadów, to musimy pozytywnie odnosić się do wszystkiego, co czyni ich naszymi przyjaciółmi". Dalej mowa była o tym, że "wciąż rosnąca większość narodu bez względu na różnice poglądów zdaje sobie już sprawę i z doniosłości naszych reform społecznych". I że "Zrozumienie tego wszystkiego sprawia, że Front Narodowy, pod którego hasłem Polska wkracza w okres nowej Konstytucji i wyborów do nowego Sejmu, nie jest czczym słowem ani tym bardziej nie jest i nie może być 'chwytem przedwyborczym', który po użyciu chowa się do lamusa. Front Narodowy ma realne podstawy i potrzebny nam jest długo, żeby obronić przed możliwością wojny i zniszczenia naszych granic, naszą wspaniałą odbudowę wszystkich dziedzin życia, nasze reformy społeczne, nasze wreszcie istnienie" /20/. Artykuł ten, za który wiele osób potępiło wówczas Dąbrowską - pisała o tym w dzienniku - stanowił wyraz jej nieustającego obijania się pomiędzy pragnieniem aprobaty rzeczywistości, dostarczania w niej pozytywnych elementów, potrzebą pracy dla "nowego świata" a "wiernością wobec spraw", niemożnością pogodzenia się z rosnącą totalizacją życia, z niesprawiedliwością. Oto zapis w dzienniku 11 marca 1946 r.: "W dzienniku londyńskim nazwano /głosy prasy/ nasze ziemie odzyskane 'nieusprawiedliwioną amputacją Niemiec na Wschodzie'. Twierdzono też, że 'głodują-

ce i rozproszkowane czy okrojone Niemcy staną się rozsądnikiem wojny, a silne, nakarmione i scalone - będą czynnikiem pokoju. Perfidia, zła wola czy obłąkana głupota Anglii? W kwestii Niemiec i naszych granic na zachodzie wszyscy Polacy rozchodzą się z Anglią, bez względu na stosunek do Rosji" /21/.

W zniszczonym kraju, z nowymi granicami, z masowymi przemieszczeniami ludności, będącymi następstwem wojny i zmiany terytorium państwowego, imperatyw odbudowy musiał wybić się ponad wszystkie inne, neutralizować opory wobec współpracy z komunistami. Jest charakterystyczne, iż wiele osób z kręgu intelektualistów, od komunizmu dalekich, związanych z Rządem RP w Londynie i uczestniczących we władzach Polski Podziemnej, natychmiast po oswobodzeniu od Niemców, bez wahania przystąpiło do współdziałania z nową władzą jeszcze w okresie lubelskim lub w pierwszej połowie 1945 r., a więc przed utworzeniem Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, przed samorozwiązaniem się Rady Jedności Narodowej. Unikając zaangażowań politycznych, będzie się na to skarżył Jerzy Borejsza w czasie narady literatów - członków PPR w lipcu 1945 r. - przyjmowano urzędy i stanowiska w swojej dziedzinie. Osoby czynne w Biurze Ziemi Zachodnich włączyły się w prace nad organizacją administracji polskiej na zachód od polsko-niemieckiej granicy z 1939 r.; Stanisław Lorentz 7 lutego 1945 r. objął stanowisko dyrektora departamentu Muzeów i Ochrony Zabytków w Ministerstwie Kultury i Sztuki, dyrektorem powołanego 11 lutego Państwowego Instytutu Sztuki i Inwentaryzacji Zabytków został Ksawery Piwocki, a dwoma biurami tegoż Instytutu kierowali Stanisław Herbst i Jerzy Szablowski. W miarę uwalniania kraju od Niemców organizowały się związki twórcze - Związek Zawodowy Literatów Polskich, Związek Zawo-



dowy Polskich Artystów Plastyków, zaczął działalność ZAiKS, reaktywowały się Polska Akademia Umiejętności i Towarzystwo Naukowe Warszawskie. Otwierano teatry, biblioteki, muzea. 14 stycznia 1945 r. zainaugurował wykłady Uniwersytet im. Marii Curie Skłodowskiej w Lublinie, powołany do życia kilka miesięcy wcześniej, 19 marca nastąpiła inauguracja roku na UJ.

W tych i tysiącach innych przedsięwzięć, żywołowych, spontanicznych, niejako naturalnych, znajdował wyraz potężny pęd do przywrócenia porwanej przez wojnę tkanki kulturowej, erupcja aktywności zahamowanej podczas okupacji. Sytuacja kraju, obecność władzy postrzeganej przez dużą część społeczeństwa jako obca, ograniczała tkwiącą w ludziach energię, nie pozwalała w pełni rozwinąć się twórczemu dynamizmowi, życie jednak wymuszało czynną postawę. Uczony, jeśli chciał przystąpić do pracy w swym laboratorium, musiał je najpierw odbudować. "Wszyscy robią co mogą - pisała w tym czasie Helena Radlińska - choć nie wiedzą co będzie dalej. Czyż można założyć ręce i pątrzeć, skoro robić coś można?" Ona też, wspominając swoje rozterki: czy ulec namowom i włączyć się w nurt życia uniwersyteckiego czy też pozostać na uboczu, zanotowała: "Zwyciężają jednak perswazje dawnych kolegów i przyjaciół i zamiłowanie do pracy z młodzieżą" /22/. Istotnie, w większości wypadków zwyciężało przekonanie, że skoro nowa władza, niezależnie od stopnia swej niesuwerenności, w przeciwieństwie do Niemców, nie tylko umożliwia ale wręcz stymuluje i popiera restytucję kulturalnego i umysłowego życia, przyciągając do współdziałania intelektualistów o rozmaitych biografiach, rzeczą naturalną jest przystąpienie do pracy nad podźwignięciem kraju z ruin. Ten motyw w dużej mierze przesądził o wielu wyborach pozostania w Polsce, jak też powrotu do Polski z uchodźstwa.



Po latach Bohdan Korzeniewski powie Małgorzacie Szejnert: "Nie wątpiłem, że idą bardzo ciężkie czasy. Że nawet las nie będzie chronił. Wychowałem się na Białorusi i wiedziałem, że ludzie, którzy narzucają nam nową władzę, bardzo dobrze znają się na lasach. Obawiałem się, że społeczeństwo też już nie będzie schronieniem. /.../ Nie miałem żadnych złudzeń. Powinienem tylko pani wyjaśnić, dlaczego pozostałem w Polsce. Miałem przecież wielu przyjaciół, doskonałe kontakty we Francji. Odpowiedź najprostsza - nie wypada opuszczać narodu w niedoli. Więc nie wyjechałem, chociaż byłem świadom - miłosierdzia tutaj nie będzie" /23/. Rzeczywiście, wyjazdy, choć z początku możliwe i nie tak trudne, nie były częste.

Korzeniewski pamięta, że od początku nie miał złudzeń, myślę jednak, że jego pamięć przechowała tylko cząstkę ówczesnego oglądu polskiej rzeczywistości; z wszystkiego tego, co mówił Małgorzacie Szejnert wynika, że i on, podobnie jak ogromna większość polskich intelektualistów, uległ swego rodzaju autohipnozie. Rządzący komuniści, zgodnie z ówczesną doktryną Stalina, głoszącą, iż każdy naród własną drogą będzie kroczył do socjalizmu; świadomi też oporności polskiego społeczeństwa, maskowali charakter stanowionej władzy, łudząc szeroką demokratyczną platformą. W stosunku do intelektualistów, do 1947 r. działano w rękawiczkach, i to jedwabnych, a przynajmniej starano się działać w ten sposób. Podczas wspomnianej narady partyjnych literatów, Jerzy Putrament, przeciwstawiając się oddaniu polityki kulturalnej w ręce urzędników mówił: "Kultura jest sprawą delikatną, a aparat biurokratyczny jest niedelikatny i robi błędy". Zdawano sobie sprawę z braku poparcia ze strony środowisk intelektualnych. Borejsza stwierdził wów-

czas, że przy zupełnej nieskuteczności propagandy, sfera kultury nabiera szczególniego znaczenia, pisarze zaś uciekają od polityki. Berman, choć powoływał się na pochwały Stalina /"Stalin mówił nam w Moskwie: 'Wy nie doceniacie tego co w Polsce zachodzi, co się ujawnia w masowych zjawiskach'" / choć podkreślał, że "narasta nowa, cenna, chłonna inteligencja", konkludował: "Bilans wydawnictw jest smutny. /.../ O czym pisarze myślą? Trzeba się dowiedzieć i wyciągnąć odpowiednie wnioski. /.../ Wielu pisarzy zgłasza się na wyjazd za granicę - jest to rejterada, ucieczka z kraju, kiedy są największe trudności" /26/.

Polityka władzy, dalece niejednoznaczna, przeplatająca autentyczne środki kamuflażem, złożonym z idei i wartości czerpanych z arseniałów ideologicznych lewicy bądź prawicy, zależnie od potrzeb, sprzyjała uruchomieniu w społeczeństwie, a zwłaszcza wśród intelektualistów, procesów które na dłuższą metę prowadziły do niewolnienia sumień i intelektów, do moralnej martwicy, do sprzeniewierstwa roli człowieka w służbie rozumu, prawdy, sprawiedliwości. W przeciwieństwie do okupacji niemieckiej, kiedy to sytuacja była czysta, klarowna - Niemcy od pierwszej chwili w niebudzący najmniejszych wątpliwości sposób dowiedli, że celem ich jest zniszczenie polskiej kultury i polskiej inteligencji - pod władzą komunistów, nawet gdy postrzegano ją jako narzuconą, przemocą i obcą, wybory pomiędzy wiernością wartościom a ich deptaniem, między patriotycznym obowiązkiem a zaprzaństwem i zdradą, bynajmniej nie były oczywiste. Nie tylko spisywane po latach wspomnienia, siłą rzeczy mniej lub bardziej deformujące ówczesne postawy, ale i dokumenty z tamtych lat pokazują wyraziście, iż kontynuowanie okupacyjnego kodeksu etycznego nie było możliwe, tak bardzo jego normy nie przystawały do zmienionych warunków. Podejmowanie współdziała-

nia z nową władzą nie zostało uznane za kolaborację, poza najbardziej politycznie eksponowanymi stanowiskami, a i to jedynie do chwili utworzenia TRJN i objęcia przez Mikołajczyka urzędu wicepremiera. Na łamach ówczesnej prasy podziemnej można wprawdzie spotkać odmienne opinie, były to jednak opinie coraz bardziej marginalne. Częściej, zwłaszcza na początku, łączono konspirację z działalnością w instytucjach państwowych, uważając nie bez słuszności, że narzucona władza może odejść, natomiast odbudowa zniszczonej tkanki kulturowej stanowi warunek zachowania tożsamości. Poza krajem rozumieli to w znacznym stopniu intelektualisci skupieni wokół "Kultury", różniąc się pod tym względem od większości emigracyjnych środowisk, z "Wiadomościami" włącznie. Na emigracji przeważał pogląd, iż "Położenie Polski wymaga konsekwentnego, fanatycznego przestrzegania linii podziału. Istnieją tylko obóz niepodległościowy i obóz ugody z najazdem. Istnieją tylko polski legalizm i mówiąc po polsku obce agenty. Między tymi dwoma frontami nie ma mostów ani kładek. Trzeba mieć odwagę miłości i odwagę nienawiści" /25/. Otóż większość polskich intelektualistów w kraju znajdowała się właśnie na kładce, bliżej jednego lub drugiego brzegu. Niebawem zresztą, poczynając od 1947 r., komuniści, podobnie jak emigracyjny publicysta, będą żądali jednoznacznego określenia: z nami czy przeciw nam.

Pierwsze wybory, podejmowanie współdziałania którego granice bywały różne - nie wszyscy wzorem Jerzego Andrzejewskiego, Tadeusza Brezy, Stefana Otwinowskiego, Juliana Przybosia, Kazimierza Wyki, Konstantego Grzybowski, Mariana Promińskiego, Tadeusza Dobrowolskiego, Zygmunta Nardellego, Józefa Sieradzkiego, publicznie angażowali się w agitację na rzecz "3 x tak" podczas referendum 30 czerwca 1946

r. - nie były, w większości przynajmniej, motywowane strachem, oportunistycznym, egocentryzmem, wizją kariery. Nie były też wówczas jeszcze - znów ujmując ogólnie - następstwem zniewolenia dusz i umysłów. To wszystko miało nadejść nieco później. Natomiast już w 1945 r., a w Polsce lubelskiej już w drugiej połowie 1944 r. zaczął funkcjonować mechanizm, który nazwałam autohipnozą. Jego istota polegała na kreowaniu obrazu świata umożliwiającego, ba nobilitującego wręcz, postawę zajmowaną wobec rzeczywistości polskiej. Służyły temu wyrafinowane zabiegi i manipulowanie: sygnałami dochodzącymi z otoczenia, znaczeniami, ideami i wartościami. Intelktualista, który choćby tylko godził się wewnętrznie z porządkiem implantowanym przez komunistów, nie mówiąc już o identyfikacji z tym porządkiem, musiał tak czy inaczej uporać się z prawdą: prawdą 17 września, o deportacjach, łagrach, Łubiance, Katyniu, lecz również prawdą o represjach w 1944 r. i 1945 r., o prześladowaniu i obrzucaniu błotem Armii Krajowej, o powojennych wywózkach w głąb ZSRR, pacyfikacjach wsi, działaniach NKWD, aresztowaniu i procesie 16 przywódców Polskiej Podziemnej, torturach UB, sfałszowanym referendum, terrorze przedwyborczym. Kiedy czyta się przepojone sentymentem wspominki o lubelskim "Odrodzeniu", o teatrze im. Wojska Polskiego, czy o pierwszej audycji "Polskiego Radia", trudno nie pomyśleć o tym, czy autorzy tych wspominków nie chcą wiedzieć: o polowych obozach NKWD dla AKowców, przetrzymywanych w ziemiankach w straszliwych warunkach, wywożonych na wschód lub mordowanych na miejscu; o więzionych na Zamku w Lublinie. O pełnych nienawiści artykułach w prasie, nie szczędzącej oszczerczych oskarżeń dowództwu Armii Krajowej i polskim władzom na uchodźstwie. W ciągu pierwszego roku, między lipcem 1944 i lipcem 1945 tysiące ludzi z różnych warstw społeczeństwa, w tym także



profesorowie uniwersytetów, przeszło przez pokoje przesłuchań w NKWD; scenariusz rozmowy, jak wynika z ówczesnych relacji, polegał na umiejętnym łączeniu gróźb i pokus: zniszczymy cię lub damy ci możliwość pracy w twojej dziedzinie, otworzymy pole działania, o jakim rze marzyłeś. Mało kto zdaje sobie dziś sprawę z rozmiarów terroru owego pierwszego roku władzy komunistów. Represje, rozmiarami przekraczające tak silnie wyryte w zbiorowej pamięci represje pierwszej połowy lat pięćdziesiątych, zostały tak jakby zapomniane /26/. Jest to bardzo symptomatyczne - stanowi wynik operacji pomniejszania, tłumienia, a nawet anihilacji tej części wiedzy o rzeczywistości, która przeszkadzała pogodzeniu się, przystosowaniu, współdziałaniu i wreszcie uznaniu racji systemu, który de facto od samego początku zmierzał do totalnego panowania nad społeczeństwem. Ze złożonego wzoru jaki tworzyła polska rzeczywistość, wybierano fragmenty, które mogły wzmocnić postawy przystosowawcze, dostarczając im racjonalnych argumentów, niewygodne prawdy spychając w cień. Bardziej wnikliwi obserwatorzy zdawali sobie z tego sprawę. Władysław Konopczyński pisał wówczas: "Czy warto pamiętać wszystko, czy nie lepiej część dziejów zapomnieć? Na szczęście, w pamięci narodowej można gospodarować jak w muzeum albo w lamusie. Jedne wspomnienia budzić, inne usypiać. /.../ Teraz wieje wiatr przeciwny. Cisza nad Wschodem, głośno o Geronach i Ottonach, Albrechtach i Fryderykach, o Bismarcku i Hitlerze. I taki stan rzeczy nie jest pozbawiony życiowego sensu i niech nasz osadnik nad Odrą rozmyśla o tym, co go krzepi a nie o smutnych sprawach, na które nie ma żadnej rady" /27/. Albowiem w pełnej zgodzie z uznawanym porządkiem wartości, zachowując pełnię pamięci, nie sposób było wówczas w Polsce żyć. Nie tylko zresztą w Polsce, uzależnionej, pozbawionej



podmiotowości, zdominowanej przez komunistów. To Józef Czapski na łamach "Kultury" zauważał w związku z dziesiątą rocznicą września: "Czasami mi się zdaje, że człowiek nie ma prawa istnieć, że żyjemy wszyscy tylko dzięki naszej bezmyśli, naszej niewierności, dzięki naszej niepamięci. Kto z nas mógłby oddychać, mógłby żyć, gdyby pamiętał naprawdę i pamiętał nieustannie" /28/. A przecież sytuacja intelektualistów w kraju była nieporównanie bardziej moralnie i intelektualnie złożona.

Borykano się więc z pamięcią, borykano ze strumieniami informacji napływających z otoczenia. Bo nie jest prawdą, jak to dziś chętnie przedstawiają ci, którzy wówczas tak czy inaczej uporali się z problemem swojego stosunku do stanowionej rzeczywistości polskiej, znajdując własną płaszczyznę kompromisu, że zło przyszło dopiero w 1948 r., kiedy to Stalin położył kres narodowym drogom do socjalizmu i nastąpiło przyspieszenie procesu totalitaryzacji systemu, z wszystkimi tego następstwami. To co zwykliśmy określać jako stalinizm nie zaczęło się w 1948 r., nawet jeśli intelektualisci do 1947 r. cieszyli się dość znaczną swobodą. "Złudzenie wolności jest w kraju największe na punkcie twórczości kulturalnej - stwierdzał wówczas w "Kulturze" Jan Bielatowicz - Księciem pisarzy jest ostatecznie nie jakiś gramota Bierut, ale Iwaszkiewicz; rządem piśmiennictwa są niemal wyłącznie jego przedwojenni mistrzowie - Dąbrowska, Nałkowska, Tuwim, Gałczyński, Andrzejewski, nie zaś Gomułka, Osóbka, Radkiewicz. Stąd i niewiara kraju w sens piśmiennictwa na emigracji. Niewiara nie tylko propagandowa" /29/. Trzeba było atoli bardzo dużo dobrej, lub jak kto woli, złej woli, by z intelektualnych gett nie dostrzegać dziejącego się wokół bezprawia, łamania podstawowych wolności, masowych represji, o których jawnie

i publicznie, z trybuny KRN, mówili posłowie PSL. UB nie zaczęło stosować tortur dopiero po 1948 r. - sprawę dziejących się bestialstw poruszał klub poselski PSL w swoich interpelacjach. Aby nie wiedzieć trzeba było chcieć nie wiedzieć, trzeba było odebrać znaczenie nacierającym informacjom, wykształcić w sobie ów opisany przez Wata z ogromną przenikliwością stan wiedzy/niewiedzy, migotania prawdy /30/. A gdy już prawdy nie udawało się stłumić, zredukować, trzeba było ją oswoić, usprawiedliwić racjami wyższego rzędu, zmienić jej sens, uznać, że zło dzieje się w imię dobra, że to droga przez mękę do postępu, do lepszej przyszłości. Wiadomo, iż największy zbrodni dokonało się ad maiorem Dei, doctrinae, Civitatis aut nationis Gloriam.

Oczywiście, generalizacje są nieuprawnione, prowadzą do mistyfikacji i ujmowania zjawisk na zasadzie pars pro toto. Wśród intelektualistów można wyróżnić odrębne formacje: pokoleniowe, ideowe, polityczne, środowiskowe. Jedni już przed wybuchem wojny zbliżeni byli do komunizmu, inni nigdy nie zaakceptowali tej ideologii. Niewiele było stycznych punktów pomiędzy środowiskiem "Kuźnicy" i środowiskiem "Tygodnika Powszechnego". Niemalże różnice dzieliły w kraju "Dziś i Jutro", "Odrodzenie", "Tygodnik Warszawski", "Nowiny Literackie", na emigracji zaś "Kulturę", "Wiadomości", "Myśl Polską". Na dwóch przeciwnych biegunach znajdowali się Stefan Żółkiewski, Jerzy Putrament, Jan Kott, Karol Kuryluk, Adam Polewka, Mieczysław Jastrun, Adam Kruczkowski, Aleksander Ford, Celina Babińska - członkowie PPR, zmierzający do implantowania nowego modelu kultury podporządkowanej ideologii i polityce partii oraz ci wszyscy, którzy w kompromisie z komunistami dostrzegali jedyną szansę obrony wartości kultury europejskiej, chrześcijańskiej, polskiej. Jedni reprezentowali rewolucję, choć wówczas o tym głośno

nie mówili, drudzy - kulturową ciągłość, osiąganą za cenę uległości w sferze polityki. W 1951 r. Antoni Gołubiew mówił przy okazji wręczenia nagrody im. Pietrzaka: "Żyjemy w czasach bardzo trudnych, bo są to czasy przełomu, przemian i tarć. Lecz jeśli pojmujemy twórczość jako służbę, chodzi o to byśmy w pojmowaniu tych czasów przeżywaną epoki mieli zawsze postawę odpowiedzialności, postawę prawdy i służby dla człowieka. Możemy się między sobą różnić, różnice dowodzą, że szukamy, że istnieje jakaś dialektyka wśród katolików, mogą być ostre starcia i ostre dyskusje - nie szkodzi. Lecz wspólnym mianownikiem musi być owo szukanie obiektywnej prawdy, musi być wola służby człowiekowi, nie jakiemuś pojęciu człowieka, jakiemuś teoretycznemu homo, lecz człowiekowi realnemu, żyjącemu w połowie XX w. w Polsce, takiemu jakim on jest" /31/. Cztery lata wcześniej w 1947 r. Dominik Horodyński pisał bardziej otwarcie: "Problemem dla nas zasadniczym jest zagadnienie kultury. Kultura polska dlatego musi być uznana za nierozzerwalnie złączoną z zachodnią Europą i jej losem, ponieważ Polska była i jest krajem katolickiego Rzymu, który przekazał wartości antyczne kultury Europie Zachodniej i zdecydował o typie kultury polskiej. I proces ten jest nieodwracalny. Katolicyzm determinował i naszą twórczość kulturalną i nasze tendencje polityczne. Można to uznać za fakt pozytywny lub negatywny. Może to się komuś podobać lub nie, tak jak podobać się mogą lub nie wasy króla Sobieskiego, który się nosił z turecka. Niemniej jest to fakt historyczny, o którym pamiętać musimy stale i czujnie, mówiąc i rozmyślając o przyszłości naszej i Europy" /32/.

Opozycja "Kuźnica" - "Tygodnik Powszechny" nie jest przypadkowa; oba pisma notabene nieustannie toczyły boje między sobą.

W Polsce, jak w całej ówczesnej Europie, choć w stopniu intensywniejszym, komunizm ścierał się z katolicyzmem, po kompromitacji nacjonalizmu jedynym dynamicznym światopoglądem przeciwstawiającym się ideologii skrajnej lewicy, na Zachodzie świecącej triumfy, na Wschodzie zaś wspartej na sile władzy ustanowionej przez komunistów. W intelektualnych środowiskach katolickich, niezależnie od stopnia ugodowości poszczególnych grup i poszczególnych osób, procesy niewolenia umysłów i sumień, jeśli miały miejsce, to przebiegały wolniej, z większymi oporami. Konformizm zachowań, gotowość do kompromisów, czasem idących bardzo daleko, szły w parze z oporem w sferze duchowości. Na podstawie wielu przeprowadzonych rozmów Aleksander Janta trafnie odczytał postawę łączącą przystosowanie i opór dość powszechną wśród intelektualistów, jak i w całym społeczeństwie. Pisał o ludziach ukazujących "dzisiejszość Polski pod kątem nieuniknionej logiki wydarzeń jakie wyniknęły z faktu, że przegrała ona wojnę, że mapa jej położenia w Europie - jeśli na nią spojrzeć oczami realisty - sama dyktuje konieczność obecnej sytuacji i że nie należy wyczerpywać nadszarpniętej energii kraju płynięciem pod prąd a raczej dać się temu prądowi ponieść, pamiętając, że umiejętnym kierowaniem wiosła można zajechać tą drogą dalej i bezpieczniej, niżby się mogło zdawać. Jest w tej ocenie miejsce także na nieśmiałe nadzieje takiego rozwoju sytuacji świata, która by Rosji pozwoliła na humanizację swoich metod, nie stanowiących dla nikogo zachęty ani przedmiotu admiracji. Co do tego, z wyjątkiem chyba góry, tendencyjnie zamykającej oczy na nieludzkość i bezwzględność sąsiadów, nikt z trzeźwych Polaków nie robi sobie złudzeń. To natomiast, co przez emigrację określane bywa jako karygodna naiwność w liczeniu na gesty albo inteligencję Rosjan, jest w podejściu owej grupy Polaków



współpracujących z reżimem, wyrazem cichej nadziei także w siłę samego społeczeństwa, które choć pod przymusem - potrafi znaleźć własne formy przystosowania się do nowych założeń i wykształcić system, którego wyższość, lepszość i skuteczniejszość znajdzie przychylny oddźwięk nawet w Moskwie /.../" /33/.

Złudzenia i nadzieje o których wspominał Janta były właściwe nie tylko kołom katolickim, podejście tych kół tym się wyróżniało, że mogły - acz z rosnącymi ograniczeniami - formułować i rozwijać własną myśl, własny model kultury, że - przynajmniej chwilowo - nie obejmował ich plan totalnej "perekowki dusz" realizowany od 1947 r. z narastającym przyspieszeniem. Jeśli nawet uznać - za Jantą - że w walce intelektów marksiści rozporządzali wybitniejszym, zręczniejszym, lepiej przygotowanym sztabem ludzi, co jest do dyskusji, jeśli myśl katolicka w Polsce po wojnie nie przeżywała renesansu podobnego do dokonującego się wówczas we Francji, nie zmienia to faktu, że katolicyzm stanowił potężny fundament oporu, i to właśnie oporu w wymiarze idei i wartości. Świadomość znaczenia katolicyzmu i Kościoła pociągała za sobą troskę o jego stan. W artykule "Polska a świat katolicki", opublikowanym w 2-3 numerze "Kultury" W.A. Zbyszewski, stwierdziwszy, że Kościół "stanowi ostatnią i bodaj jedyną więź naszego kraju z Zachodem /gdy alianse i demokracja nas zawiodły/", że on to "znacznie bardziej niż Mikołajczyk i PSL stoi na straży resztek naszej niepodległości", wskazywał na związek polskiego katolicyzmu z nacjonalizmem i wyrażał przekonanie, że Kościół w Polsce przeżywa ciężkie chwile nie tylko z racji ucisku. Był zdania, że polski katolicyzm wyjdzie z tej próby zwycięsko dlatego właśnie, że jest tak bardzo polski, podkreśla-

jąc zarazem: "jeżeli na dalszą metę katolicyzm ma się w naszym kraju odrodzić, a nie tylko uniknąć zagłady /.../ to musimy jasno rozumieć, że czeka nas wysiłek ogromny w chwili mniej odległej niż się to здаje" /34/.

Dla intelektualistów związanych z kołami katolickimi, wybory wymuszone splecioną w gordyjski węzeł polską rzeczywistością drugiej połowy lat czterdziestych były stosunkowo proste. Dotyczyły one w głównej mierze granicy, do jakiej byli gotowi się posunąć w politycznym współdziałaniu z obozem rządzącym, sytuacji, w jakiej pozostanie tylko powiedzenie "non possumus". Obejmowały to co cesarskie, choć oczywiście, w zmiernym ku totalitaryzmowi systemie, sfery sacrum i profanum się nakładają. Współuczestnictwo w kłamstwie, akceptacja władzy winnej zbrodniczych działań równały się sprzeniewierzeniu wartościom podstawowym. Mieli jednak intelektualiści katolicy oparcie w hierarchii kościelnej oraz w silnych więziach środowiskowych. Znacznie bardziej złożona była intelektualna i moralna kondycja tych wszystkich, którzy się identyfikowali z najszerszą pojętą lewicą. Nawet komuniści, którzy jak podkreślałam, mieli jasną wizję upolitycznionej kultury w służbie mas ludowych, przeżywali rozterki wynikające z mijania się ideałów z narzucanym od samego początku modelem etatystycznym. Ujawniło się to bardzo wyraźnie podczas wspomnianej narady literatów w lipcu 1945 przy dyskusji na temat zwołania w jesieni Kongresu Kultury i powołania Rady Kultury. Putrament wówczas powiedział: "Może ja jestem heretyk i wobec tego na kongresie nie będę mógł wystąpić. Będę mówił ostro. Żyjemy w nowej sytuacji i musimy improwizować. /.../ W sprawach kultury mamy dwie koncepcje: etatystyczna i partyjno-związkowa. Zwyciężyła pierwsza i nie zdała egzaminu, zdewaluowała się

/.../". Borejsza wtedy zastrzegając, iż "Kuźnica" wychodząca od 1 czerwca w Łodzi winna stanowić ośrodek ideologiczny i forum szerokiej dyskusji, a nie formułować dyrektywy dla pisarzy, malarzy itp. Podnosząc sprawę Rady Kultury oświadczył: "Trzeba wynaleźć nową dynamikę twórczą. Nie będzie to biurokratyczne ciało a nowy oręż polityczny - sejm konsumenta kultury i producenta kultury" /35/.

Odlam polskich intelektualistów lewicujących od przedwojnia, krytycznie czy wręcz opozycyjnie nastawionych do rządów przedwrześniem, hołdujących humanizmowi, ideom wolności, sprawiedliwości, równości znalazł się pomiędzy Scyllą nacjonalizmu i wstecznością a Charybdą totalitarnego komunizmu przezierającego spoza parawanu demokracji. Lewica polska była bezdomna; odrzuciła świat mieszczański, ostro przeciwstawiła się nacjonalizmowi w wydaniu narodowej demokracji, nie mówiąc o ruchach zbliżonych do faszyzmu, tradycyjnie wojowała z Kościołem, i była też przez ten Kościół bezpardonowo zwalczana. W jej oczach "Od końca wieku XVIII, ściśle zaś licząc od Konstytucji 3 maja, będącej aktem ówczesnych postępców, więc lewicy, Kościół w polityce polskiej monopolizowany był przez ruchy prawicowe i konserwatywne. W okresie niepodległości legitymizowała się katolicyzmem endecja, cały ruch narodowy, ONR - świeciło na wszystkich sztandarach tych polityk hasło "Bóg i Ojczyzna", otwarcie prawicowa wreszcie, jeśli ją ocenić pod względem politycznym, była młodzieżowa manifestacja tzw. ślubów częstochowskich. Dalej Aleksander Janta, bo z jego to książki wydanej przez "Kulturę" pochodzi przytoczony fragment, wskazywał na zachodzący podczas wojny proces radykalizacji stanowisk /36/.

Intelektualiści, w podziale na lewicę i prawicę plasujący się bliżej pierwszej.

stali w obliczu diabelskiej zaiste alternatywy - każdy wybór był obciążony negatywnie, groził odstępstwem od wyznawanego etosu. Z pewnością, nie wszyscy byli tego w pełni świadomi; mit lewicy był bardzo silny. Ciśnienie sięgającej czasu Rewolucji Francuskiej opozycji: lewica - prawica, postęp - reakcja, powodowało, iż tak na Zachodzie jak też i w Polsce jedynie nieliczni dostrzegali, iż utrzymując się nadal, opozycja ta zawiera zgoła odmienne treści. Najprzenikliwsi byli ci, którzy, jak Koestler, aby dochować wiary ideom i wartościom, zerwali z komunizmem, jako systemem stanowiącym zaprzeczenie istoty lewicowego etosu. Większość wszelako pozostała zahipnotyzowana przedawnionym już problemem lewica czy prawica, nie pojmując, iż historia weszła na nowe tory, że współcześnie najważniejsza antynomia to wolność i podmiotowość człowieka przeciw totalitaryzmowi; ~~przez~~ pod czerwonym sztandarem. W warunkach polskich dochodził element narodowy, tak bardzo ważny w zbiorowości, która od pokoleń miała zakodowany imperatyw obrony tożsamości przed obcymi, walki o Polskę, z bronią w rękę czy pracą i tworzeniem wartości materialnych i kulturowych. I tu także, po 1945 r. linie podziału pomiędzy lewicą i prawicą, wprowadzić nie przestały istnieć, nabrały jednak nowych znaczeń.

Kiedy studiuje się teksty z tamtego czasu, trudno się oprzeć myśli, iż w Polsce intelektualisci skłaniający się ku lewicy, zamrozili niejako swoje widzenie świata i polskiej rzeczywistości ukształtowane przed wojną, w innych zupełnie warunkach, nie zdając sobie sprawy, że w obliczu ekspansji komunizmu, zagrażającej polskiej tkance kulturowej, dawne idee zaczynają funkcjonować w innym kontekście. Znamienna pod tym względem jest polemika Dominika Horodyńskiego z Czesławem Miłoszem dotycząca



kształtu polskości, stosunku do wzorów i tradycji. Miłosz, jak wielu z jego generacji, przeciwstawiał się insurekcjonizmowi, dominującemu w polskiej świadomości syndromowi heroiczno-martyrologicznemu, wzywał do trzeźwości, realizmu, publicysta "Dziś i jutro" stawiał pytanie: co jest obecnie nad Wisłą groźniejsze: kult powstań czy konformistyczne pogodzenie, duchowa kapitulacja? /37/ Nie dostrzegano, że naturalne obrachunki z określonym kształtem polskości, prowadzą do rozbrojenia. Jerzy Lerski, nie bez racji w recenzji z "Miasta Niepokonanego" Brandysa publikowanej w "Kulturze" wskazywał, iż przedstawiony w niej obraz Warszawy, nie oddający panującej podczas wojny atmosfery, zgodny jest z intencjami komunistów. "W książce nie ma niepokonanego miasta - stwierdzał - jest pokonany autor" /38/. "Kultura" wyróżniała się spośród pism wychodzących na emigracji i w kraju stosunkiem drukujących w niej autorów do polskich tradycji, do polskiej historii, do wartości konstytuujących polskość, stosunkiem wychodzącym właśnie poza upowszechnione klisze - tę z lewa i tę z prawa. Charakterystyczna jest z tego punktu widzenia recenzja Jana Ulatowskiego z "Dziejów głupoty w Polsce" Aleksandra Bocheńskiego, książki wydanej zaraz po wojnie i wówczas, jak i w latach osiemdziesiątych promowanej przez obóz rządzący. Ulatowski pisał: "Książka Bocheńskiego jest tylko na pozór odważną operacją chirurgiczną. Jest to operacja podjęta z założeniem, że może się udać - po wyjęciu serca. /.../ Utrzymać naród przy życiu, wtedy gdy trzeba oddać swoje ciało - państwo, to zadanie trudniejsze niż konserwowanie 'substancji biologicznej'. Wynarodowienie znacznie szybciej kradnie narodowi substancję niż tysiące poległych w szaleńczych walkach. a rezygnacja, wysługiwanie się obcym, zaparcie się ideałów, namiętność przetrwania

z apolityczną lub ugodową czapką niewidką na wytartym czole - o wiele skuteczniej dopomagają obcym do wynarodowienia niż kikuty po powstaniu, ruiny po wojnie i niezdobyte wskutek abstynencji od zastawionego stołu bogactwa. Nie można chcieć na jednym biegunie zyskać, nie tracąc na drugim, rzecz w tym, żeby znaleźć miarę" /39/.

Tę miarę w kraju znaleźć było niełatwo, tym trudniej, że historyczny rewizjonizm, antytradycjonalizm, podobnie jak inne elementy etosu lewicowego pomagały budować gmach złudzeń, do którego schroniło się tak wielu polskich intelektualistów. Na cegły tego gmachu złożyły się i reformy: parcelacja majątków oraz nacjonalizacja przemysłu, których rzeczywistego charakteru nie umiano dostrzec, i powszechna oświata, awans społeczny i kulturowy upośledzonych warstw społeczeństwa, i zniesienie - przynajmniej deklarowane - dyskryminacji narodowościowej, walka z antysemityzmem. Rzeczywistość co prawda nie szczędziła sygnałów, które wstrząsały gmachem ułudy, grożąc mu zawaleniem, chroniły go jednak mechanizmy autohipnozy, samooszukiwania się i samozniewolenia intelektualnego i moralnego. Wielu więc weszło na drogę utraty podmiotowości, wyrzekając się odwagi bezlitosnego, krytycznego myślenia i wartościowania. Notabene, w odmienny sposób, od myślenia uciekało, chroniąc się w zaskorupiałe stereotypy i schematy, wielu spośród emigrantów. To ich miał przede wszystkim na uwadze Zygmunt Nowakowski gdy pisał: "Starajmy się wzbudzić w nas samych, bodaj na osobisty, prywatny użytek, pewne szczątkowe właściwości podmiotu. Spróbujmy więc myśleć, choćby tylko myśleć, w sytuacji, która nam została narzucona" /40/.

Powracając do intelektualistów w kraju, tych z lewicy i prawicy, socjalistów i katolików, należy zadać sobie pytanie, jaką

rolę w kształtowaniu ich postaw odegrał strach, poszukiwanie wygody życia, pogoń za wyróżnieniami, których nowa władza nie szczędziła. Niewiele o tym wówczas pisano, mało kto przyznawał się do takich niezuchwaleństw, choć głęboko ludzkich motywów dokonywanych wyborów. Ale one istniały i pełniły swą destruktywną rolę. Prawda, że lata "wielkiego strachu" miały dopiero przyjść, że do 1948 r. dominowały uzasadnienia pozytywne, a ich potęga była tak wielka, że dziś jeszcze spotyka się uczonych, pisarzy, artystów, przekonanych, iż zło zaczęło się dopiero później, w czasach "stalinizmu", przeciwstawianych dobremu początkowi. Nieznajomość historii i selektywna pamięć jak i wspomniany mechanizm nieświadomego konstruowania obrazu rzeczywistości z dogodnie dobranych fragmentów, działający z taką siłą w okresie powojennym, sprzyjają kreowaniu mitów. Hołdujący im nie umieją zdać sobie sprawy jak bardzo właśnie w tamtym, stosunkowo łagodniejszym klimacie, zatracili intelektualną a nieraz i moralną busolę, nie byli w stanie dokonać analizy sytuacji, i znaleźć miejsca zgodnego z powołaniem intelektualisty. Pierwszym krokiem było uznanie racji lub - w innym nieco wydaniu - dziejowej konieczności porządku, jaki niósł komunizm - słowo zresztą wówczas omijane. Następnym - uwierzenie, że porządek ten, mimo wszystko, niesie Polsce ogromne korzyści. Kolejnym - zwątpienie w dawny świat, w jego wartości. "Dziesięciolecie - napisze w 1954 r. w odpowiedzi na ankietę "Nowej Kultury" Jerzy Zawieyski - to cała epoka, której rewolucyjne wstrząsy targają nie tylko układem rzeczywistości zewnętrznej, ale co ważniejsze, targają sumieniami ludzkimi. Nie trzeba być poetą lub historykiem, by uczuwać patos dziejów przemian, jakie ogarniają cały świat, a także świat polski

i nasz osobisty świat wewnętrzny. Niepodobna też oddzielić się od procesów historii, bo nie ma takiego miejsca, gdzieby one nas nie dosięgły. Procesy te są nieodwracalne i sięgają daleko w przyszłość; zjawily się one nie jako chimera lub szaleństwo ludzkiej wyobraźni, lecz jako niewątpliwa konczność, spowodowana ruchem sprzecznych sił, tworzących dzieje przemian". Pisał to człowiek borykający się ze sobą, nie znajdujący dla siebie pol. działania, boleśnie, jak sam to określił, przeżywający "ten patetyczny dramat dziejów", nie biorący czynnego udziału w życiu literackim, zepchnięty w swoisty niebyt /41/. Autor "Miecz a obosiecznego". Szarpiących się było wielu, może większość spośród stojących przed wyborem: rezygnacja z działania i uczestnictwa w życiu publicznym bądź ukożenie się przed nacierającą rzeczywistością, która zdawała się nieprzemijającą, a której alternatywę upatrywano w III wojnie światowej. Postawa Nałkowskiej, stwierdzającej, iż nie musiała niczego w sobie przewyciężać, w niczym się przełamywać, aby zaaprobować zachodzące przeobrażenia /42/, nie była najbardziej typowa dla środowisk intelektualnych. Najmniej kłopotu z przyjęciem "nowej wiary", z przyswojeniem ideologii komunizmu, mieli młodzi. Generacja urodzona przed rokiem 1920, miotała się między opornością i konformizmem idei, wartości, zachowań, bliższa jednemu bądź drugiemu, zależnie od predyspozycji osobowościowych, warunków życiowych, przeżytych doświadczeń i żywionych przekonań. Znamienym rysem tamtego czasu, było wyrosłe na podłożu poczucia słabości, ugięcie się przed siłą tego co przyszło ze Wschodu. Tak odczytywaliśmy niezależnie od bezpośrednich motywów, wiersz Jarosława Iwaszkiewicza "List do prezydenta", drukowany w 1952 r. w "Nowej Kulturze". Poeta, przynależny do chylącego się do upadku i skazanego



na zagładę świata przemawia do przedstawiciela nowej, zwycięskiej epoki:

"Bo kiedy, prezydencie, ty dobrze  
wiedziałeś,  
Jaką trzeba iść drogą i jak nas  
prowadzić,  
Ja zbyt zaufałem przebrzmiałej  
mądrości,  
Zmęczone oczy pasąc piękności widokiem -  
I olśniony tęczami, wtedy nie  
dostrzegłem  
Ugiętego pod jarzmem prostego człowieka.  
Ja wiem, ja teraz już dużo rozumiem  
I staram się zapomnieć, to co przeminęło  
Nie oglądałem się nawet, lecz trochę mi  
szkoda  
'Zachodów promienistych' i 'róż' i  
'marmurów'...  
I widzisz Prezydencie, mnie dzisiaj jest  
trudno,  
Ja już nie jestem młody a iść trzeba  
prędko  
Myślałem, że już w życiu coś niecoś  
zdołałem,  
A tu trzeba pojmwować wszystko od  
początku" /43/.

Roman Palester, sam przebywając od 1947 r. w Paryżu, pisał na początku lat pięćdziesiątych o dylemacie Marsjasza - młodego frygijszczyka, biegłego w grze na fletni, który "wiedział, że musi wyzwąć Apollina, nie mógł też nie zdawać sobie sprawy z nieubłaganej konieczności poniesienia wszystkich dalszych konsekwencji". I stwierdzał: "W trzeszczących zębach tego straszliwego kieratu łamie się charaktery, gną się karki... Jak żądać od tych ludzi, aby stanęli w zawody z Apollinem? Gdzież jest bunt przeciw kondycji jednostki, jakże żądać od artystów, aby w tych najcięższych warunkach zachowali siłę, która pozwoliłaby im ukryć - na dłuższą metę - ich prawdziwy cel i istotną dążność? /.../ W niedawnym,

spokojnym, zrezygnowanym ale pełnym żalu i smutku liście, przyjaciel-artysta, znękanym ponad wszelki wyraz stałym przebywaniem w kraju- konkretyzuje swoje wątpliwości: "gdzieź lepiej służyć Polsce? tu u nas, w kraju czy też na emigracji? . Cóż można Ci powiedzieć, Drogi Przyjacielu, jeśli samemu uniknęło się cierpienia, które przypada w codziennym udziale setkom tysięcy najniewinniejszych - którzy 'zostali', i wobec których nie jest się całkiem w porządku. Odczuwa się pewien wstyd i zaczyna rozumieć to, co oni, w kraju, choćby najnieprzejednańsi, nazywają 'zdradą', a co jest przecież wybraniem wygnania - niewesołego zaiste - z powodów 'osobistych'" /44/.

W miarę postępującej totalizacji życia w Polsce, wraz z rosnącym ciśnieniem, które wymuszało kompromisy z własnym sumieniem i rozumem, pod naciskiem potęgującego się strachu, wybory intelektualistów polskich stawały się coraz bardziej tragiczne. Dotyczy to i tych, którzy jak Miłosz, zdecydowali się kraj opuścić, jak i tych, których ówczesne utwory i wypowiedzi czyta się z uczuciem wstydu. Nie mam przy tym na myśli najmłodszych, którzy ulegli uproszczonej logice doktryny i wysokiej temperaturze tworzenia lepszego świata. Ci, gdy docierać do nich zaczęły sygnały z otaczającej rzeczywistości, odzyskiwali zdolność intelektualnego i moralnego oglądu. Witold Wirpsza w 1953 r. napisał "List o sumieniu", Wiktor Woroszyński w czasie pobytu w Moskwie jeszcze pełen wiary w nauki marksizmu-leninizmu i socjalizm, wzywał, by wierzyć własnemu poznaniu, własnej obserwacji, własnej prawdzie osobistej, nie zastępując ich schematem, ostrożnym odważaniem, oportunistycznym przystawaniem. Najsmutniejsze teksty wyszły spod pióra Słonimskiego, Nałkowskiej, Dąbrowskiej, Iwaskiewiczza, Kazimierza Brandysa, Gałczyńskiego; pisali je

uczeni obdarzeni autorytetem i społecznym szacunkiem. Ile w tym było konformizmu, ile lęku, ile szczerego przekonania, ile zniewolenia intelektu - nie sposób dociec. Wszystko to było przemieszane.

Bertolt Brecht powiedział kiedyś, iż szczęśliwy jest kraj, w którym obywatele nie są postawieni przed alternatywą: bohaterstwo bądź sprzeniewierzenie się podstawowym wartościom. Wybory polskich intelektualistów nie osiągnęły wymiaru tragedii Galileusza - uczonym np. za negowanie "odkryć" Łysenki, za nie dość gorliwe przestrzeganie nauk Pawłowa, za niedocenianie "osiągnięć" nauki radzieckiej groziła niełaska, niewuzględnienie w awansach, ale nie więzienie czy stos. Nawet tych, których zwalczano czynnie, usunięto z katedr, odsunięto od nauczania nie czekały policyjne represje. Tragedię polskich intelektualistów wyraził jeden z rozmówców Aleksandra Janty: "Co dzień jedna nitka, nie czujesz tego, kiedy się owija koło ciebie. Nie myślisz o tym - taka jest cieniutka, tak lekka, taka nieznaczna. Przywykasz nawet, ale nitek z każdym dniem przybywa. Obudzisz się pewnego dnia już spętany. Już opętany być może, bo nitki są niewidoczne. Nie czujesz ich, czujesz najwyższej niepokój, albo czujesz, że się robi ciasno. A to właśnie znak ich roboty. Przegryzają się w głąb, do duszy. Zawijają się koło sumienia i dopiero kiedy je już zaplotły i zamotały zwojami swoich ucisków, szarpiesz się. Wtedy być może będzie już za późno".

Krystyna Kersten

---

Rozszerzona wersja odczytu, wygłoszonego 18.V 1989 r. w Gliwicach, w ramach Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej.

/1/ L.A.Coser: "Men of Ideas. A Sociologist's View", New York 1965, s. VII.

/2/ L.Bodin: "Les Intellectuels", Paris 1962, s. 48 i nast. A. Gella /ed/: The Intellectuals and Intellectuals. Theory, Method and Case Study, London 1976, s. 9 i nast.

/3/ L.Bodin, op.cit. s. 7.

/4/ E.A.Shils: "The Tragition of Intellectuals", w: B. de Huszar /ed/: The Intellectuals, A Controversial Portrait, The Free Press of Glencoe 1960, s. 55 i nast.

/5/ J.Benda: "La Trahison des Clercs". Introduction d' André Lwoff, Paris 1975.

/6/ Z.Bieńkowski: "Klerk, który przeżył wojnę", "Odrodzenie" 1946, nr 11. Por. też W.P.Szymański: "Odrodzenie" i "Twórczość" w Krakowie, Ossolineum 1981, s. 51.

/7/ H. Malewska: Pisarze wobec dziesięciolecia: odpowiedź na ankietę, "Nowa Kultura", nr 8/256/, 20.II 1955.

/8/ R.Aron: "Wielka schizma", "Kultura", 1949, nr 15, s. 3 i nast.

/9/ Artykuł redakcyjny, "Kultura", 1947, nr 2-3, s. 3.

/10/ K.Jeleński: "Apokalipsa i perspektywa", "Kultura", 1950, nr 12/38/, s. 22 i nast.

/11/ W.P.Szymański, op.cit., s. 48 i nast.

/12/ Cz.Miłosz: "Śmierć Kassandra", "Odrodzenie", 1945, nr 21.

/13/ K.Wyka: "Ogrody lunatyczne i ogrody pasterskie", "Twórczość", 1946, nr 5.

/14/ Centralne Archiwum KC PZPR, 295-X, 2 s. 20 i nast. Sprawozdanie z narady literatów członków PPR 24.VII 1945.

/15/ M.Wańkowicz: "Zagadnienia kulturalne a skarb narodowy", "Kultura" 1951, nr 2/3/40/41/, s. 185 i nast.

/16/ A.Janta: "Wracam z Polski. 1948", Paryż 1948.

/17/ Tamże, s. 150.

/18/ J.Rostworowski: "Z prośbą obywatelską", "Wiadomości", 1948, nr 3/94/.



/19/ A.Uziembło: "Podziemie", "Kultura", 1950, nr 1/27, s. 3 i nast.

/20/ M.Dąbrowska: "W trzynastą rocznicę najazdu", "Nowa Kultura", 1952, nr 36/128.

/21/ M.Dąbrowska: "Dzienniki" 1945-1950, Warszawa 1988, s. 41.

/22/ H.Radlińska, Pisma Pedagogiczne, t.III, s. 453 i nast. Cyt. za A.Bogusławska: "Helena Radlińska w czasie drugiej wojny światowej i potem", "Zeszyty Historyczne", t. XIX, Paryż 1971, s. 147 i nast.

/23/ M.Szejnert: "Sława i infamia, rozmowa z Bohdanem Korzeniewskim", Londyn 1988, s. 45.

/24/ Cyt. Sprawozdanie z narady literatów...

/25/ L.Tyśmienicki: "Trzecia siła i trzecia płeć", "Wiadomości", 1948, 4.I, s. 1.

/26/ Piszę o tym w artykule: "Terror pierwszego roku", "Aneks", nr 51, 1989.

/27/ Cyt. za: W. Borodziej: "Polska - przedmiot czy podmiot", maszynopis.

/28/ Za J.Czapski, "Szeptem...", "Kultura", 1949, nr 6/23.

/29/ J.Bielatowicz: "Literatura na emigracji", "Kultura" 1947, nr 2-3, s.7 i nast.

/30/ A.Wat: "Na haku i pod kluczem", Londyn 1988, s.

/31/ Przemówienie w związku z otrzymaniem nagrody "Dziś i Jutro", 1951, nr 26/292.

/32/ D.Horodyński: "Należy do Europy. P. Zygmuntowi Nowakowskiemu z Londynu i p.Janowi Kottowi z Łodzi", "Dziś i Jutro", 1947, nr 12/69

/33/ A. Janta, op. cit., s. 34 i nast.

/34/ W.A.Zbyszewski: "Polska a świat katolicki", "Kultura", 1947, nr 2-3.

/35/ Cyt. Sprawozdanie z narady literatów...

/36/ A.Janta, op.cit., s. 74.

/37/ D.Horodyński,

/38/ J.Lerski,

/39/ J.Ulatowski, rec. z "Dziejów głupoty w Polsce", "Kultura", 1947, nr 2-3, s. 151 i nast.

/40/ Cyt. za Z.Florczak: "Examen libre", "Kultura" 1949, nr 2/19, s. 3.

/41/ J.Zawieyski: "Pisarze wobec dzieściolecia. Odpowiedź na ankietę", "Nowa Kultura", nr 21/217, 1954.

/42/ Z.Nałkowska: "Pisarze wobec dzieściolecia. Odpowiedź na ankietę", "Nowa Kultura", 1954, nr 2/198.

/43/ J.Iwaskiewicz: "List do Prezydenta", "Nowa Kultura" 1952, nr 16-17/108-109.

/44/ R.Palester: "Konflikt Marsjasza", "Kultura" 1951, nr 7-8/45-46, s.3 i nast.

/45/ A.Janta, op.cit., s. 70.

BOROWSKI I SZAŁAMOW - DWIE DOLE

Jest coś faryzejskiego i, w moim przekonaniu, trochę dwuznacznego moralnie w zajmowaniu się literaturą obozową. Trudno powiedzieć dlaczego, ale może nie powinni robić tego ludzie, którzy okrutnych doświadczeń obozowych nie mają?

Przekazów literackich na temat obozów śmierci jest bardzo wiele, w Polsce zdecydowana większość z nich ukazuje hitlerowskie obozy koncentracyjne /1/. Tak bogata literatura zmusza niejako do porównywania różnych utworów, a także oceniania wysiłku ich autorów. I tu zaczyna się mielizna moralna - najczęściej bowiem sami autorzy byli więźniami łagrów. Niepostrzeżenie, oceniając utwór, zaczyna się najczęściej sądzić i jego twórcę.

A musi się powiedzieć, że w literaturze polskiej są takie utwory o tematyce obozowej, w których zastosowano fałszywą metodę artystyczną, a to czytelnika drażni i razi /2/. Są to na przykład psychologiczne opowiadania Jerzego Andrzejewskiego /z tomu "Noc"/ czy proza heroistyczna Tadeusza Hołujy /"Koniec naszego świata"/. Natomiast już problemem moralnym /a nie tylko artystycznym/ jest, według mnie, proza Tadeusza Borowskiego. Jego pozycja w literaturze /po wczesnym okresie zarzutów i polemik, zwłaszcza ze strony krytyków Katolickich/ wydaje się niezagrożona /3/. Ale tak można sądzić dopóty, dopóki nie pozna się "Opowiadań kołymskich" Warłama Szalamowa.

Oto co tak bardzo razi u Borowskiego: konsekwentnie jednostronne przedstawienie człowieka w obozie /nie ma tu bohaterów ani świętych, a przecież w Oświęcimiu zginął św. Maksymilian Kolbe, były ucieczki za druty, ruch oporu, bezprzykładne boha-

terstwo i poświęcenie się za innego więźnia/, metoda opisu behavioralnego /czyż do tej pory zachwycają się historycy literatury/ oraz totalne potępienie całej kultury ludzkiej.

W Oświęcimiu nie ma miejsca nawet na okruchy dobra. Bardzo rzadko /zaledwie kilkakrotnie/ ukazuje Borowski pewne odruchy boahterstwa, ale tylko u ludzi jeszcze nie zlagrowanych, takich, którzy w obozie są krótko. W opowiadaniu "Proszę państwa do gazu" matki, chcąc przeżyć, wypierają się własnych dzieci, za chwilę odtrącone niemowlęta bierze na ręce obca kobieta, choć ten gest oznacza dla niej śmierć natychmiastową. Jest tam i młoda dziewczyna dumnie odrzucająca wynik selekcji, jej właśnie pozwalający przeżyć, i własnowolnie idąca do gazu.

Trudno więc zgodzić się np. z Andrzejem Wernerem, autorem książki o Borowskim /4/, który twierdzi: "Analiza tekstu nie daje wystarczających przesłanek do wniosku o totalnej reifikacji więźniów, obejmującej nie tylko funkcje, ale i całą sferę bytu - zbyt wiele zdaje się przeczyć takiej konstrukcji". Więzień Oświęcimia jest w opowiadaniach Borowskiego zredukowany do fizjologicznego tworu - człowieka zlagrowanego. Ktoś taki nie ma już żadnych ludzkich uczuć, nie myśli i nie przeżywa, jest zupełnie kimś innym niż na wolności.

W opowiadaniach z cyklu "Pożegnanie z Marią" i "Kamienny świat" Borowski obnażając mechanizmy degeneracji moralnej człowieka, oskarża jednocześnie całą kulturę ludzką /a właściwie europejską/ o to, że już u jej źródeł zrodziły się deformacje doprowadzające z logicznie nieuchronną konsekwencją do obozów śmierci.

Słynne jest zwłaszcza oskarżenie kultury zawarte w utworze "U nas w Auschwitzu". Narrator z perspektywy obozowej śmierci ogarnia tysiące lat cywilizacji. I widzi wiecz-



ną krzywdę ludzką, ucisk i wyzysk, wieczną zbrodnię i zło. Tak jest i w Auschwitz. I narrator oświęcimską miarą mierzy największe nawet osiągnięcia myśli i sztuki europejskiej, jeśli ukrywają /jak mu się wydaje/ i tuszują zło i cierpienie. Borowski pisze: "Nie ma piękna, jeśli w nim leży krzywda człowieka. Nie ma prawdy, która tę krzywdę pomija. Nie ma dobra, które na nią pozwala" /"U nas w Auschwitzu"/. Słuszność takiej konstatacji kończy się w momencie, gdy Borowski zaczyna generalizować swoje doświadczenia i obserwacje obozowe na wszystkie osiągnięcia człowieka i na całe tysiąclecia jego obecności na Ziemi.

"Z tej samej kosmicznej perspektywy cała ta nasza kultura jest - iskrą tylko, wieków ciąg dalszy - jedną chwilką, a ludzie, jeśli stamtąd na nich patrzeć? To 'tium, cyrkowych, głodnych zabaw', to trudni do odróżnienia, wzajemnie wymienni heloci i zwycięzcy, kłębiące się mrówki, dla których nie warto być Maeterlinckiem. Bo też miał Maeterlinck więcej serca dla mrówek niż Borowski dla ludzi, którzy w gruncie rzeczy samym swoim istnieniem i swoją korzataniną wywołują obrzydzenie mistrza Tadeusza ocenia sarkastycznie Jan Walc /5/.

Tylko jeden wniosek jest możliwy po przeczytaniu opowiadań Borowskiego o tematyce obozowej: Nie ma Boga, nie ma ojczyzny, nie istnieje dobro ani prawda - ponieważ był Oświęcim. Po prostu nie istnieją wartości i nigdy ich nie było. Bóg jest też wymyślony /6/. A to już budzić musi odruch protestu i sprzeciwu /7/.

Wszystkie zastrzeżenia i protesty znikają wobec "Opowiadań kołymskich" Wariama Szałamowa. Lekturę ogromnego ich tomu /prawie 900 stron druku w wydaniu paryskim /8// kończy się z uczuciem zdumienia, niemal szoku: nawet na samym dnie piekła możliwe jest dobro, a człowiek, który przeszedł

wszystkie jego kręgi, jest w stanie te okruciny dobra zobaczyć, zapamiętać i przekazać. Możliwe jest również zastosowanie innej metody niż behavioralna. Szałamow pisze o najstraszliwszych okrucieństwach Kołymy językiem tradycyjnej prozy realistycznej, nierzadko przesyconej liryzmem. Liryzm - to bardzo drastyczne określenie w przypadku literatury obozowej, ale nie znajduję innego terminu na oddanie właściwości stylu Szałamowa. Widać to wyraźnie tylko wówczas, gdy czyta się jego utwory po rosyjsku. Tłumaczenie /przynajmniej na język polski/ nie oddaje w żaden sposób paradoksalnego, przy opisywaniu rzeczywistości kołymskiej, ciepła tych opowiadań.

Uczucia czytelnika najtrafniej sformułowała Frida Wigdorowa /9/ w liście, który był rozpowszechniony razem z samizdatowym wydaniem "Opowiadań kołymskich". Cytuję za Michałem Hellerem, autorem wstępu do "Opowiadań kołymskich", wydanych w Paryżu w 1982 roku. /W dalszym ciągu będę się odwoływać tylko do tego wydania. Cytaty podaję w tłumaczeniu własnym./

Pisze Frida Wigdorowa: "Przeczytałam wasze opowiadania. Są one najokrutniejsze ze wszystkich, jakie poznałam. Najbardziej gorzkie i bezlitosne. Są w nich ludzie bez przeszłości, bez biografii, bez wspomnień. Tam człowiek myśli tylko o sobie, o tym żeby żyć. Ale dlaczego zamyka się rękopis z wiarą w godność, dobro i wielkość człowieka? To tajemnica, której nie mogę wyjaśnić i nie wiem jak to się dzieje. Ale tak jest"./10/

Wariam Szałamow jest prawie nieznaną we własnym kraju, a w Polsce wiadomo o nim również bardzo niewiele. /A jednak w "Stichotvorenijach" Warłama Szałamowa, wydanych w 1988 r. w Moskwie przez wydawnictwo "Sovietskij pisatel", z najwyższym zdumieniem czytamy w krótkiej notce edytora: "Nazwisko Szałamowa /1907-1982/ dobrze

jest znane czytelnikom" /"Imja Warłama Szałamowa choroszo izvestno czitatelam"/. Wydawać by się mogło, że Szałamow w ZSRR dorównuje popularnością co najmniej Majakowskiemu, a tymczasem właśnie Rosjanie najmniej może wiedzą o jednym z najwybitniejszych własnych pisarzy. Nie ze swojej winy oczywiście.

Wydawnictwa niezależne w Polsce /"Puls" i "Krytyka" jeszcze przed 1980 rokiem/ kilkakrotnie drukowały niewielkie zbiorki polskich przekładów opowiadań Szałamowa. Największy, jak dotychczas, wybór /62 opowiadania/ wydała NOWA w 1987 roku. Tłumaczył, wybrał i opatrzył przypisami Stefan Wodnik. Żadne z oficjalnych wydawnictw w kraju nie wydało nigdy Szałamowa. W tej chwili /w lutym 1989 roku/, kiedy znowu staniała odwaga, nawet Machejek drukuje "Opowiadania kołymskie" w "Życiu Literackim". Dobrze i to.

Michał Heller uważa, że nawet wśród tragicznych losów pisarzy rosyjskich trudno znaleźć dołę straszliwszą niż Szałamowa.

Warłam Szałamow po raz pierwszy został skazany na pięć lat łagra w 1929 roku. Miał wówczas 22 lata i studiował na uniwersytecie moskiewskim. Zaczynał pisać wiersze i prozę. /Szałamow zawsze uważał się raczej za poetę niż za prozaika. W ZSRR wydano następujące zbiorki jego poezji: "Ogniwo" - 1961. /Ogniwo/, "Szelest listjev" - 1964 /Szelest liści/, "Doroga i sud`ba" - 1967 /Droga i przeznaczenie/, "Moskowskije obłaka" - 1972 /Moskiewskie obłoki/, "Teczka kipiennija" - 1977 /Temperatura wrzenia./

Po odbyciu całej kary wrócił do Moskwy, gdzie ponownie został aresztowany i znowu skazany na 5 lat. Tym razem nie wysilano się nawet na uzasadnienie wyroku, był bowiem rok 1937, czas najstraszliwszego terroru stalinowskiego. W 1942 wyrok został przedłużony do końca wojny. W 1943 za twierdzenie, że Bunin jest klasykiem litera-

truy rosyjskiej, Szałamow dostał jeszcze 10 lat łagra. Koniec wyroku zbiegł się ze śmiercią Stalina, ale jeszcze przez parę lat pisarz starał się o zezwolenie na opuszczenie Kołymy i na osiedlenie się w Moskwie. Wrócił do niej mając prawie 50 lat, nieomal połowę życia spędziwszy w obozach karnych. Rodzina jego nie wytrzymała rozłąki i Szałamow został sam. Wiersze, które pisze, publikują od pewnego czasu wydawnictwa sowieckie. Opowiadania są konsekwentnie odrzucane. Do wspomnianego już zbioru wierszy, wydanego w 1988 roku, dołączono krótką autobiografię, napisaną w 1964 roku. Szałamow, wspominając zwolnienie z łagru w 1953 roku, pisze: "Miałem wówczas 45 lat i starałem się prześcignąć czas: pisałem dzień i noc. Codziennie trwożyłem się, że jestem u kresu sił. Bałem się, że nie napiszę już ani linijki, że nie potrafię napisać wszystkiego, co zechcę".

Słupy los bije pisarza nadal. "Opowiadania kołymskie", wywiezione na Zachód, wychodzą nie w zbiorze, lecz całe lata są drukowane po jednym, po dwa, nierzadko "poprawiane". W 1967 roku wydano 20 opowiadań po niemiecku. Z przekładu niemieckiego sporządzono tłumaczenie francuskie. W 1969 wyszedł drugi zbiór w francuskim przekładzie 27 utworów. A wydania rosyjskiego nie było nadal.

W 1972 roku Borys Polewoj, ówczesny redaktor pisma "Junost", zażądał od Szałamowa złożenia samokrytyki i wyrzeczenia się własnych utworów. I pisarz musiał tak uczynić. "Tak oto Kołyma dopędziła swojego wiecznego aresztanta, swą porzuconą ofiarę - w redakcji moskiewskiego pisma "Junost" - pisze Michał Heller.

Pisarz zmarł w 1982 roku w szpitalu psychiatrycznym, dokąd go nieoczekiwanie przewieziono, uprowadzonego przemocą z domu inwalidów, w którym mieszkał. Jego



ostatnie chwile przejmąco przedstawił Gustaw Herling-Grudziński w "Dzienniku pisanym nocą":

"Dopiero dziś przeczytałem pełny tekst relacji lekarki Eleny Zacharowej, na wieczorze poświęconym pamięci Szałamowa w Moskwie 1 lipca 1987, o okolicznościach jego śmierci w styczniu 1982 roku. Znałem dotychczas tę relację w telegraficznym skrócie, który pozwolił mi przypuszczać, że jest podobna do mojego 'ostatniego opowiadania kołymskiego' 'Piętno'. Napisane w 1982 było naturalnie tworem wyobraźni. Istnieją jeszcze podobieństwa z ducha między relacją Zacharowej a 'Piętnem', wymowniejsze i często bardziej brutalne i trywialne od wyobraźni.

Zacharowa odnalazła Szałamowa w agonii w zamkniętym 'internacie dla psychochroników', dokąd został siłą i bezprawnie przewieziony /'związali go i wywieźli, a on biedny tak krzychał'/ z domu starców-inwalidów na podstawie błyskawicznego orzeczenia komisyjnego o rzekomej 'starczej demencji'. Podczas transportu nabawił się śmiertelnego w jego wieku zapalenia płuc. Umarł w sześciuosobowym pokoju internatu. Obok niego leżał były dygnitarz z urzędu prokuratorskiego w stanie prawdziwej demencji. W momencie śmierci Szałamowa jadał własne ekskrementy. Do szyby karetki pogrzebowej, która wiozła zwłoki Szałamowa na cmentarz przyklepiona była przez szofera podobizna Stalina. Oto najkrótsze 'Ostatnie opowiadanie kołymskie' autorstwa 'nagiej rzeczywistości' /11/.

Książka Szałamowa, po tak długim oczekiwaniu, została wreszcie wydana w rosyjskim samizdacie. Kompletne wydanie utworów zawiera 103 opowiadania zebrane w trzech częściach: "Pierwsza śmierć", "Artysta łopaty", "Lewy brzeg".

Szałamow pisze bardzo prosto i lakonicznie, unikając patosu. Opowiadania są nie-

długie, nierzadko mają po 2-3 strony. Tytuł to jedno lub dwa słowa: "Kaczka", "Krzyż", "Maj", "Prokurator Judei", "Niedźwiedź", "Suka Tamara", "Magia", "Zaklinacz węży", "Ślub obozowy", "Esperanto", "Sentencja", "Czerwony krzyż", "Chleb", "Krawat", "Domino", "W nocy", "Jagody", "Cisza", "Cio-cia Pola".

Fabuła zawsze opowiada jakąś sytuację albo zdarzenie. Na takim tle Szałamow prezentuje portret kata lub ofiary. Nie ma tu miejsca na analizy psychologiczne, ale pisarz nie stroni od opisywania przeżyć ludzi, czym dobitnie różni się od Borowskięgo, który konsekwentnie stosował tylko opis behavioralny. Szałamow nie ogranicza się do przedstawiania zachowań więźniów, bo inaczej niż Borowski widzi ludzi. Jego zeki myślą i przeżywają, chociaż autor nigdy nie ocenia ich postępowania /tak jak Borowski/. Powstaje w ten sposób straszliwa galeria katów i ofiar.

Szałamow przeżywszy ponad 17 lat na Kołymie widział narodziny i rozwój imperium łagrów. Sołżenicyn napisał: "Doświadczenie obozowe Szałamowa było gorsze i dłuższe niż moje. I przyznaję, że właśnie jemu a nie mnie dane było dotknąć tego dna zezwierzczenia i rozpaczy, w które wpychał nas cały obozowy byt."

Pozostając w obrębie tekstów Szałamowa spróbuję przedstawić świat Kołymy, w którym przychodziło żyć więźniom /jeśli przeżywali/.

Dłuższe opowiadanie "Tatarski mułła i świeże powietrze" zawiera dokładny opis życia w łagrach Kołymy. Szałamow znał i duszne cele więzienne i "świeże powietrze Kołymy". Tu porównuje więzienne warunki życia z obozowymi. Aresztowani siedząc przejściowo w więzieniach, cieszyli się zazwyczaj, że zostaną zesłani do obozów, gdzie, jak sądzili, będzie lżej. "Aresztanci, którzy otrzymali `termin`, wyrwali

się z więzienia - do obozu. Tam będzie praca, zdrowe, wiejskie powietrze, przedterminowe zwolnienia, listy i paczki od rodziny, zarobki. Człowiek zawsze wierzy w lepsze jutro. Koło szpary drzwi ciepłuszki, w której więźli nas na Daleki Wschód, dniem i nocą tłoczyli się pasażerowie "na etapie", z upojeniem wdychając chłodne, przesycone zapachem polnych kwiatów, ciche, wieczorne powietrze".

Po pięciu dobach jazdy wyrzucano ludzi na brzeg tajgi i rozsyłano do tych miejsc, "gdzie im przyszło żyć i wyżyć". Zdrowe powietrze zostawiali za sobą, tu witał ich błotnisty oddech tajgi. Nogi tonęły w wodnistym mchu. Rzadko zdarzał się taki letni dzień, kiedy stopy byłyby suche. Zimą wszystko lodowaciało, wszystko skuwał pięćdziesięciostopniowy mróz. W wielkie morzy ludzie nie oddychali, a dyszeli ciężko i nierówno.

Nikt na Kołymie nie biegał, nawet bardzo młodych nie stać było na taki wysiłek. Tysiące komarów oblepiało twarz, bez siatki nie dało się zrobić kroku. Ale przy pracy siatka dusiła, nie pozwalając oddychać. A zrzucić jej nie było można, bo wtedy dusiły komary.

Więźniowie pracowali po 16 godzin na dobę i na taki czas obliczone były normy pracy. Jeśli odliczyć czas na śniadanie /1,5 godz./, na obiad /1 godz./ i kolację razem z przygotowaniem do spania /1,5 godz./, to na sen po ogromnie ciężkiej pracy fizycznej zostaną 4 godziny.

Człowiek zasypiał na stojąco, spał chodząc. Chroniczny niedostatek snu bardziej jeszcze pozbawiał więźniów sił niż głód. A niewypełnienie normy przy pracy groziło "Karnym posiłkiem" - 400 gramów chleba i cienka bałanda na dzień /bałanda - wodnista zupa/.

Na bramach wszystkich łagrów na Kołymie był ten sam wzniosły napis: "Praca to sprawa

wa honoru, sławy, ofiarności i bohaterstwa". Ale więźniowie mogli pracę tylko nienawidzić. Opowiadanie "Wtryskiwacz" ma formę raportu brygadzysty, który tłumaczy się naczelnikowi kopalni z sześciogodzinnej przerwy w pracy - zepsuł się bowiem wtryskiwacz, a takie były warunki: "Temperatura rano wynosiła poniżej 50 stopni. Nasz termometr zniszczył wprawdzie dyżurny nadzorca /o czym was informowałem/, jednakże temperatura dała się określić, bo ślina zamarzała nie dolatując ziemi".

Raz w miesiącu obozowy listonosz przynosił paczkę do cenzury. Listy szły około pół roku, jeżeli w ogóle dochodziły. Paczki dawano tylko tym zekom, którzy wyrabiali normę, pozostałym konfiskowano. "I nie był to wymysł jakiegoś zwyrodnialca - pisze ironicznie Szałamow - takie były bowiem przepisy". Paczka z żywnością najczęściej sprawiała zekowi tylko kłopot, bo nie było jak tej żywności zjeść. W barakach tylko czekali na taką okazję błatni /złodzieje, kryminaliści/. Trzeba było zjeść w drodze do baraku, co nie było możliwe lub sprzedać, a na to zawsze byli chętni.

Za pracę więźniowie nie dostawali "ni kopiejki". Płacono tylko brygadzystom. Ci ustalili pewną metodę: paru więźniom z brygady podwyższano fikcyjnie normę, a pozostali dostawali "karny posiłek". Wszystkim jednak było wiadomo, że norm nikomu nie uda się wypracować.

Opowiadanie "Cisza" ukazuje tych więźniów, którzy nie wyrabiali norm: "Byliśmy ludzkimi odpadkami, a jednak trzeba nas było karmić, i to nie odpadkami, a nawet nie ostatekami. Na nas także szły jakieś tłuszcze, ciepła strawa i przede wszystkim chleb, taki sam, jaki dostawały lepsze brygady. Bo dopóki jeszcze mieliśmy resztki sił, to dawaliśmy złoto, złoto, złoto /.../ Żyliśmy w jednym baraku, w jednej sekcji. Znałem te półtrupcy, z więzienia, z tranzytu".



Jasne, ciepłe więzienie wszystkim zekom w obozie wydawało się najlepszym miejscem na ziemi. W łagrze zapominało się o wszystkich więziennych cierpieniach. Łagiernicy mówili nieraz, że pragnęliby jeszcze przed śmiercią zobaczyć dom i rodzinę, ale jeszcze bardziej chcieliby wrócić do więzienia, bo tam było lepiej niż w domu.

Obraz łagrów kołymskich nie byłby pełny bez opisu groźnych chorób: przede wszystkim szkorbutu, który był epidemiczny i dziesiątkował ludzi, dyzenterii, różnych chorób skóry, powodujących, że schodziła ona z ciała jak rękawiczka. Nieocieplane baraki, gdzie lód nigdy nie tajał na ścianach, zła odzież i głód to w rezultacie stałe odmrożenia, a więc albo wieczna udręka, albo amputacja. Trzeba jeszcze dodać gruźlicę, epidemie grypy, poczucie bez nadziei i stałe depresje - oto łagier gorszy niż więzienie. Była i straszliwa dystrofia - choroba głodnych - powodująca zanik, przerost lub zwyrodnienie narządów ciała. Głód bowiem, obok braku snu i zimna, był nieodłącznym towarzyszem zeka na Kołymie. Tak jedli więźniowie na kwarantannie tyfusowej: "On nie je śledzia. On go liże, liże i ogonek powoli znika z palców. Zostają ości i on żuje je ostrożnie, oszczędnie, a ości topnieją i znikają. Potem bierze się za chleb - 500 gramów wydają z rana na całą dobę - skubie okruszynki i podnosi do ust. Chleb wszyscy zjadają natychmiast. W ten sposób nikt go nie ukradnie ani nie odbierze, bo brak sił, aby go uchronić. Tylko nie należy się spieszyć, nie trzeba popijać wodą, nie wolno żuć. Trzeba ssać chleb jak cukier, lizać jak lizaka" /"Chleb"/.

W opowiadaniu "Termometr Griszki Łoguna" narrator przedstawia swój kołymski sen: "Spałem i jak zawsze miałem swój kołymski sen - bochenki chleba unoszące się w powietrzu, wypełniające wszystkie domy, ulice, całą ziemię".

Więźniowie byli bici - im kto był słabszy, tym bity był częściej i przez wszystkich: przez naczelników, brygadzystów, więźniów-kryminalistów. Ci potrafili zarżnąć nożem nawet za jedno słowo, które się im nie podobało. A silniejszych więźniów mogli bić tylko niektórzy. "Władza - pisze Szałamow - to możliwość bicia i zabijania. A podpisywanie wyroków śmierci jest tym samym, co zabijanie" /"Termometr Griszki Łoguna"/.

Kołyma była imperium zła straszniejszym od piekła. Koń był tam droższy od człowieka, nawet łopata była droższa. Kołyma, jak pisze Michał Heller, różniła się od hitlerowskich obozów śmierci, bo w łagrach sowieckich ludzie nie wiedzieli dlaczego i za co umierają. Ludzie nie chcą umierać w żadnym wypadku, ale więźniowie hitlerowskich obozów koncentracyjnych wiedzieli, że umierają, bo są członkami ruchu oporu albo Żydami, albo jeńcami sowieckimi. W obozach faszystowskich więźniowie mieli znak określający przyczynę ich śmierci: polityczny, Żyd, Rosjanin. Natomiast na Kołymie wiedzano tylko, że w aktach obozowych figurują tajemnicze cyfry 58 i numer paragrafu albo zagadkowe litery: KR D, KR TD, ASA.

Heller pisze o opowiadaniach Szałamowa, że takiego obrazu tragedii literatura światowa wcześniej nie znała. Nie było do tej pory opisów śmierci ludzi, którzy do końca nie wiedzieli dlaczego ich zabijają. Na Kołymie najbardziej zwyrodniała fantastyka stała się rzeczywistością, możliwe było wszystko, każde okrucieństwo /12/.

Szałamow odkrywa przed nami podobną prawdę o człowieku jak i Borowski: z człowiekiem można zrobić wszystko, w obozie ofiara staje się często katem - jak w opowiadaniu "Inżynier Kisielow". Borowski jednak na tej okrutnej konstatacji /bo nie jest to pełna prawda o człowieku/ poprzestaje, konsekwentnie i świadomie ukazując

jednostronnie obóz oświęcimski. Szałamow poza tę konstatację wychodzi: 103 opowiadania kołymskie dają pełny obraz człowieka w warunkach nieludzkich. Pisze on: "Obóz był wielką próbą moralnych sił człowieka i zwyczajnej ludzkiej moralności, i 99% ludzi tej próby nie wytrzymało". Pisarz rosyjski daje ludzkości 1% szans moralnych, pisarz polski nie daje żadnej /13/.

Ten jeden procent to anielskość w piekle, którą Szałamow śledzi jak detektyw. Dobro jest możliwe nawet na Kołymie. Objawia się ono w różnych formach i postaciach: dobrzy są więźniowie wierzący /choć było ich na Kołymie bardzo niewiele/, mający nadzieję w Bogu. Ci nie degenerują się w łagrze i pozostają ludźmi do końca. Szałamow pisze o nich w opowiadaniu "Kursy". "Bardziej czcigodnych i dostojnych ludzi niż wierzący w obozach nie widziałem. Deprawacja ośwładnęła duszami wszystkich i tylko wierzący wytrzymywali". Pisarz rejestruje to z wielką czcią, ale i z głębokim zdumieniem - sam był niewierzący i takiej postawy, jak przyznaje nie mógł zrozumieć. W cytowanej już autobiografii pisze: "Sam jestem pozbawiony odczuć religijnych".

Utwór "Apostoł Paweł" poświęcony jest więźniowi, który na wolności był pastorem. W obozie najchętniej rozmawiał na tematy religijne. Narrator opowiadania nierzadko brał udział w tych rozmowach. W którymś momencie pastor, opowiadając Nowy Testament zapomniał, że św. Paweł nie był uczniem Chrystusa. Poprawiony przez narratora, który Biblię przypomniał sobie z dzieciństwa, upierał się przy swoim zdaniu. W nocy obudzony współwięzień zobaczył pastora, który klęczał, płakał i szeptał: Boże, pomóż mi! Piotr, Paweł, Marek... Nie spał do rana. Rano pastor powiedział: "Dziwicie się moim łzom? - To są łzy wstydu. Ja nie mogłem, nie powinienem zapomnieć o takiej rzeczy. To jest grzech, ogromny grzech.

Mnie, Adamowi Frizorgerowi, ktoś zwrócił uwagę na ten niewybaczalny błąd".

Dobrem były przejawy wszelkiego oporu przeciwko oprawcom, aż do ucieczek z obozu, które zdarzały się i na Kołymie. Najczęściej uciekający więźniowie ginęli, ale próby wydostania się z łągów były ponawiane przez innych. Bohaterem opowiadania "Ostatni bój majora Pugaczowa" jest człowiek, który chce być wolny nawet za cenę życia. Major Pugaczow ucieka z obozu razem z jedenastoma towarzyszami. Wkrótce dopędzają ich ciężarówki pełne żołnierzy. Więźniowie walczą i giną wszyscy, oprócz majora. "Major Pugaczow przypomniał sobie wszystkich - jednego po drugim - i do każdego kolejno się uśmiechnął. Potem włożył w usta lugę pistoletu i ostatni raz w życiu wystrzelił".

Pisarz rosyjski śledzi dobro w piekle nie tylko dlatego, że było ono tam czymś niezmiernie rzadkim i cennym, ale i dlatego, że było wyzwaniem rzuconym katom. Dobro na Kołymie było buntem.

W opowiadaniu "Deszcz" wspomina kobietę, która przechodziła obok moknącej na deszczu brygady więźniów. Nieznajoma, aby ich choć na moment pokrzepić, ukazała na zachodzące słońce, mówiąc: "Już niedługo, kochani, już niedługo". "Dla zeków jej gest i słowa, że kończy się męka dnia i będą mogli wkrótce wrócić do baraku był prawdziwym świętem. Nigdy jej więcej nie widziałem, ale wspominałem przez całe życie, że tak mogła nas zrozumieć i ucieszyć. Pokazała na niebo, nie mając na uwadze życia pozagrobowego. Nie, ona wskazywała, że zachodzi już, dla nas niewidoczne, słońce, że bliski jest koniec ciężkiego dnia. O mądrości tej prostej kobiety, być może prostytutki - bo żadnych kobiet oprócz prostytutek w tym czasie tu nie było - więc o jej mądrości i o jej wielkim sercu myślałem, a bębnienie deszczu było dobrym dźwiękowym tłem dla tych roz-



myślań". Kobieta ta została później zamordowana przez zwyrodniałego śledczego, który wielokrotnie dał się we znaki więźniom /opowiadanie "Pierwsza śmierć"/.

Dobrem jest i przyroda, bardzo ważna w utworach Szałamowa /zwłaszcza w utworach poetyckich z cyklu "Szkicownik kołymski"/. Jeśli u Borowskiego przyroda jest tylko tłem akcji /bo opisuje przede wszystkim życie w samym obozie oświęcimskim, gdzie właściwie przyrody nie było/ /14/, to u Szałamowa przyroda żyje - jest środowiskiem zeka, często jego jedyną pociechą. Dzięki przyrodzie, a zwłaszcza zwierzętom, może wrócić do utraconego człowieczeństwa, to znaczy może przeżywać. "Litość dla zwierząt wróciła wcześniej niż litość dla ludzi" /"Senetencja"/.

Opowiadanie "Fucha" ukazuje miejsce przyrody w życiu zeków. "Dawno stał mi się zrozumiałą i drogi ten pośpiech, z jakim uboga północna przyroda spieszyła, aby podzielić się z nędznym jak i ona człowiekiem swoim ubogim bogactwem: rozkwitnąć dla niego jak najszybciej wszystkimi kwiatami". Dalej następuje długi opis przyrody syberyjskiej, oglądanej oczami więźnia i animizowanej przez niego /15/. Szałamow pisze nawet, że jeśli wszystkie uczucia opuszczą człowieka, to potrafi on jeszcze dostrzegać przyrodę, a żadne zwierzę jej świadomie przeżywać nie może.

Borowskiego i Szałamowa łączy tylko ten sam problem - rzeczywistość obozowa. Poza tym wszystko ich różni: metoda, technika pisarska i styl, konstrukcja narratora i sposób prowadzenia narracji. Borowski ukazuje zło totalne, uogólnione, porażające, całe zło świata. Szałamow zło uszczegółowione, rozłożone na elementy, zło Kołymy, która nie jest całym światem, i na której są możliwe przynajmniej okrucy dobra. Szałamow nie jest "Borowskim Kołymy".

Narrator w "Opowiadaniach kołymskich" występuje najczęściej, ale nie zawsze, - w pierwszej osobie. Ma różne nazwiska: Andrejew, Gołubiew, Szałamow - ale jest tym samym człowiekiem, broniącym się przed deprawacją obozową - nie chcącym ulec i poddać się. Tadek - narrator w opowiadaniach Borowskiego - ilustruje założenie autora, jest przykładem na to, "co obóz robi z człowieka". Jest osobowością zlagrowaną tak fizycznie jak i psychicznie - koncentruje się tylko na tym, co wiąże się z obozem.

Zachowuje się i myśli tak, jakby był wiecznym więźniem, jakby żył w obozie zawsze. Świat za drutami znikł z jego pola widzenia. Kodeks moralny więźnia zamiast norm ludzi wolnych.

Styl Borowskiego jest beznamiętny. Jest to zgodne z założeniem Borowskiego, że każdy po pewnym okresie pobytu w lagrze staje się człowiekiem zlagrowanym, a właściwie nie człowiekiem lecz zlagrowanym tworem /poza behavioryzm wychodzi pisarz tylko w opowiadaniu "U nas w Auschwitzu"/.

Borowski świadomie i konsekwentnie opowiada się za tezą, że z człowiekiem w nie-ludzkich warunkach można zrobić wszystko. Dlatego w jego utworach i światopoglądzie nie ma miejsca na świętych Oświęcimia.

W książce "Byliśmy w Oświęcimiu", której był współautorem pisze: "Widzieliśmy ludzi zabijanych za kradzież paru surowych kartofli i widzieliśmy auta pełne żywności kradzionej dla rodzin esesmanów /.../. Widzieliśmy kobiety, które oddawały się za kawałek chleba, i widzieliśmy takie, które kupowały sobie kochanków za złoto ludzi zagazowanych. Widzieliśmy i sądzimy, że mamy prawo mówić o tym bez osłonek, surowo, tak jak pamiętamy /.../. Nie walczyliśmy w obozie o pojęcie Ojczyzny albo o przebudowę wewnętrzną człowieka, walczyliśmy o miskę zupy, o miejsce do spania, o kobiety, o złoto i zegarki z transportów"/16/

Autorzy książki, przewidując przyszłe legendy i mity o Oświęcimiu, podkreślają, że to ich widzenie obozu jest zgodne z prawdą.

Ale to jednak Szałamow dał pełną prawdę o życiu w łagrach. Jego teza: Z ludźmi można zrobić wszystko, ale nie ze wszystkimi. Jest jeden procent tych, którzy w żadnych warunkach deprawacji nie ulegną. W jego opowiadaniach, równie okrutnych i bezlitosnych jak utwory Borowskiego /a może nawet bardziej/, jest jednak miejsce i dla Świętych Kołomy.

U Szałamowa ta wiara w człowieka "mimo wszystko" determinuje metodę, technikę i styl. Tworzy tradycyjną prozę realistyczną /choć językiem posuniętym do granic lakoniczności/, jego zeki, nawet zdegenerowani, pozostają ludźmi: myślą i przeżywają. Jak w tradycyjnej prozie stosuje zapis myśli, monologi wewnętrzne, opisuje przeżycia ludzi w łagrach. Oto myśli bohatera opowiadania "W nocy": "Glebow milczał. Czasy, w których był lekarzem, były bardzo odległe. Czyż był taki czas? Coraz częściej ten świat za górami, za morzami wydawał mu się jakimś snem, wymysłem".

Wstrząsający jest opis przeżyć poety /prawdopodobnie Mandelsztama/ umierającego "na etapie" w opowiadaniu "Cherry brandy". Monolog wewnętrzny ma językową formę mowy pozornie zewnętrznej. "Wiersze były tą życiodajną siłą, którą żył. Właśnie tak. On nie żył dla wierszy, a żył wierszami /.../. Ucieszył się, że przed śmiercią dane mu było poznać tę ostatnią prawdę".

Przeżycia narratora w opowiadaniu "Dwa spotkania": "Wcześniej obiecałem sobie, że jeśli naczelnik mnie uderzy, to będzie koniec ze mną. Bo ja mu oddam i wtedy mnie rozstrzelają. Och, jaki byłem naiwny. Kiedy osłabłem, osłabła i moja wola, i mój rozum. Tak lekko powiedziałem - przecierpię i nie znalazłem w sobie sił na oddanie, na

samobójstwo, na protest. Byłem już, prawdziwym dochodiagą". /"Dochodiaga" - "na ostatnich nogach", tyle co "muzulman" w Oświęcimiu, brak tu polskiego odpowiednika/.

Język w "Opowiadaniach kołymskich" przybiera różne odcienie, jest wyraźnie nacechowany emocjonalnie, jak np. w opowiadaniu "Deszcz": od sarkazmu i ironii poprzez swoisty humor aż do paradoksalnego liryzmu.

Przejmująco liryczne właśnie jest opowiadanie "Suka Tamara" o przygarniętej przez zeków suce jakuckiej zabiłkanej z tajgi. Więźniowie byli do niej tak przywiązani, że dzielili się ze zwierzęciem swoimi głodowymi racjami. Pies został zastrzelony przez zwyrodniałego dowódcę operatywki, poszukującej zbiegów. I wówczas - jak pisze Szałamow - cała nienawiść łagierników przywiązanych do zwierzęcia tak się skumulowała, że stała się jakby fizyczną siłą. W kilka godzin po zabiciu suki Nazarov zginął, nadziawszy się na niewidoczny pod śniegiem pień drzewa.

Przykłady ironii /choć nie w pełni da się to oddać w tłumaczeniu/: "Kołyma z każdego robi psychologa". "Jakie normy białka i kalorii obowiązywały w obozie, tego nikt nie wiedział, a i nikt nie interesował się taką scholastyką". "Wysokiej jakości reakcja żołądka aresztanckiego nie ustępuje swą subtelnością laboratorium fizycznemu /wszystkie fragmenty z opowiadania "Cisza"/.

Wariam Szałamow, jak sam pisał w autobiografii, nie był wierzący i na Kołymie się nie nawrócił, ale postawę ma prawdziwie chrześcijańską. W artykule nie ma miejsca na to, aby dochodzić czy jego wyznanie pisane w 1964 roku dla sowieckiego wydawnictwa są prawdziwe. Nie jest to jednak aż takie ważne w przypadku samej osoby autora. najważniejsze, że widzi on człowieka nawet w ostatnim kręgu piekieł i na



dnie moralnym. Pozostał więc wolny mimo 17 lat okrutnych doświadczeń na Kołymie i mimo tego nawet, że tych doświadczeń musiał się później zaprzecć.

Borowski otwarcie neguje Boga i odrzuca wprost wszelkie próby chrześcijańskiego wartościowania czynów ludzkich w obozach, a nawet oceny z perspektywy chrześcijańskiej samych obozów zagłady. Borowski nie uznawał bowiem obiektywnego istnienia wartości, które są dla niego zmienne historycznie i środowiskowo. "Dobro, jeżeli się w ogóle na tym świecie trafi, jest wyłącznie akcydentalne i pozbawione szans trwania, bo ludzki trud i ludzkie piękno jest jak na wiatr rzucony popiół"/17/.

Po wojnie Borowski dobrowolnie opowiedział się po stronie doktryny marksistowskiej, która taką aksjologię uznaje za własną. Wybrał i przegrał.

"Więc gaz otworzył i twarzą do ściany  
Odwrócił się i w mroczne wieki minął.  
Toczyły śnieżną pianę oceany,

Obłok pod księżyc piór białość rozwinął  
Milcząca trwała gładka ściana Wschodu  
I śmiech się zerwał w murach Ciemno-  
grodu".

- napisał Czesław Miłosz w wierszu "Na śmierć Tadeusza Borowskiego".

Jan Walc w cytowanym już eseju mówi, że los Borowskiego jest tragiczny, bo był on kosmicznie samotny, wyobcowany przez kraj, kulturę polską, poza świat nawet. "Jedynie, co możemy dla niego zrobić, to potraktować ten los jak przestrożę"/18/.

Michał Heller zaś pisze o Szalamowie: "Być może miarą geniuszu jest pokazanie, bez względu na wszystko, wiary w godność, dobro i wielkość człowieka".

Anna Łukowska

---

/1/ Biorę tu pod uwagę tylko literaturę krajową wydawaną przez oficyny państwowe.

Dopiero kiedy po 1976 roku powstały wydawnictwa niezależne, zaczęły się w nich ukazywać utwory o łagrach sowieckich.

/2/ Chodzi mi o fałsz artystyczny i nieprawdę w sensie psychologicznym. Rzeczą metodologa jest rozstrzygnięcie czy metodom artystycznym i literackim można przypisać walor prawdziwości w rozumieniu logicznym.

/3/ Pierwsza wersja tego artykułu została napisana w 1987 roku i wygłoszona w języku niemieckim na międzynarodowym sympozjum w Zakopanem latem 1987 roku. Nie znałam wówczas znakomitego eseju Jana Walca "Gdy ziemia nie jest snem i śnić do końca nie można" /"Kultura Niezależna" nr 33, styczeń 1988/. Twórczość Borowskiego jest tu przedstawiona szkicowo, ale zanalizowana świetnie. Zasiługuje na uwagę postawa ideowa krytyka. Walc bowiem ukazuje moralny sens utworów Borowskiego, jego pogardę do ludzi w ogóle. Opowiadania Borowskiego traktuje krytyk jako egzemplifikację wcześniej /przed doświadczeniami obozowymi/ nabytych poglądów.

Jeśli prześledzić wszystkie /wcześniejsze i późniejsze utwory Borowskiego/, to tezę tę da się sformułować następująco: Człowiek jest istotą, z którą można zrobić wszystko. Każdy człowiek.

Jan Walc stosuje metodę biografistyczną. Można się z nią nie zgadzać, ale nie sposób całkowicie odrzucić jego tezy, że to okrutne doświadczenia z dzieciństwa ukształtowały na zawsze postawę moralną Borowskiego jako pisarza, a obserwacje oświecimskie potraktował pisarz jako dowody na prawdziwość sądów przyjętych wcześniej.

Metoda przyjęta przez Jana Walca dała, moim zdaniem, dużo lepsze rezultaty niż metoda Andrzeja Wenera, który świadomie zrezygnował z analizy biografii Borowskiego.

/4/ Andrzej Werner: "Zwyczajna Apokalipsa", Warszawa 1971.

/5/ Jan Walc: op.cit., str. 29.

/6/ Ten ogromnej wagi problem stawia precyzyjnie ks. Józef Tischner w szkicu "Opisując sytuację polskiej wiary..." /"Tygodnik Powszechny" nr 5 z 29 stycznia 1989 roku/. Píše on: "Pogłębione widzenie sprawy Boga po Oświęcimiu przynosi myśl judaistyczna, dla której Oświęcim stał się podstawowym problemem teologicznym. Głosi ona: Bóg nie odpowiedział na skrajną potrzebę Boga, ale co to znaczy? Znaczy to, że Bóg nie chce już wiary opartej na pociechach, łaskach i nagrodach /.../. Wybór taki dopełnia się tam, gdzie wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu. Prawdziwą chwałą Najwyższego jest modlitwa choćby jednego sprawiedliwego na dzień oświęcimskiego piekła. Ma ona w oczach Boga cenę tak wielką, że jedno jej słowo potrafi zbawić cały Świat".

/7/ Ten problem może rozstrzygnąć tylko aksjologia zbudowana na przekonaniu o obiektywnym istnieniu wszelkich wartości, których twórcą jest Bóg. Znamienne, że w utworach pisarzy polskich "porażonych śmiercią" jak Borowski czy Różewicz jest implicite zawarte przekonanie, że wartości są wytwarzane przez człowieka i zmienne historycznie. Jest to zresztą jedna z najważniejszych tez marksistowskiego materializmu historycznego. Zbigniew Herbert, który wojnę przeżył w kraju i również widział śmierć i okrucieństwo we wstrząsającym wierszu "Przesłanie Pana Cogito", polemizując ze znanym Różewiczowskim "ocalałem prowadzony na rzeź", napisał: "... ocalałeś nie po to, aby żyć masz mało czasu, trzeba dać świadectwo".

Omawiając aksjologię Borowskiego pisze Jan Walc w cytowanym szkicu /str. 25/: "W Tadeuszu Borowskim nikt nie ugruntował przekonania ani o stałości ani o konieczności istnienia jakiegokolwiek porządku, przeciwnie, doświadczenie pouczało go o tym, że porządki mogą być różne i wymienne;

jeśli ktoś w wieku lat dziesięciu z nacjalnej szkoły w Marchlewsku przeniósł się do ojców Franciszkanów - będzie miał wszelkie dane, by powątpiewać w inwariantość wszelkiej aksjologii".

/8/ Warłam Szalamow: " Kołymskije ras-skazy". Przedmowa Michał Heller. Wyd. 2. YMCA-Press, Paris 1982.

/9/ Frida Abramowna Wigdorowa /1915-1965/ pisarka i pedagog. Twórczość jej poświęcona była głównie problematyce wychowawczej - polemizowała z oficjalną pedagogiką sowiecką, zwłaszcza z teoriami Makarenki. Całe życie spędziła w Moskwie, przez współczesnych Rosjan uznawana za jedną z niezwykłych postaci swoich czasów.

/10/ Opowiadania Borowskiego zamyka się z uczuciem przejmującej rozpacz. Świadczy to o dużej sile ich oddziaływania artystycznego i moralnego. Można powiedzieć: O zgubnej sile oddziaływania.

/11/ Gustaw Herling-Grudziński: "Dziennik pisany nocą". "Kultura", marzec 1988.

/12/ Ks. Tischner nie przeciwstawia symbolu Kołymy symbolowi Oświęcimia. Ale ludziom "Kołymy łatwiej przychodzi wiara w Boga niż wiara w człowieka". "Nie ma przy tym istotnego znaczenia czy przeszli przez archipelag osobiście czy nie, wystarczy, że raz w życiu zobaczyli drogowskaz". Wg Tischnera ludzie Kołymy mają "podcięty zmysł zaufania do innego człowieka".

/13/ Borowski wojny nie wygrał, bo na nią nie poszedł. W obozie dipisów pod Monachium gruntuje się w przekonaniu, że wygranie tej wojny nie zmieniło świata, że miało na celu przywrócenie mu tego kształtu, który jeszcze przed jej wybuchem był mu nienawistny. Wypuszczeni z obozów byli więźniowie, tacy, jakich poznał w Oświęcimiu i jakich w swoich opowiadaniach opisał, uzyskawszy wolność zdobywają tylko szersze możliwości do czynienia zła. Złem jest



i niewola, i wolność, bo zły jest świat,  
i zły jest człowiek" /Jan Walc: op.cit.,  
str. 31/.

/14/ Jan Walc zwrócił uwagę, że jedyny  
raz pojawia się w twórczości Borowskiego  
przyroda, która nie jest wroga człowiekowi,  
w jego oświecimskich wierszach.

/15/ Jakże inna, wroga cudzoziemcom,  
jest przyroda na "niehumanitarnej ziemi" oglą-  
dana oczami polskiej poetki ze Lwowa Beaty  
Obertyńskiej. Przeszła obozy: Kijów, Odes-  
sa, Charków, Starobielsk, Moskwa, Workuta.  
Dla autorki wspomnień "Z domu niewoli" ta  
obca, groźnie piękna natura jest nieprzy-  
jazna nawet oczom więźniów. Więźniowie  
podziwiają jej egzotykę, ale się jej boją,  
bo kojarzy się tylko z cierpieniem i nie-  
ludzkim wysiłkiem.

"Pomnę cię wodo obca, martwa, lodowa-  
ta...

Szłaś szeroko w dolinie wymulonym ja-  
rem,  
obojętna na wszystko, co w tamtego  
świata  
wrogą otchłani zaklęte - na zgubę i  
karę"

/"Workuta"/

"Tajga... Jak w bagnie gnijący trup,  
głusza na wieki wieków.  
Otchłani, gdzie zda się nawet Bóg  
Zapomniał o człowieku"

/"Tajga"/

"Obce, srogie, śmiertelnie obojętne  
cudo!"

/"Ural"/.

Cytaty za: Beata Obertyńska: "Wiersze wy-  
brane". PIW, Warszawa 1983.

/16/ Cytuję za: Andrzej Werner: op.cit.,  
str. 25.

/17/ Jan Walc: op.cit., str. 27.

/18/ Ibidem, str. 37.

# PROZA

BOHUMIL HRABAL

## FLET CZARODZIEJSKI

Czasem gdy wstaję, gdy strząsam z siebie senność, boli mnie cała sypialnia, cały mój pokój, boli mnie widok z okna, dzieci idą do szkoły, ludzie idą na zakupy, każdy wie, dokąd powinien iść, tylko ja nie wiem, dokąd pójść, ubieram się bezmyślnie, zataczam się, podskakuję w jednej nogawce, gdy włożę spodnie, idę i golę się maszynką, od ilu to już lat golę się, więc nie patrzę na siebie w lustrze, golę się po omacku lub za winklem, siedzę na krześle w korytarzyku, a gniazdko jest w łazience, już nie lubię na siebie patrzeć, sam lękam się swęgo wyglądu, odbicia w łazienkowym lustrze, boli mnie już nawet mój własny wygląd, w oczach widzę ślad wczorajszego pijaństwa, już nawet nie jem śniadania, a jeżeli, to tylko kawusię i papierosa, więc siedzę przy stole, czasami załamuję ręce i kilka razy powtarzam sam do siebie: Hrabalu, Hrabalu, Bohumile Hrabalu, więc zwyciężyłeś nad sobą, osiągnąłeś szczyt pustki, jak nauczał mój Lao-cy, osiągnąłem pustkę i wszystko boli mnie, boli mnie również droga do autobusu, boli mnie również cały ten autobus, z poczuciem winy wbijam wzrok w ziemię, boję się spojrzeć ludziom w oczy, czasem krzyżuję dłonie i wysuwam nadgarstki, wystawiam ręce, żeby

ludzie mnie zatrzymali i doprowadzili na komisariat, bo mam poczucie winy również z powodu tej mojej już nie głośniejszej samotności, bo bolą mnie nie tylko ruchome schody, które znoszą mnie w dół, do piekieł, bolą mnie również spojrzenia ludzi unoszących się w górę, każdy ma dokąd iść, podczas gdy ja osiągnąłem szczyt pustki i nie wiem, dokąd pójść. Wiem to, ale w końcu ratują mnie te moje dzieci, kotki w lesie, które na mnie czekają, to moje dzieci, więc jadę metrem, ale również to metro boli mnie, ludzie wchodzą na górę, podczas gdy inni, a ja jestem pośród nich, schodzą, stojąc w miejscu, ruchomymi schodami na dół, potem znów wchodzę po schodach w górę, tam w bufeciku na Florencu z poczuciem winy kupuję cztery kurze piersi z różną, z poczuciem winy płacę i widzę, jak trzęsą mi się ręce, bo kupuję kurczęta dla kotów, podczas gdy gdzieś tam w Afryce głodują dzieci. Boli mnie również ten bufecik na Florencu oraz ta ruchliwa ulica, mijające się, nadjeżdżające z przeciwnych stron ciężarówki i wozy osobowe, każdy, kto siedzi za kierownicą, wie, dokąd ma jechać, jedynie ja nie wiem, choć tam gdzieś w lesie czekają na mnie ostatnie moje nadzieje, ostatni powód, dla którego żyję, kotki, które truchleją z przerażenia, co by to było, gdybym nie przyjechał, co by się stało z nimi, kto dałby im jeść, kto by je pogłaskał, bo te kociątka kochają mnie, podczas gdy mnie boli już nie tylko ta moja sypialenka, mnie boli już całe miasto, w którym mieszkam, boli mnie już cały świat bo nad ranem przychodzą do mnie postacie, o których nie mogę powiedzieć, że ich nie znam, przeciwnie, które z wolna, ale nieubłaganie wznoszą się na ruchomych schodach mej duszy, coraz ostrzej widzę nie tylko ich twarze, ale też pewne okropne wydarzenia, jak portret, jak film, dokumentalny film nie tylko o tym, jak kiedyś bez opa-

miętania kochałem, ale też jak zawiodłem. Więc ten wewnętrzny monolog trwa nadal, nie, nie rozmawiam już sam ze sobą, ale jestem przesłuchiwany, niczym przed sędzią śledczym, wszystko, co kiedykolwiek powiedziałem, wszystko, co kiedykolwiek zrobiłem, wszystko to nieustannie obraca się przeciw mnie, od tej chwili wszystko, o czym musiałem myśleć, jest przeciw mnie. Ileż to razy wchodzę na jezdnię przy czernym świetle, ile razy idę nie zważając na nadjeżdżające samochody, ale choć jestem zamyślony, towarzyszy mi anioł stróż, mój aniołek stróż, bo ten mój anioł chce, bym jeszcze pożył na świecie, bym dotarł do swego dna, żebym zszedł jeszcze o piętro niżej, gdzie znajduje się najgłębsze dno wyrzutów, dlatego boli mnie cały świat i boli mnie również ten mój anioł, ile to razy chciałem skoczyć z piątego piętra, z tego mojego mieszkania, gdzie boli mnie każdy pokój, ale anioł zawsze mnie w ostatniej chwili ratuje, ściąga mnie z parapetu, chciał też z piątego piętra skoczyć mój doktor Franz Kafka, tam z Maison Oppelt, do którego wchodzi się z Rynku Starego Miasta, ale pan doktor spadłby za rogiem, na Paryską, jego też chyba bolał świat i bolało go całe jego życie, chciał także z piątego piętra skoczyć Malte Laurid Brigg, również jego bolał w Paryżu świat. Także Brigga bolał cały świat, Rainera Marie Rilkego także.

Odniosłem zwycięstwo nad samym sobą, osiągnąłem szczyt pustki. Teraz muszę wypić to piwo, które sobie nawarzyłem, tak to jest. Konstantin Biebl skoczył z okna, wpięrow jednak, i to na długo przedtem, zamówił u Štýrskiego obraz, człowieka wylatującego z okna tyłem, niczym odwracana kartka. Właśnie. I tatuś Arthura Schopenhauera też skończył samobójstwem. I Seneka w Salamance także. Ale ja już skakać z okna nie będę, mój anioł stróż nie to,



żeby mi to wyperswadował, ale szepnął mi, że ten, który darował mi szczyt pustki, powiedział mu, że odejść tak łątwiutko byłoby zbyt mało, to, że boli mnie cały świat muszę przeżyć raz jeszcze, jak ostatni cesarz chiński, którego nie stracili, lecz przez dwadzieścia lat prali mu mózg, ażeby pojął co narobił, nie żeby dotarł do szczytu pustki, ale aby stał się zwykłym człowiekiem, który chodzi na zakupy jak inni, żeby się ucłowieczył. Więc jeżdżę codziennie autobusem, to mój ruchomy konfesjonał, jeżdżę tam i tego samego dnia z powrotem, tak jak kursują tramwaje i pociągi, i samoloty, raz tam, a potem znów z powrotem...

Siedzę więc w autobusie, łamię bułkę, następnie jeszcze jedną, zmiatam z kolan okruszki i myślę, myślę o gospodzie, gdzie pijacy dają mi strzępy swoich zdań, jakby żyli jedynie dla mnie, jakby to, co mi powiedzieli, gromadzili wyłącznie dla mnie, by mnie ucieszyć lub zranić... dobrze wiedzą, że noszę swój notatniczek ze sobą, w głowie... gdy spytam ich, jak się wam żyje?, to jakby wyuczyli się dla mnie tego swojego wiersza, tego swojego życiowego kreda... Jak? Rano samobójstwo, przed południem praca, w południe obiad w stołówce, po południu jeszcze trochę tej partaniny, a potem już jestem tutaj, w Brčálce, w tym Zielonym Laboratorium, i piję jedno piwo za drugim, duszkiem, do dna, i tak aż do wieczora... wigilia Bożego Narodzenia... rano samobójstwo... i tak dalej... dlaczego mi to mówi, ten mój pijak, który tylko na mnie czeka, by mi powiedzieć... Dziś czuję się jak po nalocie, którego nie było... a kiedy indziej... Mam zamiast głowy szybkowar... Bóžo, Bohoušku, Božku... mówi mi, bym go wysłuchał i zapamiętał, co mi powiedział, na zawsze... i nadal siedzi, z rękoma założonymi, nigdy nie zdejmie palta, siedzi niby zraniony gołąb... no właśnie, przypominam sobie, gdy na asfalcie leży zabity gołąb, zawsze zanim przejedzie

go, dajmy na to, opona, leży po śmierci tak pięknie, jakby upozował się dla mych oczu, jak Topielica z Sekwany.

Siedzę tak w tym moim ruchomym konfesjo-  
nale i muszę domyśleć do końca obrazu,  
które mnie nawiedzają, które znam z opo-  
wieści, i nagle, ażeby jeszcze bardziej  
bolał mnie pokój, w którym śpię, żeby bolał  
mnie cały świat... Tam gdzieś w Niemczech,  
tam na jeziorze co wieczór wzbijał się  
w niebo płonący łabędź i gdy spłonął, spa-  
dał do wody, obywatele byli przerażeni,  
wreszcie zaczęli się i schwyтали młodego  
człowieka, który na bułkę przywabił kolej-  
nego łabędzia, oblał go butelką benzyny,  
a następnie podpalił i rozkoszował się wi-  
dkiem wlatującego w nocne niebo gorejące-  
go ptaka... i kiedy go schwyтали, to ten  
młodzian powiedział na swą obronę, że za-  
inspirował go Salvador Dali, że namalowana  
przezeń płonąca żyrafa do tego stopnia  
spędzała mu nocą sen z powiek, że aż bolał  
go pokój, w którym marzył o płonącej żyra-  
fie, o paranoiczno-krytycznej metodzie  
Salvadora Dali, chciał oblać w ogrodzie  
zoologicznym żyrafę i wpatrywać się w jej  
ognistą grzywę, ale nie sięgnął tak wysoko,  
więc przywołał potulnego łabędzia i gdy  
płonący ptak wzbił się, widział go lecącego  
aż do zenitu, zanim spadł, widział płonącą  
żyrafę Salvadora Dali... i oto przestał  
boleć go świat, acz nie wiedział, że ten  
obraz wzburzy mnie tak, jak powierzchnię  
rybnego stawu, ku której szybko, by się  
ochłodzić, leci ten piękny niegdyś łabędź..

Siedzę więc w autobusie, trasę znam na  
pamięć, nawet gdy zamknę oczy, to widzę,  
czuję ciałem, według asfaltu i bruku wiem,  
gdzie jestem, już według tego, jak kierowca  
zmienia biegi, zgaduję, w który zakręt  
wjeżdżamy, już według tego, jak nadeptuje  
hamulec, wiem, co memu autobusowi na drodze  
grozi... I dlatego boli mnie również ten  
pokoik w mej głowie, o tym łabędziu słysza-

łem, lecz tę żyrafę płonącą i metodę paranoiczno-krytyczną przemyślałem do końca nie dlatego, żebym chciał, ale bo myślę w taki sposób, że to, co samo wskoczy mi do głowy, co usłyszę, wszystko to dla mnie mało, ja muszę to przemyśleć, bo należy to do mego zawodu, którego sobie nie wybierałem, który został mi narzucony, z którego kiedyś się cieszyłem, dopóki byłem silny, mogłem się tym radować, czuć się usatysfakcjonowany tą poważną zabawą, która teraz jednakże mnie przeraża, tak samo jak byłem niegdyś dumny z tego, że piłem, choć mi nie smakowało, że byłem podobnym chuliganem jak Jesienin, na którym nie zastanawiałem się, że zmarł młodo, ja teraz będę miał siedemdziesiąt pięć lat... i że teraz przeciwstawiam się samemu sobie, bo odniosłem nad sobą zwycięstwo, osiągając głośną samotność... pustkę, w której odzwierciedlają się jednak i rezonują wszystkie bóle świata, choć często zaklinam się strofą Jesienina...

Znów do rodzinnych wróć strzech,  
Cudzą radością się ucieszę  
W zielony pod oknami zmierzch  
Na swym rękawie się powieszę...

Bogowie opuścili tę ziemię, odeszli również antyczni herosi, Herakles i Prometeusz... moja żona wołała odejść, tak samo Perła, córka rabina z Bratysławy, ta, która mnie kochała, a ja ją, bo była taka podobna do mej Pipsi, tej niedzieli przeżyłem zmierzch, gdy krwawe słońce zachodziło nad Pragę i cynamonowe chmury przed zachodem wieściły wiatr, Rynek Starego Miasta zamykały wielkie żółte samochody z literami MO oraz płotki z żelaznych prętów, a na Karpiej sikały armatki wodne, zmiatając pieszych pod samochody, we wnęce wracali do równowagi ludzie, których przed chwilą bito, szwedzkie kule i osiemdziesięcioletnia staruszka, która wołała: Kto mi zapłaci za przemoczenie tego mego prześlicznego

futerka? Grupa członków ORMO stała przed Wyższą Szkołą Przemysłu Artystycznego i żądała wpuszczenia do środka, okna szkoły były rozświetlone, migały za nimi postacie uczniów, ponieważ dwa razy w roku świętowali przez dwa dni zakończenie, raz teraz, na półrocze, drugi raz na koniec roku... nadszedł młody człowiek z kluczem, ormowcy domagali się, by im otworzył, ale młody człowiek, asystent powiedział, że to teren uczelni, na który nikt nie ma prawa wchodzić, ormowiec na to, że wszystkich ormowców musi wpuścić, bo przed chwilą weszło tam trzech mężczyzn zamaskowanych kapturami, tylko z otworami na oczy, ale młody asystent rzekł, że sam szkołę przeszuka i o wyniku swych poszukiwań ich powiadomi, wszedł i zamknął za sobą... a tymczasem w zejściach do metra ludzie płakali, nie ze wzruszenia, ale od gazu łzawiącego, na ulicach policja zatrzymywała tych, którzy byli zmoczeni, a ja nie szedłem do Brčálki, ponieważ była zamknięta z przyczyn technicznych, więc siedziałem u Ottów, do sąsiedniego stołu przysiadł się młody człowiek w zielonym swetrze, potem przyszło trzech i siadło za mną i naszym stołem, i to też byli, poprzebierani w wiatrówki i kolorowe swetry i w ten sposób pełniący służbę, młodzi policjanci, i wyglądali jak futboliści, i obwąchaliśmy się, spoglądając sobie wzajemnie w oczy, a ja bałem się i niemrugającymi oczami wpatrywałem się w samo serce milczenia oraz ciszy, gdyż Bogowie opuścili ten świat i to miasto, tego niedzielnego wieczora osiągnąłem najprawdziwszą głośną samotność i szczyt pustki, osiągnąłem ostateczny niepokój, dotarłem tam, gdzie dotarli Kierkegaard i Friedrich Nietzsche. Tyle razy chciałem skoczyć z okna piątego piętra, gdzie mieszkam, nie z tego powodu, lecz dlatego, że tak długo patrzyłem, jak umierała moja Pipsi, moja żona, która była tak podobna do Perły, ale gdy doczytałem się, że Kafka chciał skoczyć



z piątego piętra tam, gdzie mieszkał, Maison Oppelt, hurtownia win, w której pod Rynkiem Starego Miasta składowano chyba z siedemset tysięcy butelek cennych win, gdy doczytałem się, że Malte Laurid Brigg także mieszkał w Paryżu na piątym piętrze, gdy dowiedziałem się o tych piątach piętrach, odłożyłem ten swój skok z okna i gdybym miał dość siły, to kupiłbym kanister benzyny i podpalił się także, lecz ja boję się, ja nie jestem odważny, nie jestem jak Mucjusz Scewola, ten młodzieniec, który na oczach przerażonych wrogów włożył prawą rękę do ognia i oświadczył, takich jak ja jest w Rzymie z tysiąc, ale ja czuję strach i koniec końców, ja lubię bać się, będąc pełen ostatecznego niepokoju, jak Kierkegaard, jak Nietzsche, ja, który mam oczy pełne łez i jestem mokry, jak ci, którzy własnymi oczami posmakowali gazu izawiającego, własnym ciałem - strumienia z armatki wodnej, dzięki fantazji i własnemu doznaniu zmysłowemu, którego ciałem i duszą zakosztowali inni...

Tej niedzieli jednak zrozumiałem również, dlaczego przed dwudziestu laty, gdy czytelnicy podsuwali mi moje książki, bym je podpisał, dlaczego wpisywałem na przemian dwie lokalizacje... Pod Złotym Tygrysem lub In Galizien... już przed tymi dwudziestu laty widziałem, że ludzie zaczynają mieć jedno oko niżej, jak miewali synowie rabina z Bełża i Żydzi w ogóle...

Gdy w poniedziałek przyjechałem z Kerska do Pragi, gdy piętnaście po trzeciej wysiadłem przy Muzeum, widziałem posąg świętego Wacława, unoszący się jak groźba w pełnej zbroi, a wokół niego, plecami do jego ruma-ka, przechadzali się czujnie milicjanci, młodzi ludzie w płaszczach ściągniętych na grzbiecie w potężną fałdę, aby tym bardziej uwydatniała się ich wypięta pierś, widziałem ludzi przechodzących tłumnie koło tych, którzy stali na krawężnikach chodników

i wpatrywali się w miejsce, gdzie chcieli położyć wiązanki kwiatów ci, którym to było nie zakazane, ale niedozwolone, z przeciwnego chodnika słychać było gwizdanie na palcach, widziałem, że w istocie na chodnikach i krawężnikach stoją tacy sami milicjanci jak ci, którzy udzielali nieproszonej ochrony i pomocy świętemu Wacławowi, widziałem, jak milicjant odprowadza tego, kto gwizdał do bramy... ale ja nie potrzebowałem już gazu łzawiącego, płakałem cicho nad tym, że Bogowie chyba naprawdę opuścili ten świat i że odszedł Herakles i odszedł też Prometeusz, że odeszły te siły, wokół których świat się obracał, że ostatnim, co tu zostało, był nie krzak gorejący, lecz młody student, który w chwili, gdy płonął, był tym, który był. Ja, gdybym był z nim w owej chwili, prosiłbym go na kolanach, żeby płonął, ale inaczej, by płonął słowem, które mogłoby stać się ciałem, które pomogłoby tym jeszcze nie płonącym, a jeśli, to płonącym duchem i w duchu. Ale stało się. Panie, jeśli chcesz, zabierz ode mnie ten kielich... również chrystus nie chciał być przybity do krzyża. Ale w końcu stało się tak, jak się stało, tak jak w Pradze zapałka, którą zapala się zimny ogień lub papierosa, ta zapałka podpaliła wszystko to, co w człowieku śmiertelne, i pozostawiła tylko wspomnienie, rozpalające tych, co dziś protestują przeciwko temu, by w tym kraju stacjonowały obce wojska. Tak więc szedłem ze schyloną głową i nagle stało się, że spotkałem znów idące na górną część placu dziewczęce ręce, splecione tak, by nie uszkodzić trzymany w palcach bukietów montbrecji oraz goździków, i widziałem nad tymi bukietami oczy młodych kobiet, tak rozszerzone, jakby szły do komunii lub na koncert mszy Bacha, zatrzymałem się na chodniku koło świętego Wacława i śledzony przez

oczy widzów przeszedł jezdnię, chwilę wahał się, nawet przystanął, ale młody milicjant łagodnym ruchem ręki polecił mu przejść na drugi chodnik. Działo się to o wpół do czwartej, a potem na dole, koło pałacu Korona, siedziała grupka punków, akurat młody milicjant drżącymi palcami kartkował dowód jednego z nich, na ławce leżały ich instrumenty w futerałach i byli to punkowie, lecz ich oczy promieniowały uśmiechem i spokojem, a ja wstydziłem się, że osiągnąłem szczyt pustki i głośniejszej samotności, że osiągnąłem "ostateczny niepokój" i że jestem już do niczego, że gdybym dostał jakąś nagrodę, jakieś odznaczenie za literaturę, że gdybym miał charakter, to spaliłbym przynajmniej ten papier stwierdzający, kim jestem, gdybym bowiem był tym, za kogo się uważam i za kogo uważają mnie moi czytelnicy, to tam, w górnej części placu, delikatnie wyjąłbym z ręki tej dziewczyny ten jej drżący bukiet i położył go pod kopyto konia świętego Wacława... lecz ja wiem, że na to już mnie nie stać, że zatem zasłużenie, choć przez pomyłkę, zostałbym nagrodzony tym, że armatka wodna przetrąciłaby mi kręgosłup, a ostra igła gazu łzawiącego wyłupiłaby mi oczy, tak jak wyrwał je sobie z oczodołów zdruzgotany przez los król Edyp...

Lecz jak tanie jest, panie Hrabal, mówić to, co Heidegger, że bogowie już opuścili ten świat, że odszedł również Herakles, również Prometeusz, pięknie się tego słucha, panie Hrabal, ale takie treści takich zdań nie warte są funta kłaków; gdyż młody student filozofii, panie Heidegger, dowiódł, że starzy bogowie może umarli, ale rodzą się bogowie nowi, którzy muszą zapłacić tak, jak zapłacił choćby tylko uciętym uchem Vincent van Gogh, który nie potrzebował mitów, a mimo to swoim dziełem sprawił, że nasz świat widzialny stał się przejrzyście...

Co więc w istocie stało się w tym mieś-

cie w ciągu owych dwóch dni? Myślę, że zbrojne siły policji oraz ORMO w grubiański sposób ingerowały w sprawy młodych ludzi, którzy stworzyli sobie mit swojego świętego, myślę, że zbrojne siły uzurpują sobie prawo przekroczenia granic obrony koniecznej przeciw ludziom, którzy nie posłużyli się ani bronią palną, ani kamieniami, ani kijami, którzy mieli ze sobą jedynie słowa i gwizdek z dwóch palców, którzy mieli ze sobą dziecko w wózku, nawet nie tak, jak Odyseuszowi, któremu kiedy orał, dostojni goście położyli w gruździe jego maleńkiego synka, by zmusić go do udziału w wojnie trojańskiej... Ale cóż? Oczywiście się izarą, a opłot jest skuteczniejszy od gazu łzawiącego, ubranie można wysuszyć lub kupić nowe, zatrzymani młodzi ludzie będą w końcu zwolnieni, życie wróci na powrót w stare koleje... Lecz czy naprawdę panie Hrabal, na powrót w stare koleje? Gdzie tam! Ci młodzi ludzie, uczestniczący faktycznie albo choćby duchowo oraz w duchu, to już jest określone zaangażowanie, określony akt solidarności i określona afirmacja określonego Dobra, coś, co w końcu musi być spłacone w przyszłości...

Tak więc siedziałem Pod Złotym Tygrysem, przemyślałem jak zwykle, gdyby bogowie mnie kochali, to daliby mi wykitować nad kuflem piwa, siedziałem i wysłuchiwałem szczegółów o tym Wielkim Poniedziałku i o Wielkiej Niedzieli, te informacje przekazywane płonącymi oczami ułożyły mi się w wielki kobierzec, którego nie można już odwołać ani podpalić, ponieważ treści stały się i zostały wyszyte rzeczywistością, a to, co się stało, już się nie odstanie. Tak oto marzyłem Pod Złotym Tygrysem o swojej śmierci, tych moich parę piw, dzisiaj wychyliłem ich sześć, i wszystko co słyszałem i czemu się przysłuchiwałem, wszystko to zeskoczyło ze swoich czopów



i słyszałem już tylko szmer ludzkich rozmów, nie chwytając ich sensu, więc zapłaciłem, ktoś postawił mi jeszcze jedno piwo i potem wyszedłem w noc, uniosłem głowę i jak zawsze patrzyłem w niebo, i patrząc na skos z mego okna na piątym piętrze zobaczę dziś wieczorem sierp księżyca, tak więc szedłem, a aleja Paryska była już cicha, nadjechał wóz milicyjny, cichutko się zatrzymał, wysiadł funkcjonariusz i za wycieraczki samochodów cichutko wsuwał wzrozwania dla tych, którzy zaparkowali tam, gdzie parkowanie jest wzbronione, potem reflektory skrzyły cichutko w stronę Maison Oppelt, tam, gdzie z piątego piętra chciał raz skoczyć Franz Kafka, i stałem potem na Rynku Starego Miasta sam, nikt nie szedł, siadłem na pierwszej ławce i rozmarzyłem się... naprzeciw mnie wznosił się pomnik Mistrza Jana Husa, tego, co to gdy go palono, to staruszka przyniosła troszkę chrustu, by Jan Hus lepiej się palił, ten pomnik był pośrodku placu i w mroku, podczas gdy za nim pałac Kinskich i jego ściany, i cała ta wschodnia pierzeja placu jaśniały, oświetlane jaskrawymi lampami sodowymi tak, że czarna sylwetka pomnika odcinała się ostro od różowych i beżowych ścian pałaców i domów, i siedziałem sam, młody człowiek wskoczył na ławki i przeskakiwał po ich siedzeniach z jednej ławki na drugą, i z serca Rynku Starego Miasta odezwał się cichy głos fletu, cichutętki, a przecież tak zniewalający głos fletu, jakby wychodził z samotni, z łąki, z odległego jeziora, ten głos fletu był wzruszający właśnie sam z siebie, a poza tym dlatego, że kilka godzin temu odjechały stąd ostatnie samochody z gazami izwiazącymi i armatkami wodnymi, ostatnie samochody z wilczurami, tymi pięknymi niemieckimi owczarkami, które teraz zapewne są już w swych klatkach po wyczerpującej niedzieli

i poniedziałku... ale tutaj, na Rynku Staro-  
rego Miasta, z serca pomnika rozlegał się  
głos fletu, że aż złękłem się, wstałem,  
podniosłem rękę, zwróciłem w tę stronę  
głową... i rzeczywiście, ten głos fletu  
unosił się i rozlewał po placu z tych krze-  
wów, ponad które wyrasta posąg Mistrza  
Jana Husa, z tych iglastych roślinek, które  
nawet w zimie nie więdną, unosił się głos  
fletu, kilku przechodniów przeszło, na  
pustym placu słychać było wyraźnie jak  
idą, lecz żaden z nich nie przystanął,  
kroki przeszły na ukos z Żelaznej do Parys-  
kiej, z Długiej do Melantricha, a potem  
głos fletu zamilkł, było cicho jak makiem  
zasiał i widziałem, że na krawężniku ota-  
czającym Jana Husa ktoś rozgarnął gałęzie  
i wyskoczył na płyty chodnika, na drugim  
planie odbijające blask oświetlonych ścian,  
a następnie widziałem, że od czarnego pom-  
nika oddzieliła się druga postać, trzymają-  
ca przed sobą dziecinny wózek i z czarnego  
mroku pomnika w ostre światło dawnej apte-  
ki Pod Jednorożcem weszła teraz młoda ko-  
bieta z młodym mężczyzną, pchali przed  
sobą dziecinny wózek, w którym zapewne  
leżał ten czarodziejski flet, a ja, ponie-  
waż jestem literatem, zapatrzyłem się w  
okno na pierwszym piętrze dawnej apteki  
i przypomniałem sobie, że tutaj miała salon  
pani Berta Fanta, salon, w który za Austrii  
schodzili się i wiedli ze sobą rozmowy  
Franz Kafka, Albert Einstein, Rudolf Stei-  
ner, Max Brod oraz polscy poeci... a czaro-  
dziejski dziecinny wózek skręcił na Trakt  
Królewski, z Paryskiej wyłaniała się tak-  
sówka, podniosłem rękę i zatrzymałem jej  
oświetlony stroik... i gdy wsiadłem, uświa-  
domiłem sobie, że głos tego czarodziejskie-  
go fletu dobiegał dokładnie z tych miejsc,  
gdzie na pomniku rozwija się w pionie orę-  
dzie... Wierzę, że rządy ludu nad dziełem  
Twym wrócą znów w ręce Twoje...

PS:

A w domu otworzyłem Jałową ziemię T.S. Eliota, gdzie się kończy śpiew trzeci, i czytałem z piątego piętra księżycowi...

Płonąc płonąc płonąc  
O Panie Tyś wydarł mnie  
O Panie Tyś wydarł  
Płonąc.

I w przypisach znalazłem, że tekst ten jest z Ognistego kazania... które zapisał Budda.

Kersko, we wtorek 17 stycznia 1989 r.

Bohumil Hrabal

Przełożył Paweł Heartman  
Fragmenty poetyckie w przekładach  
Tadeusza Nowaka /Jesienin/  
i Czesława Miłosza /Eliot/

EDWARD BALCERZAN

### BUMEK NAROŻNY DOM

- Wszystko zależy od tego, jakim człowiekiem okaże się Bumek...

Usiłowałem wyobrazić sobie Bumka dziesięcioletniego - studiując przez lupę nasze wspólne zdjęcie sprzed czterdziestu lat. Szkolna wycieczka statkiem, w tle bandera z orłem pogiętym na wietrze, głębiej dźwigi szczecińskiego portu, my blisko obiektywu, ja w harcerskim mundurku, on w czapce uczniowskiej: pokazuje język. Skrzywiony jak maskaron z Katedry Notre-Dame. Maskę zamiast twarzy. Twarda reguła: nie pozostawiać śladów prawdy nagiej, a przez to bezbronnej - grać innego. Na wszelki wypadek. "Na wszelki pożarny śluczaj." Sposób na życie dziecka wojny, Żyda z polskich kre-

sów, który tułał się z rodziną po Azji radzieckiej; z Alma-Aty przywieziono go do Szczecina, a on chciał do Lwowa. Ojciec Bumka miał w Lwowie dom, był kamienicznikiem. Nazwisko dopasowane do branży: Eckhaus /dom narożny/.

Pamiętam dokładnie: jego błaznowanie udzielało się całej klasie. Pochłaniało nas bez reszty, jak bywa tylko w dzieciństwie. Parodiowaliśmy filmy radzieckie - na dużych przerwach, na tle tablicy. Szczególny aplauz wywoływały egzekucje, rozstrzeliwania białych przez czerwonych lub czerwonych przez białych. Bumek był nieodmiennie oprawcą. Ja miotałem się wśród ginących, rozпинаłem koszulę i z obnażoną pierśią wrzeszczałem: "strielaaaaaj!". A na to Bumek: "pagibaj, biezpartijnaja swołocz".

Dopiero teraz uświadamiam sobie z całą mocą, że spośród moich rówieśników on jedyny miał odwagę publicznie natrzasać się z mitu Ojczyzny Narodów. Inicjował, organizował nasz śmiech. - "Szyraka strana radnaja" znacie? Nu, śpiewajcie - nakazywał. A gdy dochodziliśmy do słów sławiających kraj, w którym jak nigdzie na świecie człowiek oddycha pełnią swobód /"gdzie tak wolno dyszeć czieławiek"/, Bumek chwycił pierwszego z brzegu, wciskał mu w oczy dwa rozczapierzone palce i syczał: "ślepoj budiesz", będziesz ślepy. Takim śmiechem musieli się bronić łagiernicy, zesłańcy. Za ten śmiech w środku stalinowskiego koszmaru, w jedenastoletce TPD, która miała być kuźnią młodych komunistów, co groziło? Lepiej nie pytać.

Nasza klasa stanowiła wspólnotę przystosowaną do przetrwania w stalinizmie. Łączył nas, urodzonych między 1937 a 1939 rokiem, instykt pokoleniowy - etyka ocalonych. Nie wdeptali cię w błoto? nie zamarziłeś? nie zdechłeś z głodu? to się ciesz i śmiej,



bo darowano ci wzrok, słuch i mowę. Nie było wśród nas donosicieli /nikt nie doniósł na Bumka/. Nie chcieliśmy naśladować dorosłych, ich uprzedzeń obyczajowych czy rasowych; gardziliśmy nacjonalizmem, antysemityzmem, tą całą zoologią ludzką, która doprowadziła do wojny. A TPD nr 1 w Szczecinie to była istna Wieża Babel. Nie języków, lecz ras. Polacy i Żydzi. Także Grecy. Ukraińcy wracający przez Polskę z Brazylii nad Dniepr /nazywani przez nas Brazylijczykami/. Chińczyk Jang i jego brat przezywany Gigantem. Koreanka Swietłana. Ela, córka Niemca i Polki ze Lwowa. No i cudowny Rosjanin urodzony w Charbinie, bohater mojej młodzieńczej powieści "Pobyt", Kolka. Szczecin powojenny był tak samo wieloetniczny jak mityczne Wileńszczyzny i Galicje Konwickiego czy Kuśniewicza.

Po maturze w 1956 roku nasza mała Wieża Babel nagle się rozpadła. Może tak bardzo potrzebowaliśmy siebie w latach stalinowskich, że po Październiku przestaliśmy być sobie wzajemnie potrzebni? Różne uczelnie, nowe miasta, środowiska. Lecz ostatecznym ciosem stała się migracja Żydów w latach 1957-59. Wyjechali wszyscy, jedna trzecia klasy. Nie dawali znaku życia; w każdym razie ja nie otrzymałem ani jednego listu z Izraela. Stało się tak, jak gdyby starsze pokolenie podporządkowało nas w końcu wzgardzonym w dzieciństwie podziałom. Minęły 32 lata. Czas trzykrotnie dłuższy od czasu naszej wspólnej edukacji w TPD. I nagle - niewiarygodnie! Grom ze słonecznego nieba: odezwali się. Stamtąd. Z ziemi Heroda i Chrystusa. Z własnej wojny, z którą oni, dzieci wojny, nie mogą się rozstać. Odnaleźli mnie.

- Edek, to ty?

- Tak, to ja. Ada? Ada Glejzer? Skąd dzwonisz?

- Co za pytanie? Z domu, z Izraela.

Ada, Bumek i Ala Gołowieszko zapraszają mnie do Izraela. Czytam Biblię, iraelskie notatki Hena, ale do pokoju wdziera się każdego dnia Izrael inny, telewizyjny, w gazach łzawiących, w zamieszkach ulicznych. "Nie bój się - pisze Ada, - będziemy omijać większe skupiska Arabów." Kim są ci, którym powierzę siebie? Mam pewność, iż są tacy sami, jak dawniej, tyle że o 32 lata starsi. Jest to pewność irracjonalna, magiczna.

- Wszystko zależy od tego, jakim człowiekiem okaże się Bumek - stwierdza smutno żona.

Ziemia Święta. Lotnisko. Nie dają spokoju słowa z "Mony Lizy" Herberta: "no i jestem / widzisz jestem". Ada, Bumek miał przyjść, nie przyszedł. Ada dawno się z nim nie widziała, zmagali się telefonicznie. Mówią, że mocno się zestarzał. Stary dziad. Nie lubię, gdy moi rówieśnicy wyglądają starzej niż powinno się wyglądać w moim wieku. W jednego rąbnie, wkrótce każdy z nas oberwie...

- Edek, ty mnie pamiętasz? - następnego dnia rano słyszę w słuchawce głos Bumka. - Siedzieliśmy w jednej ławce dziesięć lat. A pamiętasz nasze dyskusje? O bombie atomowej, pamiętasz? Mieliśmy swój świat. On był naiwny, ale on był czysty. Popatrz: nasze dzieci mają świat nienaiwny, ale on jest od raz nieczysty... - Ma intonację charakterystyczną dla Żydów z Polski, ale charakterystyczną nienatrętnie, delikatnie. Pytam, kiedy możemy się spotkać. - Niezadługo. W moim domu jest grypa. To nie jest moja grypa, to jest grypa mojej córki. Ona mieszka osobno, ale chorować przyszła do mnie. Popatrz: tacy ludzie są w Izraelu.

- Bumek... A ty dobrze się czujesz?

- Pierwszorzędnie. Popatrz: w Izraelu latem może być 36 plus. A na Syberii było 36 minus. To jest razem 72. Uczył nas Ciepła, że przy takim skoku ciało się zużywa, pamiętasz?

Mój pobyt w Izraelu przeżywam tak, jakbym się znalazł w środku prozy historycznej. Nie tylko dlatego, że oglądam ślady prastarej cywilizacji: Cezarea, Masada, Jerycho, Nazaret, Betlejem, Jeruzalem. Także dlatego, że obcuje z ludźmi wskrzeszonymi w mojej biografii. Najbardziej jestem ciekaw ich codzienności. Pisał Bartoszyński, że to właśnie powieść historyczna uniezwykła zwyczajność życia, gdyż zupełnie banalne czynności - jedzenie, sprzątanie, sznurowanie butów - pokazuje w czasie wskrzeszonym.

Spotkanie u Bumka. Rozlewa rosół do talerzy. Przyglądamy się sobie i myślimy o tym samym.

- Edek? Ty kiedyś w Szczecinie myślałeś, że ja ci w Izraelu ugotuję rosół? Ty 32 lata mogłeś myśleć, że ja ci w Izraelu wleję rosół do talerza, a?

Bumek stary? Niedorzeczny żart! Wygląda kwitnąco. Krzepki, wysportowany. Jest mierzniczym w elektrowni. Studiował prawo w Warszawie, w Izraelu powołano go do wojska, a po wojsku trzeba było zarabiać na chleb. Żona, trójka dzieci. - Troje zrobiłem - mówi z dumą. Sypie dowcipami. Żywa antologia dowcipu z lat szkolnych. Pływamy w basenie. Bumek nurkuje, długo nie wypływa. Besztam go, niech nie przesadza.

- Ja pod wodą przypominam sobie dawne kawały - wyjaśnia. - Jeden Amerykan pytał mnie tak samo, jak ty. To ja mu powiedziałem, że pod wodą lepiej, bo nie widzę tego błota dokoła.

- Jakie ty masz poglądy polityczne, Bumek?

- Co znaczy "polityczne"?

- Na kogo będziesz głosował?

- Ja mam taki program polityczny, co go nikt nie ma. Ja wiem, co zrobić, żeby tutaj był raj. Popatrz: najpierw trzeba wyrzucić Arabów. Trzeba wyrzucić Arabów. A potem... wyrzucić Żydów!

Gdy wróciłem znad Morza Martwego, zadzwonił. Zna te tereny, zakładał tam trakcję elektryczną. - Czy dalej tam śmierdzi siarkowodorem? Pierwszy raz to ja myślałem, że ja jestem w sraczu. - Opowiada o Beduinach. Bywał często ich gościem, przesiadywał w namiotach. - Bumek, ty się z Beduinami dogadywałeś?

- Dogadywałem się. No i miałem ze sobą pistolet.

Nie zawsze wiem, kiedy żartuje. Jego dowcip wciąż bywa maską, maskaronom ze szkolnego zdjęcia. W domu pokazuje mi pistolet w kaburze. Pewno, myślę, zabawka na wodę, jakaś sztuczka. Wiezie mnie służbowym samochodem do kibucu Hazorea. W kibucu nie rozstaje się z torbą. Kibucnicy są dumni, że ich domy pootwierane, nikt nie kradnie, a Bumek z torbą zachowuje się tak, jak gdyby im wyzywająco zaprzeczał.

- Zostaw tę torbę - proszę. Obrażasz ich.

- Ja mam w torbie pistolet.

- Na tych terenach zdarzają się... akcje?

- Jak jest ze mną pistolet, to ty nie musisz się bać - wyjaśnia rzeczowo.

Pierwszego dnia pobytu chciałem dać mu w prezencie swój kartkowy przydział wędlin, które "wystałem" w sklepie zaopatrywanym przez PGR Buszewko. Z żalem odmówił. Sam by zjadł. Polskie kiełbasy są pierwszorzędne. Ale jego dom jest koszerny. Żona się ureligijnia. Chorowała, ślubowała w szpitalu, teraz się ureligijnia.

Drugi tydzień pobytu mija coraz prędzej. Spada się "z górki". Wkrótce odlot. A Bumek wciąż mi się wymyka. Gdy pytam o sprawy ważne, ucieka w paradoks, w grę słów.

- Wierzysz w Boga?

- Jedni mówią, że gdy umrzemy, to nas robaki zjedzą. Drudzy, że pójdziemy do nieba. To ja wolę ich słuchać. Popatrz: w niebie musi być pierwszorzędnie, jeszcze nikt stamtąd nie wrócił.



Czyham na sposobność rozmowy serio.

- Powiedz, nie żałujesz, że się tu znalazłeś? Hania Hoch w Ameryce, Awiwa w Ameryce, Pola w Paryżu...

- Nu, ja jestem w Izraelu tyle lat, że już należy mi się odszkodowanie.

Jak go wytrącić z tego stylu? Wiem: błąd polega na tym, że wciąż mu zadaję pytania. Trzeba samemu się odsłonić, najpierw, zwyczajnie, najprościej.

- Bumek, czy ty wiesz, jakie to dla mnie ważne, że mogłem się spotkać z wami, z tobą? W Izraelu spotykam się z częstką mojego dzieciństwa.

Bumek reaguje natychmiast. Jak gdyby czekał na takie wyznanie. On też to mocno przeżywa. Nie może spać. A jego dzieci, gdy powiedział im, że siedzieliśmy w Szczecinie w jednej ławce dziesięć lat! Co to dla nich znaczy! Chcą wiedzieć, skąd są. Szukają korzeni, siebie w przeszłości rodziców. On żyje tu i tam, Izraelem i Polską, podwójnie. Jak dom na rogu ulic. Nazywał się kiedyś Eckhaus i to nazwisko uratowało mu życie: dowódca był człowiekiem urodzonym w Palestynie, nie potrafił wymówić niemieckiego słowa, nie posłał go na akcję; z akcji nikt nie wrócił. Teraz nazywa się po hebrajsku Abraham Karni. Ale to znaczy to samo co przedtem: narożny dom.

Podarowałem mu na pożegnanie swoją książeczkę o Majakowskim.

- Ładnie piszesz - chwali mnie Bumek. - Nawet troszeczkę ładniej niż w szkole. Ty zrób książkę o Izraelu. Popatrz: możesz ją drukować w Polsce oficjalnie. Ja ci dam pierwsze zdanie. Ty w pierwszym zdaniu powiesz, że Izrael powstał dzięki Związkowi Radzieckiemu. Będzie to prawda. Jak ty powiesz, będą musieli drukować.

Po 32 latach Bumek pamięta obowiązujące w moim kraju reguły gry:

Poznań, październik-listopad 1988 r.

## OSIEM, SIEDEM

Bumek ugotował obiad. Jest nas sześcioro z klasy. Tyle mamy wspólnych wspomnień, ale w tej chwili łączy nas wspólna trema. Unosi się nad suto zastawionym stołem w domu Bumka. Jeszcze nic się nie stało. Jeszcze nie znaleźliśmy języka, ba, słowa, od którego mógłby się zacząć nasz świat. /Na początku była trema?/ Tymczasem pracują mięśnie. Każdy chce usługiwać innym, nikt nie chce być obsługiwanym. Jednocześnie wyciągamy ręce po półmiski i zaczynamy nimi manewrować - półkolami, z gracją, płynnie, szaszłyk wyżej, pitta niżej, ziakom się na udko kurze, tej sałatki z melona musisz koniecznie skosztować. Balet dań, wspaniałości kuchni Bumka. Poruszamy się jak tańczące manekiny, roboty, dźwigi. Dźwigi! Chcę coś powiedzieć o dźwigach nad Odrą, może one okażą się słowem łączącym, były stałym motywem plastycznym w gazetkach ściennych szkoły TPD, a także krajobrazem ucieczek z lekcji na wspólne węgry...

- Edek, ty przecież mieszkałeś na Niebuszewie - odzywa się Lewy, Lewiński, nazywamy. Lewym dawno temu w Szczecinie i tak samo tu, w Izraelu.

- A tak, na Żupańskiego, wiesz, uliczka w dół, tam w parku jeziorko, bajorko, pałkowaty mostek - mówię szybko.

- Edek mieszkał na L e j b u s z e w i e - stwierdza Ala.

Wywołuje to ogólną radość. Półmiski łądają na stole. To jest słowo, na które czekaliśmy: Lejbuszewo!

Wcześniej mieszkałem z rodzicami na Pogodnie. Trzy osoby w czterech wysokich, słonecznych pokojach. Moi rodzice, to znaczy, mówiąc ściślej, mama i Nowy Tatuś bali się, że nam kogoś dokwaterują. Jakąś bandycką rodzinę. Małoż takich? Słyszało

się tu i ówdzie o kwaterunkowym łączeniu obcych rodzin, o tym, dobrze nam znanym z radzieckiej przeszłości, zwiastunie ustroju sprawiedliwości społecznej. Nowy Tatuś wierzył w komunę jako sposób na wszechświat, ale komuny we własnym domu nie pragnął. Umykając przed kolektywizacją łazienki i kuchni, przed kołchozem nocnych szmerów i brzęków rodzinnych, przeprowadziliśmy się chyżo do o wiele mniejszego /dwa pokoje/ i mrocznawego pokoju, na Niebuszewo. Tu - po opuszczeniu wioski nad granicą - urządziła się właśnie moja siostra Ira z mężem i synami. My na Żupańskiego, Ira na Słowackiego, w razie czego blisko, jak by nie daj Boże co.

W tej właśnie dzielnicy po wojnie osiedliło się dużo rodzin żydowskich; trzymali się razem? lub może ktoś ich specjalnie kierował w jedno miejsce? Nie wiem, byłem dzieckiem. Byłem dzieckiem z zasadami i nigdy nie mówiłem "Lejbuszewo". Wstydziłem się tak mówić. Ta prześmiewczo przekręcona nazwa wydawała mi się nietaktowna, reakcyjna, wroga noszonym na 1 maja hasłom braterstwa narodów. Było to wszakże jedno z pierwszych słów szczecińskich, w mieście gromadzącym wielką różnorodność gwar napływowych i nie mającym własnej - budziło sympatię. Dwuznaczną jakby. Szemraną. Cha, cha, Lejbuszewo. Niektórzy dodawali "uj" lub "aj, waj". Błaznowali kręcąc tułowiem i podrygując rytmicznie: - Aj, waj, Lejbuszewo.

I teraz: cóż się okazuje? Tym samym słowem bawią się tu, w Izraelu. Dla nich to świetny szmonces. Lecz przede wszystkim - wspomnienie dzieciństwa, rzecz sentymentalna.

- Lejbuszewo - powtarza Bumek. - Pierwszorzędnie! - unosi brew, jak dawniej, gdy udawał Rokossowskiego. Tą brwią uniesioną teraz dziwi się na samą myśl, iż być może jest gdzieś ktoś, kto nie czuje się

przekonany, że to właśnie jest pierwszo-  
rzędnie.

- Ale ty mieszkałeś w śródmieściu? -  
przypominam sobie nagłe.

- Ja tak, ja na Śląskiej - odpowiada  
Bumek i wyciąga dłoń w stronę Lewego. - Le-  
wy nie wiedział, że ja jestem Żydem. On  
żył na Lejbuszewie i myślał, że kto Żyd,  
musi żyć tylko tam. A jak się już dowie-  
dział, to on powiedział do mnie: ty parszy-  
wy Żydu. Ghy, hy, hy.

Trema ginie, triumfuje szmonces. Nad  
stołem krążą półmiski, salaterki, winogro-  
na, alkohole. Gwar gęstnieje, rozłamuje  
się, dzieli się na gwary mniejsze, które  
za chwilę przestaną się wzajem przenikać.  
Bumek tego nie lubi. Nie po to zebraliśmy  
się razem po 32 latach, żeby już po chwili  
nie być razem. Pokazuje nam starą gazetę.  
Wysoko, żeby każdy widział. Milkniemy.

- Ja mam znajomą w kibucu - mówi Bumek  
- Myśmy się poznajomili przez gazetę. Ty  
zobaczysz niezadługo kibuc Hazorea, tam,  
Edek, pojutrze pojedziemy. Ona, kiedy to?  
kilka lat temu! napisała do gazety, że  
szuka Polaków, co są ze Szczecina i może  
znali jej ojca. Tutaj jest zdjęcie jej  
ojca. Ja tę gazetę trzymam na pamiątkę.

- I okazało się, że ty jej ojca znałeś  
rzeczywiście?

- Nu, ja do niej zadzwoniłem, ja jej  
powiedziałem: słuchaj, ja jestem ze Szczeci-  
cina, ale ja twojego ojca nie znam.

Śmiejemy się, Bumek kręci głową, nie,  
jeszcze nie skończył, pozwólmy mu opowie-  
dzieć historię do końca: - Ja twojego ojca  
nie znam, powiedziałem, ale ja znam ludzi  
ze Szczecina, co mogli twojego ojca znać,  
to ty weź i zapisz telefony.

- Bumek: dobry człowiek - wtrąca Ala.

- I co? I co?

- Od tego czasu się znamy. Ona żyje  
w kibucu. Ty wiesz, co kibuc? A? pojutrze  
będziemy!



- Koniecznie, koniecznie, to trzeba zobaczyć - mówi Ada, jak zwykle zdecydowanie. I teraz wszyscy, mąż Ady, Heniek, Ala z mężem Benkiem, Lewy z żoną, wszyscy potakują, otaczają mnie oczami, koniecznie, koniecznie. Jestem w środku ich spojrzeń. - Ken, ken - mówi Miriam, żona Bumka, która co nieco rozumie po polsku. Dzieci Bumka nie znają polskiego, Bumek nie nadaża z tłumaczeniem, mimo to one także czują nas-trój chwili, mają w oczach naszą wspólnotę, ken, ken. Następuje wymiana poglądów na temat życia w kibucu. Kto by mógł, kto by nie mógł tam żyć. Okazuje się, że większość by nie mogła. /Kibucnicy stanowią zaledwie 6 procent ludności Izraela./ Cicho, Bumek chce coś powiedzieć!

- Nu, ja po wojsku poszedłem do kibucu. Próbowałem; robiłem w gnoju. Gnój i błoto, miesiąc, jeszcze jeden. Ile można? Po pół roku stamtąd spierdalałem.

Dziwne uczucie. /Tu wszystko jest dziwne./ Najpierw cel mojej podróży to był po prostu Izrael. Teraz się okazuje, że w Izraelu mogę znajdować się raz daleko od Polski, raz blisko. Na przykład Tel Aviv czy Holon, albo Ramat-Gan, to, przeliczając odległość na znaki kultury, wcale nie jest dalej od Poznania niż, dajmy na to, Francja. Architektura, rytm życia ulicy, ciuchy, sklepy mają styl zachodnioeuropejski. /I zaśmiecenie ulic jak na przedmieściach Paryża./ Jerozolima jest znacznie dalej, głębiej w czasie, zabytkowo; głębiej także dosłownie, bo Jeruzalem Chrystusa osunęło się w głąb ziemi; prawdziwą drogę krzyżową można widzieć zaglądając do głębokich otworów, jak do studni, w dzielnicy arabskiej. Również kibuc jest dalej, istnieje inaczej niż wszystko, co znam. Jedyne w świecie komuna, która się ludziom udała?

No to do Hazorei!

Bumek prowadzi samochód służbowy, coś w rodzaju polskiego tarpana. Grzęźniemy

w korkach Tel Avivu, w spalinach pachnących słońcem, które od rana wypełnia miasto; zapowiadany w telewizji deszcz wciąż umyka gdzieś izobarami, krzywiznami wiatrów pustynnych, i omija Ziemię Świętą. Ruszamy, by za chwilę znów się zatrzymać. Gaz, hamulec, gaz, hamulec. Z auta obok ktoś pyta o drogę. - Mnie często pytają - wyjaśnia Bumek. - A ja czasem odpowiadam tak: słuchaj, ja znam drogę, ale ja nie każdemu mówię. Wtedy ten się dziwi. Wtedy ja mówię: ty mi wyglądasz sympatycznie, to ja tobie powiem, hy, hy.

Nagle wjeżdżamy w zieleń, jest oliwkowo, palmowo, mijamy rzędy drzewek rodzących chleb świętojański, droga prowadzi na północ, w stronę Haify. - W Izraelu najważniejsze - Bumek wraca do przerwane go wątku, - żebyś nawiązał znajomość. Ludzie w Izraelu potrzebują się znać. Zapytasz o drogę i już go znasz, powiesz "shalom" i już się znacie. - Nie dojeżdżając, niestety, do przepięknej Haify skręcamy w prawo, na północny wschód, ku wzniesieniom, ku polom uprawy bawełny. Hazorea? Spodziewałem się budki wartowniczej, legitymowania, a tu brama /przypomina wjazd do PGR/ otwarta na oścież.

Jest i Tova, znajoma z gazety. Drobna, piegowata, w dżinsach. Najpierw chce nam pokazać, jak mieszka. Pokój wydaje się dalszym ciągiem ogródka sprzed domu, szyby nie dzielą lecz łączą przestrzenie, na ścianach kołyszą się te same barwy słońca, jakby przeniesione z kwiatów za oknami. Mała, schludna kuchnia jest dalszym ciągiem pokoju, a za nią, za szkłem, znowu ogród. Zaraz będzie kawa. Może być arabska, ze specyficznym przysmakiem? Czekolada, pomarańcze, śmiało! A po kieliszeczku wódki? O tej porze nie?

- Ponieważ z Polski, to myślałem, że o każdej porze.

Ona z Polski wyjechała dawno, z matką i rodzeństwem, miała wtedy pięć lat i na imię Danusia. Ojciec został. Pochowano go na Ku Słońcu. Postanowiła, że pojedzie do Polski, odnajdzie w Szczecinie g. b. ojca, zadba o przewiezienie zwłok do Warszawy, żeby spoczęły na cmentarzu żydowskim. Kiedy zamierza jechać? Co za pytanie: już była!

- Byłaś w Polsce?

Uśmiecha się. Musiała to zrobić. Jej rodzina pochodzi z Warszawy, teraz ojciec leży tam, gdzie dziadkowie i pradziadkowie, Tova wreszcie może żyć spokojnie, spełniła obowiązek, kamień spadł z serca.

- Jak Szczecin? - pytam.

- Edek mieszkał w Szczecinie do matury - wtrąca Bumek. - On wiesz gdzie mieszkał? Na Lejbuszewie, ghy, hy.

Danusia-Tova po polsku mówi z wysiłkiem. Ale mówi! Rozumie zdania proste, wypowiadane bez pośpiechu. Ale rozumie! Gdy przyjechały do Izraela, porozumiewały się między sobą po polsku, ona, mama, siostry.

Rozglądam się po pokoju - powinienem był zauważyć od razu: na ścianach wiszą kolorowe zdjęcia, to Szczecin, z oddalenia poznaję Wały Chrobrego. Tu wałęsaliśmy się po lekcjach, albo i w czasie lekcji, gapiiliśmy się na Odrę, na elewator, dźwigi, stały motyw gazetek ściennych, temat "szczecińskich" wierszy w latach pięćdziesiątych, z gazet i akademii, także moich wierszy. Przez moment zapominam, gdzie właściwie jestem. Polska w Izraelu, Wały Chrobrego w kibucu.

Pytam, słyszę, jak pytam, dlaczego ojciec Danusi /Tovy/ nie wyjechał z Polski. I myślę jednocześnie, że przesadzam, z jakiej racji włamuję się do spraw osobistych dziewczyny, którą znam kilka chwil? W porządku: Tova /Danusia/ z jakichś powodów uznaje, że mogę o to pytać. Ojciec był

komunistą. Czuł się bardziej komunistą niż Żydem, wierzył w klasy, nie w narody.

- Był krawcem, szył prywatnie, na Słowackiego.

- Na Słowackiego mieszkała moja siostra - mówię. - Na Słowackiego osiem, mieszkania siedem.

Tova zrywa się gwałtownie, podbiega do ściany, staje przed jednym ze zdjęć, i ja także zrywam się, podbiegam, wkładam okulary, tak!

- To jest przecież Słowackiego osiem! - mówi prędko. - Brama, kamienica, tu ja się urodziłam, tu mój ojciec...

Wstaje Bumek, także chce obejrzeć zdjęcie, jest podniecony, a zarazem zepchnięty jakby przez niespodziewany zbieg okoliczności na dalszy plan, bo nie on tu potrafi stwierdzić, czy to rzeczywiście Słowackiego osiem, a Danusia-Tova tak, bo tam była niedawno, a ja tak, bo mieszkałem niedaleko, dotykam palcem, patrzcie, ten balkon, te okna, tu mieszkała Ira, moja siostra, wiele lat, Tova dotyka niżej, a te okna były moje, mówi, ojca, do śmierci.

Wychodzimy. Już czas. Przed nami kibuc.

Za murem pamiętam bawełnę, tu widzę ciągniki, maszyny rolnicze, bydło, słowem: wieś. Oglądamy pod dachem zmyślną kombinację zbiorników wodnych, w których gęsto, czerwono i złoto od ryb /najpoważniejsze źródło dochodów Hazorei/. Ale nie całkiem wieś. Dwie fabryki, jedna produkuje wory i torby z plastiku, druga drogie meble. Wokół uzdrowisko, park, basen, kino, parterowe domki z kwietnikami. Komplet, mikro-wszczęświat. Przekład życia na rzeczy. Myślę tak: gdyby biografię człowieka cywilizacji zachodniej, człowieka przeciętnego, który utrzymuje się z pracy rąk własnych, a zarazem jest i czuje się w społeczeństwie wartością centralną, zobaczyć przestrzenie, w postaci skansenu, jako wystawę rzeczy i urządzeń, które owemu człowiekowi



towarzyszą od narodzin do śmierci, od podłogi z zabawkami do łóżka z butlą tlenową, to byłby to kibuc. Nie tylko pomysłany do życia, ale i do zwiedzania. Nasza obecność nie dziwi nikogo ani w izbach, w których mieszkają - internatowo - dzieciaki, ani w rękodzielniczej pracowni ludzi bardzo starych, poświęcających czas wolny od bólu na wyrób makatek, abażurów, lalek, ani w stołówce, gdzie nierzadko pożywiają się za darmo gromadki wędrujących po Ziemi Świętej studentów, i gdzie wystarczy odkręcić któryś z pięciu kranów, aby szklanka napełniła się wodą z sokiem czy coca colą. Jednego tylko nie widać: nadzoru, urzędów. Gdzieś to musi istnieć, ale nie narzuca się, nie puszy.

Co pewien czas któreś z nas przypomina sobie Słowackiego osiem, chwyta się za głowę, rozkłada ręce, no nie, niesamowicie!

- Popatrz - mówi Bumek. - Ja myślałem, że ja ciebie poznam z moją znajomą z gazety. Ale ty na Lejbuszewie chodziłeś do swojej siostry? Nu, tak. Mogłeś tam iść, spotkać na schodach czteroletnią Tovę, a wtedy jeszcze Danusię, ona mogła na przykład płakać, ty jej na, masz cukierka. To czyja ona znajoma? Kto tu kogo do kogo przywiózł?

- No tak, - mówię, - no nie, historia nie z tej planety.

- Ada się zdziwi. Ala się zdziwi. Lewy się zdziwi. Moje dzieci się zdziwią. Pierwszorządnie.

Tova-Danusia nie odnalazła w Szczecinie przyjaciół ojca. Byli, nie ma, poumierali, wyjechali, pustka. Sąsiedzi na Słowackiego, owszem rozmawiali z nią serdecznie. Ale ich wspomnienia były mgliste, ogólne, bez zdarzeń. Tanci, którzy zajmują ich dawne mieszkanie, zachowywali się wrogo. Nie chcieli wpuścić do środka. Kobieta odmówiła kategorycznie, trzasnęła drzwiami, dopiero mąż się zlitował, pozwolił zrobić kilka zdjęć.

Przed pożegnaniem - jeszcze po małej kawce. W domu Tovy, już oswojonym, ogarnia mnie senność. Widzę, że Bumka też: ziewa ukradkiem. Fotele miękkie, głębokie. Jak to dobrze, myślę, że nie czekają na mnie tu już żadne niespodzianki. Umawiam się z Danusią-Tową, że do niej napiszę. Na początku listopada spotkam się z siostrą; przyjedzie do Poznania na grób mamy. Wypytam o ojca Danusi, napiszę, na pewno.

- Ty... czytasz po polsku?

- Niedużo. Uczę się.

- Może chcesz, żebym ci przysłał podręcznik języka polskiego dla cudzoziemców?

- Dziękuję. Uczę się z książek dla dzieci. Duże litery. Zaraz pokażę, jakie kupiłam w Polsce.

Przeoglądam książeczki dla dzieci, tłumię znużenie, usiłuję pokonać senność, i nagle - miało nie być już niespodzianek! A tu "Wiersze dla Grzesia". Nie mam siły, by zareagować tak, jak na to zasługuje sytuacja. Mówię cicho, poprzez ciepło i gorycz kawy, poprzez ból oczu, że ja tego Grzesia znam, jego ojca i matkę od lat, a samego Grzesia, który teraz studiuje jakąś wiedzę tajemną politechniki, znam w pewnym sensie sprzed jego urodzenia, pamiętam jego matkę, jak była w ciąży. Widzę, że i Tova, i Bumek, także reagują słabiej, niż pragną, bo i oni nie mają już siły: za dużo wrażeń.

W drodze powrotnej - znaki zapytania. Zamykam oczy. Widzę wysokie bramy, kamienice z balkonami na ulicy Słowackiego. Każda nieco inna, ale w tym samym stylu, można się pomylić. Przeskakują cyfry. Zawsze mi przeszukiwały, ilekroć adresowałem kopertę czy kartkę pocztową. Osiem, mieszkanie siedem - czy siedem, mieszkanie osiem? Myliłem się dawniej, a teraz, gdy od wielu lat Irka ma dom w Dąbiu, tym łatwiej mogłem pałać...

- Edek, jesteś zadowolony z Hazorei?

- pyta Bumek.

Mijamy przystanki autobusowe, gromadki żołnierzy, dziewczyny w mundurach wojskowych - w wieku moich studentek z pierwszego, drugiego roku. Bumek wyczuwa mój niepokój. Nic mu nie powiem, nic. Tak się cieszył! Układa sobie w myślach opowieść o naszej przygodzie.

... że na zdjęciu poznałem kamienicę? że dotykałem palcami sfotografowanych okien, zapewniałem, o tu, tu mieszkała Irka z mężem i dziećmi? Byłem szczerzy jak złoto. Ale to żaden dowód, niestety. Związczą w Izraelu. Już parę razy uwierzyłem, że poznaję coś lub kogoś, kogo nie poznawałem. Jak we śnie. Niedawno: widzę obcego człowieka. Mówią mi, że to Lewy. Cześć, Lewy, co za spotkanie, czy cię poznaję? ależ naturalnie! Ściskamy się, przez chwilę wierzyłem, po chwili natężam pamięć, a w niej czarno. Żadnego obrazu, który by był twarzą Lewego, sylwetką Lewego, Lewym. Działa siła wmówienia, więc wierzę na słowo.

- Jak ja opowiem dzieciom, kogo ty spotkałeś w Hazorei, to nie wiem, czy my zańniemy - wzdycha Bumek. - Chcą, żebym opowiadał o Polsce. Szukają korzeni. Jest czas szukania korzeni. W Izraelu ludzie przybyli z osiemdziesięciu stron świata. Ty rozumiesz? Ja ze swoimi dziećmi prawie muszę spacerować po Szczecinie, mówić dokładnie o ulicach i ludziach. Ja nie zawsze dokładnie wiem. Ale muszę.

Droga Danusiul!

Piszę ten list na maszynie, żeby było Ci łatwiej czytać. Rozmawiałem wczoraj z moją siostrą. Pamięta Was dobrze. Znała Twoich rodziców, a także rodzeństwo. Twoja starsza siostra bawiła się na podwórku. Irka twierdzi, że Ciebie również pamięta. Ty byłaś najmłodsza. Miałaś rude włoski, okrągłą buzię. Tylko to, żeś Danusia, wyleciało jej z pamięci. Po Waszym wyjeździe

Twój ojciec bywał u Irki, lubił jej męża, czasami przechowywał u nich w lodówce mięso, ryby. Raz urządził przyjęcie, w przeddzień spotkał na schodach męża Irki, dał mu na przechowanie kurę i kiełbasę. Mąż Irki nie stronił od alkoholu, wtedy też był pod gazem, towar schował, a następnego dnia rano nie mógł sobie przypomnieć, skąd się wzięło w lodówce tyle mięsa. Doszedł do wniosku, że kupił po pijanemu. Kiełbasę zjedli, z kury Ira ugotowała rosół. Aż tu dzwoni do drzwi Twój ojciec, prosi o zwrot depozytu. Wiesz, mówi mąż Iry, myśmy ci nawet rosół ugotowali, zresztą na naszej włoszczyźnie. Bierz, częstuj gości. Twój ojciec wzruszony, dziękuje, bierze rosół. A kiełbasa? pyta. A kiełbasę zjadłem! na to mąż Irki.

Danusiu, niestety, Irka niewiele pamięta takich zabawnych zdarzeń. Pamięta smutne. Ty chcesz znać prawdę o ojcu, dlatego postanowiłem napisać wszystko, czego się dowiedziałem. Bo i cóż Ci po nieprawdzie? Twój ojciec nie był szczęśliwy. Zamieszkał z kobietą, która wkrótce sprowadziła do domu kochanka. Pod jednym dachem żyli we troje. Oni dokuczali Twemu ojcu, on się ich bał. Bał się także niebezpieczeństw urojonych. Czuł się osaczony, zaszczuty. Był człowiekiem chorym. Mówił, że do Izraela nie pojedzie, bo tam zabijają go Żydzi.

Kiedyś spotkał Irkę na schodach: pani Ireneo, ja panią poczęstuję macą, którą przysłała mi żona, mam tego całą walizkę... Otwiera walizkę, a tam podarte gazety.

Często przybiegał w nocy ze skargą, że nie może się dostać do domu, bo złośliwie zamieniono zamek. Mąż Iry to złota rączka: brał narzędzia, zbiegał na dół, okazywało się, że drzwi otwarte.

Irka nie pamięta, jak umierał. O jego śmierci dowiedziała się w parę dni po po pogrzebie, którym zajęło się kilku przyjaciół.



Napisz, co u Ciebie. Jak się powodzi Twojej rezolutnej córeczce? Po powrocie do Polski wciąż opowiadam o Izraelu. Pozdrawiam Cię serdecznie, Edward.

Dzień dobry - witam serdecznie!

Bardzo dziękuję za obszerny, interesujący mnie bardzo list. Pisanie na maszynie jest dla mnie szczególnie dobre, bo mogę dokładnie zrozumieć /czasem z pomocą słownika/ treść i pomału dojść wszystkiego. Zawsze będę odpisywała /czasem może tylko nie tak prędko/. Cieszę się z tych prawdziwych informacji, bo każda prawda /nawet gorzka/ lepsza od lukrowatych, fałszywych treści. Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś się zobaczymy. U nas zima, ale taka, jak Wasza ciepła jesień. Nasze morza są ciepłe i można w nich pływać i żeglować /raczej młodzież/. Pozdrawiam, Tova.

Poznań, luty-marzec 1989 r.

# WIERŠE

KONRAD W. TATAROWSKI

## SOBIE SAMEMU NA 40-TE URODZINY

Nic się nie zmieniło Te same ręce  
z dziesięcioma palcami planet od kciuka  
prawej jak słoneczna żagiew do małego palca  
lewej Ciemnego Merkurego z kolorową  
powierzchnią  
palca serdecznego Ziemi  
Twoje nogi oceanami ociekające

Nic się nie zmieniło Spłucz wannę Pozbieraj  
włosy  
i mrużąc "jak gwiazdy wygasły" wrzuć do  
kosza  
i podziwiaj w lustrze rosnące kratery  
łysin pod którymi w wąwozach zmarszczek  
odbijają się Oczy  
ponad niemarkowym kremem do golenia  
tubką pasty do zębów miksturami  
konserwującymi wiotczającą skórę  
twarzy

Wczoraj widziałeś jak z pokładu samolotu  
w Larnace wyrzucono worek ciała  
drugiego człowieka  
Za zaciśniętym uchem igielnym  
twojej młodości /nie jesteś wielbłądem/  
myślisz o tym że zakładnicy  
starzeją się szybciej

Nic się nie zmieniło Jest noc świecą  
gwiazdy

twoje dzieci oddychają lekko  
Dawid uśmiecha się przez sen  
"kiedy będę duży..."

Monachium, 12 - 17 IV 88

MIŁOŚĆ /OKRUCHY POEMATU/

I. Genezis

/mówi Wąż-Stróż Drzewa Poznania/

Na początku był Uśmiech  
jak klucz przeznaczenia  
otworzył duszy mej piwnice  
na światło nieprzezroczyste Jasną  
stronę pokusy i ciemną wierności

Zbrzydł nagle Ogród spowszedniały obłoki  
kwiatów wonie owoców kolory trele ptaków  
i zwierząt igraszki Stałaś przede mną  
jabłkami pachnąca i winem  
I w klepsydrach zaczął się przesypywać  
piasek I zapadła noc pierwsza  
W jeziorach Twoich oczu siebie zobaczyłem  
Lecz przecież na dnie To był jego obraz  
zbyt późno to dostrzegłem

Coż on Ci dał ten zapaśnik tropiciel jeleni  
pogromca zająców w wyścigach na krótki  
dystans

Mogłaś tam zostać ze mną  
w czułej buhalterii jabłek zrywanych  
ukradkiem

raportów niedbale kwitowanych  
szpiegów nasyłanych czasami  
gadatliwych papug rozwrzeszczanych małą  
i tego Adama bez żebra  
i piątej klepki Taki był szczęśliwy  
mocując się z niedźwiadkami i spijając  
ukradkiem

ptasie jaja Po coś mu niosła to jabłko  
Dostrzegłem za drzewem ukryty  
Jak zaświeciły mu oczy Jak poblądł nagle

kiedy zrozumiał że Ty jesteś Ogród  
i drzewo i obłok nad głową  
I ruszyła ziemia  
I zapadła noc druga

Starzec spał w tym czasie w cieniu dębu  
mogłem go obudzić Oskarżyć Cię o kradzież  
moje słowo byłoby dowodem Adam  
rankiem zdradził mnie oskarżając

Dalej znasz historię Wasze wygnanie bez  
odruchu  
buntu Moja walka bez trucizn i sztyletów  
Nie klęknę przed nim by wsączyć mu do ucha  
wyrok na Ciebie ostateczny

Zbudowałem swoje podziemne Królestwo  
ślę swoje szpiegi na światy strony cztery  
wnikam w wasze sny A wy  
stawiacie mi pomniki Muzea Techniki Postępu  
Rewolucji również kościoły o strzelistych  
wieżach

mnie stawiacie Nie temu Starcowi  
zazdrosnemu nawet o wieżę Babel  
Pamiętasz te afery Pomieszanie języków  
Potopy Zagłada Sodomy Nic nie pomogło  
zwyciężyłaś Anno albowiem  
mnie zwyciężyłaś  
i tylko to naprawdę się liczy

Często patrzę na Ciebie  
pochyloną nad tomikiem wierszy  
kupującą obrazy i bułki Rozpinającą  
parasolkę by osłonić  
piękno tego świata  
nad którym czuвам



## II. Gnozis

- Co sływać?

- Rozpad atomów Gwiazd matowy poszum  
kiedy patrzysz na mnie badawczo  
Tak boleśnie konkretna  
nad stygnącą herbatą o godzinie  
dwudziestej minut piętnaście w kawiarni  
na Szwabingu

Błysnęło światełko Jeszcze chwila  
i zniknie Twoja twarz w pajęczynie

zmarszczek  
i rozbiorą Cię do snu czerwie i mrówki

i znowu zakwitnie wiosna  
Twoim uśmiechem Pęcznieniem nasion Kaskadą  
kolorów  
tryskających z pąków Znowu wyjdiesz na

ulicę  
w letniej powiewnej sukience Inne usta

innego mężczyzny  
wypowiedzą Twe imię Zawsze to samo Anno  
wszystko się zmienia tylko Ty pozostajesz  
ta sama zanurzona w szarych komórkach

wyobraźni  
Hóracego Dantego Petrarki i wielu tak wielu  
Don Kichotów Tristanów braci żywych i  
umarłych

Karamazowów

Więc co mam Ci powiedzieć  
kiedy tak siedzisz i patrzysz na mnie  
badawczo

Tu i Teraz Orzeźwiająca  
jak kieliszek wódki Parę taktów bluesa  
o zmiernych Ciemna gwiazdo  
obracająca moją krwią

To tylko chwila Anno  
kiedy Cię trzymam w dłoni jak perłę  
dłuższa niż życie i również  
przemijająca Ta chwila  
kiedy nagle koniec wiąże się z końcem  
jak pętla wisielca Kształt  
naszej wolności Anno

III 1988

Z ZAPISKÓW NOWOJORSKICH

W METRZE

Na wprost mnie na ławce  
żywy obraz  
czarne żółte żółte białe białe czarne  
czarne białe żółte białe żółte czarne  
białe czarne czarne żółte żółte białe  
Twarze  
wyrziste jak faktura płótna  
Van Gogha

N.Y. 24.III 88

W SAMOLOCIE

Warto przeżyć ten lot  
by opisać  
jak z seledynowej macicy kosmosu  
pod skrzydłem ryczącego Boeinga  
wyłania się  
olśniewająco ciche  
Słońce  
Jak chmury stają się  
coraz bardziej białe  
a niebo  
coraz bardziej niebieskie

dobrze musi być wszystko  
co się tak pięknie zaczyna

26.III 88

Konrad W. Tatarowski

# RECENZJE

JULIUSZ JAROSŁAWSKI

## ZRÓDŁA ŻYCIA

Urodzony w roku 1917 Léo Lipski /właśc. Leo Lipschütz/ to jeszcze jeden utalentowany pisarz emigracyjny, którego twórczość pozostaje prawie nieznaną w kraju. Z tym większą uwagą należy odnieść się do edycji "Opowiadań zebranych", przygotowanej w roku ubiegłym przez Fundusz Inicjatyw Społecznych; być może przybliży nam ona pisarza, którego dzieło w swoim czasie wysoko oceniła część emigracyjnej krytyki, czego wyrazem stało się m.in. przyznanie Lipskiemu w roku 1955 nagrody literackiej pisma Kultura.

Tytuł wydane go tomu jest nieco mylący. Pomieszczono w nim bowiem wszystkie utwory pisarza, jakie do tej pory ukazały się drukiem; a więc, obok kilku opowiadań, także fragmenty powieści "Niespokojni", w całości nigdy nie publikowanej. Otrzyma-

liśmy zatem nie tyle "Opowiadania zebrane" co opera edita Leo Lipskiego.

Jest to tom rozmiarami bardzo skromny - dokładnie 160 stron. Oprócz wyjątków z "Niespokojnych" /druk w londyńskich Wiadomościach 1952/ znalazły się w nim opowiadania ze zbioru "Dzień i noc" /Paryż 1957/, dłuższe opowiadanie pt. "Piotruś" /Paryż 1960/ oraz trzy krótkie prozy drukowane w emigracyjnych czasopismach literackich: "Prądawna opowieść" /Kultura 1959/, "Miaszeczek" /Kultura 1964/ i "Sarni braciszek" /Zapis 1981/.

"Niespokojni" to powieść o dzieciństwie i dojrzewaniu Emila, nadwrażliwego i przedwcześnie rozwiniętego duchowo chłopca, który chciałby zostać pisarzem, ale i kimś w rodzaju intelektualnego "monsieur le vivisecteur". "Dzień i noc" jest zbiorem trzech opowiadań, których akcja rozgrywa się w Sowietach w czasie ostatniej wojny. Lipski opisuje piekło łagrowej katongi i poniewierkę tych, co po amnestii 1941 roku, znalazłszy się już w ośrodkach Armii Polskiej, ginęli dziesiątkowani przez głód, tyfus i nieludzki klimat. Miejscem akcji "Piotrusia" jest z kolei Izrael, w latach czterdziestych, już po zakończeniu wojny. Tytułowy bohater, kaleki nędzarz, mający za sobą doświadczenia podobne do opisanych w "Dniu i nocy", sprzedaje się w niewolę odrażającej starusze, która aby pognać sublokatorów, codziennie na długie godziny zamyka go w ustępie.

W planie fabularnym wymienione utwory wykazują pewne pokrewieństwa. Niektóre postaci z "Niespokojnych" pojawiają się w "Miasteczku" i w opowiadaniach z tomu "Dzień i noc". Dalszego ciągu "Dnia i nocy", przy odrobinie dobrej woli, dopatrzeć się można w "Piotrusiu". Utwory te ukazują niejako różne fazy tej samej, choć rozpisanej na kilka postaci, biografii; na którą składają się: młodość w Polsce, wojna,



zsyłka i wygnanie. W jakimś sensie jest to oczywiście biografia samego autora. Fakt, że staje się ona materiałem przetwarzanym w kolejnych utworach, czyni z nich względnie spójną całość; nawet jeżeli sam Lipski nie dążył świadomie do stworzenia cyklu.

Czytając prozę Lipskiego częstokroć czujemy się zdezorientowani. Chwilami nie wiemy po prostu, czy autor jest brutalnym pisarzem-naturalistą, czy też tworzy fantasmagoryczne wizje oddalające się od rzeczywistości. Dopóki Lipski pisze o Sowietach, nie jest to jeszcze tak uderzające: wszak wiemy, że tutaj nie należy się niczemu dziwić. Gdy jednak akcja jego prozy przenosi się do Palestyny lat czterdziestych, czytelnik nieomal traci grunt pod nogami. Niektóre sytuacje wydają się zgoła nieprawdopodobne. /Czy rzeczywiście na suku w Tel-Awivie można było kupić człowieka? Niewolnictwo? Pod brytyjskim protektoratem? Skądinąd pamiętamy, że także wielu relacjom z ZSRR ludzie Zachodu nie dawali i nadal nie dają wiary. Świat opisywany przez Lipskiego co jakiś czas wpada w szaleńcze wibracje i z niepojętą prędkością zaczyna oscylować między realnością a groteskowym koszmarem. Krytycy dawno już zwrócili uwagę na tę cechę jego pisarstwa. Marian Pankowski, jeden z admiratorów prozy Lipskiego, pisał o emanującej z niej "aurze halucynacji". Nie ograniczając się do tego stwierdzenia należy podkreślić, że mamy tu do czynienia z celowym zabiegiem skrywającym głębszy sens. Jeden z bohaterów Lipskiego, liszeniec usiłujący jeszcze w łagrze konserwować maniery i sposób bycia człowieka z towarzystwa, zapytany o możliwość przedstawienia w dziele literackim zdeformowanego obrazu rzeczywistości sowieckiej, powiada: "Nie, nie. /.../ Nie wyobrażam sobie. To jest kraj wymyślony. Można deformować tylko to, co istnieje.

104

Wymyślonego nie da się deformować". W podobnym kierunku zmiierzają refleksje kalekiego Piotrusia: "Jestem nieobecny tam, gdzie chciałbym być najbardziej. epoka wiruje jak bąk, w jakimś dziwnym nie na serio. Jakaś niepewność czy się jest". Dwuznaczność opisywanej przez Lipskiego rzeczywistości odzwierciedlać ma i dwuznaczność współczesnego świata, i właściwe człowiekowi XX w. widzenie tego świata, naczaczone brakiem wiary w substancjonalność własnego bytu. W tej sytuacji pytanie o konwencję, w jakiej utrzymane są utwory Lipskiego, traci na znaczeniu. Pisarz posuwa się rzadko uczęszczaną, ale możliwą, trzecią drogą między realizmem a fantastyką. W jaki sposób udaje mu się drogę tę odnaleźć, pozostaje sekretem jego warsztatu, który zajmiemy się na koniec.

Poczucie lekkości istnienia i fantasmagoryczności świata łączy się u bohaterów Lipskiego z nieustraszonym dążeniem do odsłonięcia "prawdziwych źródeł życia". I Lipski, i jego bohaterowie interesują się ni mniej, ni więcej tylko - tajemnicą ludzkiej egzystencji. Tajemnica ta zaś jest przerażająca i odrażająca zarazem - oto jak brzmi najprostsze rozwiązanie zagadki. "Prawda istnienia jest nie do wytrzymania". Już choćby dlatego, że aby do niej dotrzeć, należy odrzucić wszystkie role i pozy /pojęcia te są u Lipskiego równie ważne jak pojęcie formy u Gombrowicza/ a to stanowi przywilej zastrzeżony dla istot, które z jakichś względów znalazły się na dnie: przywilej kalek, katorżników, chorych konających na tyfus w polowym szpitalu. Ponieważ ostatecznym spełnieniem egzystencji, jej drugą stroną, jest śmierć, poszukiwanie prawdy o źródłach życia, może sprowadzać się do poszukiwania prawdy o śmierci.

Utwory Lipskiego układają się w osobliwy Bildungsroman, którego bohater dostępuje

wtajemniczenia w śmierć, co równoznaczne jest z odrzuceniem młodzieńczej, wyidealizowanej wizji śmierci i życia. Obsesyjnie powracające w "Niespokojnych" obrazy wód, w których odbijają się księżyc i gwiazdy, symbolizują śmierć taką, jaką jawi się ona nie wtajemniczonym. O takich wodach marzy przed zaśnięciem mały Emil i w takich wodach ginie samobójczą śmiercią narzeczona dorastającego Emila, Ewa. W opisie jej śmierci odnajdujemy wszystkie elementy, które zdaniem Bachelarda tworzą poetycki kompleks Ofelii: chłodne uspokajające wody, falujące wodorosty, włosy rozczesywane przez nurt, odbity w toni księżyc. Śmierć Ewy, jak śmierć Ofelii, jest dobrotliwym, bezbolesnym zapadaniem w nicość; to prawdziwa euthanasia - dobra śmierć. Prawdziwe wtajemniczenie w śmierć /a więc i wtajemniczenie w życie/ polega na przejściu od kompleksu Ofelii do czegoś, co nazwałbym kompleksem Flegiasza. Flegiasz to postać pojawiająca się w ósmej pieśni Dantejskiego "Piekieł". Przewozi on Wergila i Dantego przez Styks, będący pełnym nieczystości bajorem, w którym toną dusze potępionych. W kolejnych utworach Lipskiego symbolem śmierci jest już nie woda, ale kał. Chorzy umierający w przepełnionym polowym szpitalu wprost toną w nieczystościach, oblegani przez żywiące się nimi owady: roje much i skarabeusze. Bezsilny, wyczerpany do granic sanitariusz Andrzej majaczy w półśnie: "Niech srają, niech utoną w gównie, niech się to wszystko razem zapadnie".

Wszyscy recenzenci prozy Lipskiego zwracali uwagę na jego styl. Składnia Lipskiego jest skrajnie uproszczona. Posługuje się on krótkimi zdaniami, często równoważnikami zdań, co zbliża rytm jego prozy do rytmu mowy potocznej. Poszczególne opowiadania sprawiają nieraz wrażenie konspektów czy

notatek do mających dopiero powstać utworów. Ale tu właśnie kryje się wspomniany "sekret warsztatu". Niemale każde zdanie przywołuje obraz, ewokuje jakiś szczegół. W ten sposób pisarz dodaje przedmiot do przedmiotu, obraz do obrazu, zdarzenie do zdarzenia. Niektóre z nich są zupełnie powszednie, inne z trudem mieszczą się w granicach prawdopodobieństwa. Tak dzieje się chociażby już w pierwszym dwuzdaniowym akapicie "Piotrusia", gdzie autor precyzuje czas i miejsce akcji, aby zaskoczył nas zaraz informacją, że z pewnych względów zmuszony był wystawić się na sprzedaż "wraz z odzieżą".

W latach pięćdziesiątych środki stylistyczne wprowadzane przez Lipskiego /wulgaryzmy, składnia języka potocznego/ nie były już nowością na skalę europejską. To też Helena Żukowska zarzuciła pisarzowi /"Orzeł Biały" 1957 nr 18/ pretensjonalność i hołdowanie przebrzmiałym modom. Pytanie o oryginalność ma, jak sądzę, podstawowe znaczenie dla oceny walorów artystycznych prozy Lipskiego. Patronem jego pisarstwa jest przede wszystkim Celine, na którego Lipski powołuje się całkiem otwarcie. Czy jednak dowodzi to, że jego dzieła są literaturą zrodzoną z literatury? Powiedziałbym, że chodzi tu raczej o podobieństwo doświadczeń i pojawiające się w ślad za nim podobieństwo form artystycznej ekspresji. Lipski, podobnie jak Celine, cierpiął na prawostronny paraliż. Czy mimikra literacka mogłaby posunąć się aż tak daleko?

Julisz Jarosławski

---

Leo Lipski: "Opowiadania zebrane". Wyd. Fundusz Inicjatyw Społecznych, Lublin 1988.



PO ZAPASCI

Jest taka myśl, wypowiedziana przez Sade'a i wielokrotnie później przypominana, że czasy rewolucyjne, okresy wielkich przemian nie sprzyjają powstawaniu wielkiej sztuki i literatury. Kiedy historia przyspiesza - piękno za nią nie nadąży. Pojemność poznawcza dzieła sztuki jest - jakoby - zbyt mała, by zmieścić rozmach i rozpęd zdarzeń odmieniających świat. Piękno jest bowiem albo konserwatywne, albo - przeciwnie - jest awangardowe: zawsze jednak uchwytne i rozpoznawalne na tle jakiegoś porządku, jakiegóś - choćby i opacznej - stratyfikacji wartości artystycznych i moralnych. Rewolucje są negatywnymi, burzycielskimi, wywrotowymi reakcjami na te różne porządki. Literatura przed i po rewolucji ma wiele możliwości /może być zacznem zbiorowych rewindykacji w dziedzinie wartości lub może pełnić rolę przewodnika po rumowisku wartości/, w t r a k c i e wszakże jest - jak wszyscy - zdezorientowana /i słaba, zagubiona/, bądź - jak nikt - zorientowana /i doktrynerska, agitacyjna, użytkowa/. Czymże jednak może być więcej - zdają się pytać zwolennicy tego poglądu - niż tylko świadectwem swoich niespokojnych czasów, śladem duchowych rozterek, dokumentem determinacji?

Przywołana myśl jest kontrowersyjna. Trudno z pewnością stwierdzić, czy znajduje oparcie w rzeczywistości historycznoliterackiej. Niemniej zaleca się jako wyjaśnienie fenomenu polskiej literatury ostatnich lat: wolnej od przemocy cenzury, wolnej od mitów ustrojowych, zdecydowanej i mającej sposobność, by mówić swoim i pełnym głosem. Dodajmy - literatury bardzo oczekiwanej, która dużej części tych oczę-

kiwań spełnić nie umiała. Mimo, że z masy piśmiennictwa ulotnego, okolicznościowego, podyktowanego przez impulsy i potrzeby chwili wyłaniają się utwory ważne, a także wybitne, to nie znajdujemy wśród nich wielu takich, które by ogniskowały duchowe potencjały społeczeństwa w formie dla nich stosownej. Niezależne życie literackie, rzesze niecierpliwych czytelników wypatrywały swojego arcydzieła i obwieszczają od czasu do czasu, raczej pochopnie, że nareszcie jest. Starzy mistrzowie - co prawda - na ogół nie zawadzili: świetne poezje opublikował w Paryżu Zbigniew Herbert, dobrze i znakomicie pisali Konwicki, Brandys, Szczepański i Hanna Krall, jeszcze inii, ale też w sumie wartość ich dokonań jest wartością komplementarną do zalet ich wcześniejszego dorobku, a więc w pewnym sensie - spoza epoki, spoza jej differentia specifica. Literatura lat ostatnich, powstała w warunkach tak nowych, często bez debitu nie zbudowała, moim zdaniem, cennej swoistości. Pozostaje w cieniu eseju, wspomnienia i dokumentu. Nawiazując do Aleksandra Wata chciałoby się powiedzieć, że - jako nie należąca do zajęć dorosłych mężów - pozostaje w cieniu historii i teologii.

Godzi się w tym miejscu podkreślić, że fakt pomyślnego istnienia tzw. drugiego obiegu literatury jest - sam w sobie - ogromnym zwycięstwem polskiej kultury i literatury nad monopolistycznymi roszczeniami władzy do panowania nad słowem, myślą i ideą; odnowieniem romantycznego przymierzania słowa i wolności, a jednocześnie dowodem na to, że wolność słowa nie powoduje bezpośrednio ani wolności narodu, ani wielkości literatury. Droga pogrudniowego piśmiennictwa wiedzie więc - jak się zdaje - od gromkiego optymizmu /"wiosna nasza"/, wyrażającego się w formie pośpiesznej i niedbałej do gorzkiej wierności ideałom wyrażonej starannie i mądrze.

W finale powieści Jacka Bocheńskiego "Stan po zapaści" czytamy: "Olśniło mnie. Już wiem, gdzie widziałem piersi tej dziewczyny. Na obrazie. To było sto pięćdziesiąt lat temu, może jeszcze dawniej, wolność prowadziła lud na barykady, malarzem był Delacroix, w sztuce i polityce panował romantyzm. Dziś on tylko w Polsce panuje do pewnego stopnia, a nasza wolność prowadząca lud na barykady jest chyba taka jak ta dziewczyna tutaj, biust ma pewnie z guzami, ale nia da go obciąć, raczej umrze, pomyślałem. I uśmiechnąłem się sam do siebie, trochę gorzko..." /s. 132-133/. Przebudzona polska wolność nie jest porywająca i urodziwa, niedomaga, utyka i krztusi się, jest przerażona i absurdalnie heroiczna. Nie wie, kiedy zwycięży i czy zdaży zwyciężyć: "A wszędzie dokoła leżą ci ludzie z pękającymi głowami, cały naród leży pokotem w stanie po zapaści. I w głowie mu szumi. I pożera go rak. Czuję: rosną nowotwory, guzy, nie wiadomo jeszcze jakie. Złośliwe, uleczalne? Przyjdzie dopiero chwila, gdy pierś nam rozkroją, zobaczą. A wtedy się wyjaśni. Jest wyjście czy nie? Wytną czy zaszyją tego raka już na zawsze? Tak czy tak? Jednej rzeczy bądźcie pewni wy tam wszyscy, do was mówię! Nie zgadzamy się absolutnie na pozbawienie nas... no mniejsza. A czy przetrwamy czy umrzemy? Nie wiadomo. Ale to się wyjaśni. dowiemy się po przebudzeniu. Już jutro." /s. 133/

Powieść Bocheńskiego wysnuła się ze splotu odpowiedzialności za sprawę najważniejsze, z niecierpliwości ich spełnienia, z niepewności, czy będą spełnione. Jej źródłem jest równie wewnętrzny przymus współodczuwania z ludźmi ich codziennej życiowej męki i upodlenia, oraz współuczestnictwa w bohaterstwie i ofiarności tych mniej licznych, zaangażowanych po stronie podziemnej "Solidarności".

Bohater-narrator "Stanu..." jest pisarzem. Po zapaści przebywa w szpitalu. Powoli odzyskuje siły. Z biegiem opowieści, oprócz wyłącznie receptywnych, nabywa zdolności refleksyjnych. Powieść jest skonstruowana na zasadzie poszerzania się perspektywy widzenia świata. Najpierw jest to widzenie krótkie: rzeczywistość odsłania się nam w postaci dostępnej człowiekowi leżącemu na postawionym w korytarzu, położym łóżku. Rozwija się, kiedy nasz narrator zajmuje łóżko normalne, w sali i jest w kontakcie z innymi, wstaje, spaceruje, dyskutuje. W końcu perspektywę zamykają problemy natury metafizycznej /Bóg, Historia/ i makrospołecznej /polityka, komunizm, suwerenność, opozycja/.

Perspektywa więc zmienia się, a poszczególne fazy tych zmian konstruuja /elastyczną w tym wypadku/ figurę znaczeniową o zarysach pars pro toto. Prędko spostrzegamy bowiem, że mocno uwydatnione szczegóły fizycznej i organizacyjnej degeneracji najbliższego otoczenia, pilnie rejestrowane detale prymitywnego szpitalnego bytowania przenoszą nas na obszary o wiele rozleglejsze niż szpital. Szpital to - maksymalnie uwiarygodniona - wielka metafora stanu, w jakim znajduje się Polska ze wszystkimi jej mieszkańcami. Bohatera-pisarza interesuje materia życia, jego zakryta i wstydlawa strona, podszewka ludzkiego losu. W zeszycie zapisuje dobiegające go fragmenty rozmów, drobne wydarzenia i epizody, scenariusze szpitalnych rytuałów, skrawki życia, strzępy sensów. Dzięki przytoczeniom cudzych słów, cytatom z opowieści chorych "otwiera" pisaną przez siebie historię na świat poza szpitalem, przywołuje i oświetla jego realia. "Stan po zapaści" zostaje obdarzony cechami pewnego uniwersalizmu. Okazuje się bowiem, że zapaść ludzkiego organizmu i organizmu szpitalnego nie są czymś wyjątkowym, że są pochodną sytuacji



całej, bezpośrednio nieobecnej, "reszty", całego kraju.

Ten alegoryczny i metaforyczny sposób interpretacji powieści Bocheńskiego jest upoważniony przez pewne właściwości narracji. Otóż narrator dosyć często przekracza założony poziom czystej referencjalności i wznosi się na poziom "poetycki", pociąga sensory jednostkowe i literalne w kierunku ogólności i wieloznaczności.

Zwykle szpitalne gawędzenie chorych, wspominki, zwierzenia i lęki prowokują go do zamyśleń, zestawień z czasami minionymi, snucia uogólnień na tematy polskiej historii i mentalności. Refleksje te budzą strach. Nasza narodowa choroba jest - jak z nich wynika - starsza niż totalitarny ustrój. Pogłębiona przezeń, rozwinięta, przyobleczona w formy nigdzie dotąd nie spotykane staje się dla społeczeństwa o brutalnie złamanym w Grudniu instynkcie samoocalenia czymś groźnym śmiertelnie. Naród przez nędzę i rozpacz nie oczyszcza się z grzechów, nie pięknieje moralnie. Naród taki wpada w błędne koło paniki i hipokryzji, kurczowo czepia się jednych wątków swojej przeszłości, wymazując pamięć innych. Rośnie w pychę lub grzeźnię w kompleksach. Naród, który - przypomina się wiersz Miłozsa:

"Władzę oddaje ludziom o oczach  
handlarzy złotem,  
Pozwala wznosić się ludziom o sumieniach  
zarządców burdelu.  
Gorzkie łyzy tego ludu przerywają w  
połowie pieśń,  
A kiedy milknie pieśń, mówi się głośno  
dowcipy.  
Naród wielki, naród niezwalczony, naród  
ironiczny,  
Umie rozpoznać prawdę, zachowując o  
tym milczenie..."

Powieść Bocheńskiego jest pełna boleści. Autor wznosi ją momentami na bardzo wysoki

poziom wzruszeń, chce się napisać - wzruszeń ściskających za gardło, nie pozwalających artykułować się bez oporu, jakby wyrwywających się językowi, pełnych pauz i niewypowiedzeń. Charakter tych fragmentów wzmacnia ich układ graficzny.

Oto uwagi na marginesie dyskusji o pochodzeniu potraw rybnych:

"Co z tymi Żydami? Dlaczego w Szwecji można pytać, czy ktoś jest Żydem, a w Polsce nie? Czekał na Ewę i myślę.

Jak to dlaczego? Dlatego, że podczas drugiej wojny światowej po takich pytaniach w Polsce Żydów zabijano, a w Szwecji nie. I myśmy to widzieli i nic na to nie poradzili albo prawie nic, więc zabito prawie wszystkich. Bo tak się zdarzyło, że ci naziści przyszli mordować do Polski, a nie do Szwecji.

No powiedzmy, że to tak, powiedzmy...

A przedtem, zanim naziści przyszli można było pytać?

Jednak bardziej. Jednak pytali. Czasem po takim pytaniu bili.

A czy nie mieliśmy przypadkiem do Żydów pretensji, jaką mamy do Szwedów i wszystkich praktycznych narodów świata, że oni nie rozumieli nigdy polskiego nieszczęścia? Ale tamci wszyscy byli daleko, a ci siedzieli z nami na tym samym śmierdzącym wozie i grali nam na nerwach.

To jak się mamy teraz pytać po prostu "ktoś ty, sąsiedzie", kiedy tyle o sobie pamiętamy?". /s. 33-34/

Quasipoetyckie lub eseistyczne, o skondensowanej treści wtrącenia w tok relacji z pobytu w szpitalu, przydając postaciom świata przedstawionego tło historyczne i kulturowe poszerzają emocjonalny i myślowy wymiar utworu, nadając mu znamiona autobiografii - czynią zeń równocześnie coś w rodzaju duchowej autobiografii polskiego inteligenta.

Pisarz, polski inteligent jest zaplątany w poczucie sprzecznych powinności wobec społeczeństwa. Na mocy faktu bycia inteligentem jest wobec społeczeństwa zobowiązany. Do czego jednak? Do wytwarzania idei wolności obywatelskich? Nie. Te idee są już od dawna i dobrze zakorzenione, od roku 80-tego są wspólną własnością wszystkich porządnym Polaków. Powinność nie ogranicza się do głoszenia, powtarzania i sprzyjania ideałom, o których wie się, że są słuszne. Odpowiedzialnym za deklaracje jest się bowiem nie przed słowem, ale przed rzeczywistością; odpowiada się za każdą cząstkę rzeczywistości, będącą przeciw i szkodzącą tym pierwszym zasadom życia. Stąd bohater-narrator "Stanu po zapaści" chce nie tylko współodczuwać - i odczuwa - nędzę ludzkiego losu w polskich realiach, ale i buntuje się - chce buntować - czynnie przeciw sprawcom i mechanizmom kształtującym ten los. Czyta ukradkiem "Tygodnik Mazowsze", nastawia odbiornik na Radio Solidarność, z przejęciem śledzi próby ulicznych manifestacji i przebieg gwałtów zadawanych przez władzę, konspiruje, by pomóc przebywającym w szpitalu uwięzionym za przekonania i chroniącym się tutaj przed uwięzieniem. Sprawom tym nie przygląda się, lecz blisko z nimi żyje, jednoczy się. Wybiera samowiedzę uczestnika zagadkowego misterium historii przeciw wiedzy jego widza, świadka i badacza. Czuje się boleśnie urażony, dowiadując się o tym, że i dla niego szpital był azylem, azylem w imię wartości uznanej za drugorzędną. Postępuje więc tak, jakby pragnął zdegradować sam siebie, swoją "artystyczność" i inteligentność. Po cóż to czyni?

W rozmowie z Jackiem Trznadłem /"Hańba domowa" 1987/ Bocheński powołuje się na swój rodowód modernistyczny, objawiający się kultem "sztuki, literatury i związanych z nią wartości duchowych". Kult ten rodził

taką postawę, która wykluczała jakąkolwiek na dłuższą metę podległość. W warunkach życia literackiego lat 60-tych i 70-tych dążenie do wartości w sferze estetycznej pośrednio oznaczało dążenie do niezawisłości w dziedzinie społecznej i politycznej. Wszczywanie gier z cenzurą, poszukiwanie tematów alternatywnych wobec współczesności /bądź oficjalności/, parabolizowanie utworów - to były sposoby mówienia przez skneblowane usta, służące podtrzymywaniu względnie normalnego kontaktu z publicznością, kontaktu, w którym obie strony mogłyby mieć pewność, iż obcuja ze sztuką, z suwerennym pięknem, swobodnym dobrem, a nie, że z jeszcze jednym, bardziej świętoszkowatym instrumentem zakłamywania świata.

Najgłośniejsze powieści Bocheńskiego są takim właśnie upomnieniem się o trwałość i tożsamość wartości. Sylwetki Cezara, Kationa czy Owidiusza, pokazane w zbliżeniu, usytuowane są w rzeczywistości życia, która - mimo swego wyrazistego kolorytu - wydaje się być również i naszą rzeczywistością. Postaci te nie są przecież obiektem dociekań ezoterycznych, składnikiem rzadkiej erudycji, lecz są bohaterami "historii z życia", może nieco egzotycznej, ale też tym sugestywniej unaoczniającej tego życia fundamentalną jedność. Paraboliczność /paradoksalną aktualność/ znakomite książki - "Boski Juliusz" i "Nazo poeta" - zawdzięczają metafizycznemu drżeniu, dyspozycji do wzruszeń, które - przetworzone w efekt literacki - ograniczają pokusy intelektualistycznego rygoryzmu na korzyść empatycznego wdrażania się w środek rzeczy ludzkich.

Bohater-narrator-autor/??/ "Stanu po zapaści" ulepiony został z tej samej gliny; tyle tylko, że już nie drży, a dygocze. Rozwija, doprowadzając do krańcowości, pierwiastki występujące u Bocheńskiego wcześniej. O ile jednak w "Boskim Juliuszu" czy "Nazo poecie" porządek literackości co najmniej równoważył żywioł nie-literatury, o tyle w omawianej powieści mamy sytuację



inną: literackość cofa się - na ile to możliwe - przed życiem. "Teraz mi się znów spodobało, że wpadłem na taki romantyczny kicz z tą dziewczyną - czytamy. Dobrze, to literackie, będę to miał do książki, uznałem. Bo przecież powieść tu piszę z mozołem, jakbym na czworakach szedł, a nie jakiś tam dziennik szpitalny w zeszytce." /s.133/ Bo przecież to literatura "wpada na kicze", a nie życie. Życie nie zna tego pojęcia. Jest zawsze prawdziwe. To tylko literatura może nie być prawdziwa.

Bocheński podejmuje wyzwanie /i ryzyko/ kiczu, banału, truizmu, czyli wyzwanie, może lepiej - pojedynek, który kiedy jest zwycięski, to czyni dzieło wielkim, kiedy jest przegrany, to... nie czyni dzieła wielkim. Ryzyko polega na tym, że narrator - nieosłonięty przez sceptyczny intelekt i smak, jednostronnie pod tym względem rozbrojony - wystawia się na wszelakie pomówienia i posądzenia: o histerię patriotyczną, o utratę władz krytycznych rozumu, o samospłaszczanie osobowości. Tutaj pytanie autoironiczne: a cóż by go kosztowało powymądrzać się trochę, pogrymasić kokietliwie, poestetyzować? Uznałby chyba, z pewnością nie raz widział, jak to się robi.

Epicki, realistyczny rozmach "Stanu..." jest uważnie limitowany poprzez precyzyjne uzależnienie pola widzenia i doświadczania świata od "położenia" podmiotu i dostępnego mu miejsca obserwacji. Wspomniany pojedynek rozgrywa się więc na ciasnym terytorium, angażuje jednak wielu uczestników i bogaty repertuar interakcji między nimi. W tych warunkach trudno o zwycięzcę: powieść nie podnosi się "z czworaków". Dla czego wszelako miałyby się podnieść, a nawet - jakim prawem, skoro w tej żałosnej pozycji znalazło się po Grudniu całe społeczeństwo, skoro wszyscy - kurczowo przywierając do podłoża - usiłują przebrnąć na jakiś inny, lepszy brzeg?

Jako próba przedstawienia materialnej i duchowej sytuacji Polaków w okresie po wprowadzeniu stanu wojennego jest utwór Bocheńskiego, wśród innych takich prób, chyba najciekawszy, a bez wątpienia - "najuczciwszy". Ceną, jaką zapłacił za tę uczciwość autor było wyrzeczenie się powieściowych atrakcyjności: walorów żywej akcji, powabów intelektualnego opisu, intrygujących właściwości literackiego autokreowania się twórcy.

I w tym skomplikowanym sensie, ponieważ chodzi nam ciągle i głównie o literaturę - więcej uznania mamy dla autora, jego obrazu ukrytego w dziele, niż dla samego dzieła.

Podsumowując: mamy do czynienia z realizmem, dosyć szczególną próbą tego, co przyjęło się pod nazwą realizmu autobiograficznego /obszar prawdziwości obrazu świata zbiega się z obszarem autobiografii/, szczególną - gdyż "Stan po zapaści" nie respektuje jego ograniczeń, chcąc z doświadczeń autora-narratora-bohatera uczynić wiarygodny, obiektywny znak doświadczeń zbiorowych. Chce być realizmem bez przymiotników /limitów/, ale w sferze weryfikacji świata przedstawionego pragnie korzystać z "zalet" autobiografizmu. Chce więc jednocześnie mówić "ja" i "my". Założenie antynomiczne, sprzeczne, z którego Bocheński usiłuje wybrnąć poprzez wpisanie "ja" w jakiś hipotetyczny ośrodek, czy raczej - hipotetyczny wspólny mianownik polskich, inteligentkich postaw, czy jeszcze inaczej - w jakiś będący własnością wspólną, banał świadomości i podświadomości społecznej, i jeszcze - banał języka. Wszystko razem to już ciężar dla powieści zbyt duży. Trudno dziwić się, że dźwiga go na czworakach.

Piotr Śliwiński

MAGDALENA LUBELSKA

PODPOLJE ENCOR

"... każda powieść, wiersz, obraz, muzyka, która nie niszczy siebie, to znaczy nie nadstawia głowy w organizowanej przez siebie kręgielni, jest obłudą".

Jean Genet

W opowiadaniu "Kraków", otwierającym "Wyznania twórcy pokątnej literatury erotycznej" Jerzego Pilcha, czytamy: "Kraj, który trzydzieści lat temu okazał się moją ojczyzną, był krajem ludzi pracujących. Budynek redakcji przecinała ciemna, pachnąca gliną sień. Po prawej stronie miałem klub działaczy partyjnych, po lewej salę taneczną. Znałem to miejsce z literatury. Pisarze kiedyś tu zatrudnieni rzeczowo przedstawili w swych książkach codzienną drogę do pracy: ciemną i pachnącą geologią sienią, drzwi prowadzące do klubu i szklaną ścianę, za którą ociekające potem tancerki wyzbywały się resztek wdzięku. Mimo najlepszych chęci niczego nie potrafiłem w tym opisie uzupełnić. Zwłaszcza, że sala taneczna przestała wkrótce istnieć. Zburzono ściany i zerwano podłogę. Na falującym jeziorze gliny, które ni stąd ni zowąd pojawiło się wewnątrz gmachu, rozpoczęto trwa-

jące dzień i noc wielkie roboty górnicze. Zostawiałem maszynopis na portierni i wracałem do domu. Mijałem studnię, przy której spalił się oszalały starzec, schody, z których runął pijany student, księgarnię, pod którą zginął przypadkowy przechodzień". /s. 8/.

W tym fragmencie nibybiografii zawiązują się prawie wszystkie wątki kilku samoobnażających monologów, zamieszczonych w tomiku. Końcówka cytowanej wypowiedzi pochodzi z ust dzisiejszego Jean Baptiste Clemence'a, który nie reaguje na żaden plusk wody nocą, a co dzień ociera się o dowody swoich przewin. Tenże bohater nikogo już nie uratuje, nie ocali zmierzającego do katastrofy miasta, a usilne próby dania świadectwa dusi w gęstym woalu autoironii.

"Wyznania twórcy pokątnej literatury erotycznej" to nasze "Notatki z podziemia", listy "Biednych ludzi", "Upadek". Jerzy Pilch, nawiązując do konwencji wielkich samooskarżycielskich monologów, wchodzi nie tylko w dialog z konwencją, ale obnaża ostentacyjnie jej literacką kokieterię. Poddając konwencję próbie parodii, roztrząsa możliwość literackiej artykulacji tego, co w skrócie nazywamy rozrachunkiem.

x x x

Swój rozrachunek z pokoleniową wersją indywidualizmu umieszcza Jerzy Pilch nie w symbolicznych zamkniętych przestrzeniach, w jakich od stulecia artykułowano są monologi nieposkromionej woli, winy, beziły czy prostaczkowego zadziwienia.

"Wyznania twórcy pokątnej literatury erotycznej" mają w tle przestrzeń otwartą i realną, i ona w dużym stopniu modeluje znaczenia monologów Pilcha. To kruszejący Kraków lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych - jak cień ze znanego wiersza Szymborskiej - bierze na siebie cały patos,



bezwstyd i tragizm wyznania. Pierwszoosobowy gospodarz /chciałoby się powiedzieć: rezydent/ świata tych opowiadań wie, że nic mu nie da spowiedź w gęstym od dymu bistro, nie uwiarygodni siebie głosem z czynszowej klitki, nie zmusi do myślenia pijackim wzlotem, nie rzuci na kolana monologiem z ambony czy proscenium... Nie przerazi, nie "da do myślenia" ekshibicjonistycznym szaleem, kompromitującą anegdotą, abnegackimi skłonnościami czy tzw. "nadmiarem świadomości". Pilch używa prawie wszystkich tych gestów, pokazując jak są wyeksploatowane. Nie wierzy w uruchomienie żadnej symboliki. Nie podróżuje do Wiecznego Miasta, nie szuka świętych miejsc. Nie jest ani zamknięty ani w drodze.

Pilch ma poczucie **a b s o l u t n e g o** **w y c z e r p a n i a** **k o n w e n c j i** **i** **s y m b o l ó w**. Z jego wielkimi literackimi krewniakami - z człowiekiem z podziemia, z Salavinem, z sędzią-pokutnikiem - łączy go ta siła, która każe wypowiedzieć całe swoje doświadczenie. I wola, by wyjawić przed drugim swój /może wspólny/ wstyd.

Odwolując się w sposób oczywisty do konwencji monologu wypowiedzianego, nie używa go jednakowoż Pilch jako wyręki w formułowaniu zawiłych treści. Chce, aby jego głos był zestawiany z innymi monologami wypowiedzianymi, ale nie chce pozostawać w kręgu ideowych kontekstów wielkich monologów. Jeżeli już, to raczej podejmuje pytanie nadbudowujące się ponad tymi różnymi głosami. Jest to pytanie o możliwość współistnienia indywidualizmu, dobra i sensu; pytanie o sumienie staje się rachunkiem współczesnego sumienia. Konwencja, którą uruchamia Pilch ustawia poprzeczkę na takiej wysokości literackich aspiracji, że zdaje się być nie do pokonania przez debiutancki tomik. Tymczasem "Wyznania twórcy pokątnej literatury erotycznej" wcale nie domagają się taryfy ulgowej.

Opowiadający, monologisci Pilcha noszą w sobie całą obrzydliwość i kabotyństwo, całe oswojone paskudztwo swych literackich prototypów. Posiadają równocześnie - też z dziedzictwa konwencji pochodzące - wewnętrzny spokój, wychłodzenie, wykalkulowaną namiętność retoryki. A również - co łączy ich wszystkich a jest wewnętrznie skłócone z przedmiotem czynionych wyznań - cechuje ich coś, co można by nazwać dumą inwencji rozrachunku.

Pilch nie naśladowuje głównych problemów swych antenatów. Jego bohaterowie wytwarzają przestrzeń, z którą wielkie pojęcia harmonizują jedynie gdy są cudzysłowie. Ta nasycona realiami przestrzeń jest jednocześnie pozostawiana jakoś samej sobie. Pilch chce rozerwać łatwe związki. Chce zniszczyć upupiające determinizmy, wyszodzić kategorie okoliczności łagodzących. W tym sensie rozrachunek Pilcha nie jest rozrachunkiem z ideą, z zewnętrznymi propozycjami, czy z wewnętrznym zakłamaniem - jak to bywało na ogół w wielkich monologach - ale jest rozrachunkiem z własnym, pokoleniowym "ja" bez okoliczności łagodzących w postaci społecznych i politycznych traumatyzmów. Widać, że pisarz o nich wie i nie ma bynajmniej zamiaru ich umniejszać. Wyklucza je natomiast jako argumenty w najtrudniejszej życiowej sytuacji - rozmowie z samym sobą. Pilch sądzi, na przekór potocznej świadomości, że wskazywanie winnych, usprawiedliwianie się, tłumaczenie - pograża. Ale też heroizm nie wskazywania winnych, nie jest u niego rezygnacją z oceny. Portret miasta i czasu jest ostry. Nie służy samousprawiedliwieniu, ale nie chce fałszywie utrzymywać pozorów normalności.

W świecie przedstawionym opowiadań Jerzego Pilcha nie ma ani jednego normalnie umeblowanego wnętrza. Domowe biblioteki stoją opróżnione, meblościanki zdewastowane i opustoszałe. Lodówka, biurko i wersalka - jedyne rudymenty domowego wystroju - też nie są wykorzystywane w pełni swych przeznaczeń. Istniejące obok siebie ubóstwo i parodia ubóstwa dają wrażenie braku, niedomiaru i pełnej schyłkowości. Wrażenie to potęgowane jest parodią utylitarności pokoiów do wynajęcia i parodią /czyżby?/ standardów nieoczekiwanych, jak w przypadku ekskluzywnej daczy o ścianach impregnowanych zapachem kawy, tytoniu i starych książek /"Kraków"/.

W takim świecie, w takim mieście /"gigantyczny falsyfikat"/ bohaterowie - poza paroma epizodami - nie jedzą, nie pełnią tradycyjnych ról społecznych, rodzinnych. Te efekty będące do niedawna w literaturze konsekwencją działań demaskatorskich lub deformatorskich, tu osiągnęte są przez gest, zamiar, plan, deklarację zaniechania podtrzymywania pozorów, że dom to dom, uczelnia to uczelnia, sklep to sklep a ulica to ulica. Jeśli w sklepie nie można niczego kupić a ulica przechodzi przez wnętrze biurowca, to Pilch odradza jednak tradycyjne patrzenie. Występujące w opowiadaniach instytucje zamierają, a wspomniane życiowe procedury mają postać tymczasowych, zastępczych, w pełni beznadziejnych i zupełnie nietrwałych działań. Ale ta wielka luka, która powstaje między oczekiwaniem a doznaniem, ta świadomość wytwarzająca pytania o istotę świata i jego sens zostaje natychmiast sparodiowana: "Może świat nie jest snem, nie jest wydrwieniem, nie jest bytem samym w sobie, ale trwa dzięki morderczej pracy tysiąca dekoratorów. Może zachowuje

sens dzięki czujności całych zastępów podpowiadaczy" /"Mój uśpiony strażnik"/. Wypowiada tę kwestię jeden z monologistów Pilcha, Beniowski, który nie lubi podróżować. Od razu wiadomo, że mówi on w imieniu współczesnych Conradów, którzy nie znoszą morza; Werterów, którzy postanowili trwać przy życiu, do Ingardenów, którzy nie zdali matury, do Kantorów - trudniących się nauczaniem początkowym, do nas wszystkich, którzy...

x x x

W tej doskonale postnej rzeczywistości opowiadał Jerzego Pilcha najczęściej dostrzeganym ruchem jest monotonne kruszenie. Sypią się nie tylko Potockich i Lubomirskich kamienie; sypią się systemy, koncepcje, związki, ambicje. Dostrzeżony ruch jest ruchem metamorfozy wiecznego unicestwienia. Podlega mu przyroda, architektura, rzeczy; kultura materialna i ludzie. Miasto Pilcha przestaje funkcjonować, życie pozorowane jest przez gigantyczne okolone brezentowymi namiotami targowisko książek i zgiełk młotów pneumatycznych. W powietrzu wisi katastrofa. Miasto - jakby na znak przeczucia zagłady - wyludnia się. Wspomniane postaci nie powracają, nie wiadomo co się z nimi dzieje. Mają wyrazistość niewyrazistości, majaków i zwidów opowiadaczy. Łączy je z podmiotami monologów nie mniej i nie więcej niż z pojawiającą się w opowiadaniu "Nasza i Wasza", Przewodniczącą Nikaraguańskiego Stowarzyszenia Kultury - Rosario Murillo.

Odchodzą, odjeżdżają gdzieś ludzie, zanika środowisko, handel, obyczaje. To, co pozostało, ma postać reliktową i jako relik jest opisywane. I natychmiast, jak na "relik ze współczesności" przystało - sparodiowane.



W takim świecie siłę metafory rzeczywistości zyskuje cokolwiek, co tylko ma choćby pozór trwania lub jest nieco wyrazistsze od tła.

Każda szansa odróżnienia się, wyrwania spod wszechogarniającej reguły rozsyпки - oglądana jest gruntownie, poddawana jest wielorakim testom, do wytrzymałości na parodię włącznie. Dlatego każda figura odróżniająca się od tła, nawet za cenę przeciwstawienia się normom estetycznym, artystycznym, nawet za cenę patologii, nabiera znamion alter ego.

Zatem opis tego świata musi poprzedzać wielka inwentaryzacja. W tym geście inwentaryzacji najszybciej zapełnia się rubryka "stracone". Więc jakby w panice, pośpiechu, bez namysłu nad znaczeniem, spisuje się wszystko, z czego być może wyniknie jeśli nie sens, to literatura; a jeśli nie literatura, to świadectwo nieskłamanych, nierutynowych rozpoznań rzeczywistości. A rozpoznania dostępne, prowadzące do spisu książek, opisu banknotów, zawartości kieszeni; utrwalenie kształtu drobnych przedmiotów, odnotowanie cen biletów, zeszytów - mimo maestrii, smaczków i perfekcji, a wręcz proporcjonalnie do nich - są wykpione. Wraz z nimi na pośmiewisko wystawiony został kulturowy i propagandowy - uchodzący za sedno fachu pisarskiego - gadget "doskonalenia".

x x x

Kto mówi u Pilcha? Mówi obarczony świadomością wiecznej metamorfozy niszczenia, inwentaryzator resztek, twórca pokątnej literatury erotycznej, który chce, aby te jego zapiski, po wielokroć scalane notatki - nobilitowały go do grona pisarzy. W samym tym pragnieniu, wyjąwszy jego emfaticzność i usilność nie ma nic ani ironicznego, ani zabawnego i nic, co wykraczałoby

poza temat "męki twórczej". Oczywiście, Jerzy Pilch nie napisał opowiadań o trudach debiutanta. Wprawdzie role narratorów zostały powierzone - szalenie ryzykowne w wypadku nie ustalonej przecież marki własnej autora - grafomanowi, pisarzynie, kabotynowi, postaciom jednakowoż tak skonstruowanym, że sedno problemu mieści się ponad nimi. Wzorujący się na nibybiografiach "ludzi ze skazą", stwarza Pilch postacie nieudaczników i miernot - autora trzech liryków; marzącego o ilościowym przyroście zapisków - autora luźnych notatek; twórcy wyzywającego się w pisaniu idealnego podania, które przecięłoby związek z PZPR /z literackim blaskiem! i bez narażania się!;/ usiłującego zapanować nad wewnętrznym furorem - Maldorora Układu Warszawskiego. Nie odcinając się od nich żadnym widocznym gestem, pokazuje Pilch bez cieniowania, upokarzającą światopoglądową głątwę, żenujące ideowe rozterki. Daje obraz inteligencji przebiegłej, zalotnej i twórczo niewystarczającej, jakby "zgranej". Cała grandilowencja, brzytewny dowcip, aluzyjność - wszystkie te smaki nie rekompensują pustki, braku siły budzenia takich połączeń człowieka ze światem, jakie obiecywała wielka literatura. W ten sposób zironizowane zostaje owo dominujące pragnienie nobilitacji pisarskiej.

Jak największy mistrz łyżwiarski, tańczący na popisie solówki oferty, czyni Pilch tubą swojej świadomości - grafomanów i pieczeniarzy - utrudniając rozpoznanie chwytu poprzez wyposażenie ich, już proporcjonalnie do swoich możliwości, w niezwykłą swadę stylistyczną. Posiadają również bohaterowie Pilcha rzadką, i trudną do artystycznego rozegrania, umiejętność autoparodii intelektualnej. I to jest pierwsza, odróżniająca tych bohaterów od bohaterów wielkich monologów, wyższość konstrukcji Pilcha. Ow gest intelektualnej autoparodii

/w kontekście rozrachunku!/, znany z niewielkiej ilości tekstów, wciela najżywiej "Wielkie kazanie księdza Bernarda" - Leszka Kołakowskiego. Pokazuje ono ambiwalencje i pułapki moralizującego autorytetu. Zwraca uwagę na demoniczny pierwiastek samej funkcji autorytetu, monologu. Już nie przedmiot rozrachunku, lecz jakby tego rozrachunku anatomia, jego aspekt konwencjonalny, rytualny i demagogiczny, stanowi centrum tekstu Kołakowskiego i jeden z kilku myślowych progów opowiadań Pilcha. Eksploatując to skojarzenie tekstu z 1959 roku z "Wyznaniami twórcy pokątnej literatury erotycznej" - spytajmy dalej - gdzie u Pilcha tkwią owe diabelskie różki świętoszkowatego bohatera Kołakowskiego?

Demon Kołakowskiego to demagogia.

Demony Pilcha, to, paradoksalnie!, bezkarność i bezpieczeństwo. Bezpieczeństwo płynące ze świadomości małostkowo, a w konsekwencji fałszywie i konwencjonalnie, udratyzowanego poczucia niebezpieczeństwa. Demon Pilcha to przemożna siła modnych, socjologizujących figur zagrożenia wewnętrznego, osobistego niebezpieczeństwa. Dlatego strachy drażące bohaterów Pilcha, nie nieprawdziwe, są sparodiowane - jako nie najważniejsze, jako modne, jako narzucone usprawiedliwienie twórczej impotencji i niemożności stwarzania faktów dokonanych.

Bohaterowie Pilcha celebryją swoje powołanie pisarskie a celebra kontrastuje z brakiem dokonań. Celebryją zagrożenie, nonkonformizm, de facto nie będąc nonkonformistami ani ludźmi zagrożonymi. Ten dziewiętnastowieczny chwyt autokompromitacji bohatera upozorowanego na ambasadora autorskich poglądów, pokazuje istotę kostiumowej tragikomedii pokoleniowego "ja" - wyuczenie celebry, kultywowanie monologu. Zastępowanie nimi wysiłku stawiania problemów przy rozpoznawaniu świata i rozumieniu jego detali.

Cechująca bohaterów Pilcha wspaniała imaginacja zdarzeń, obrotów rzeczy, sytuacji - w zderzeniu z uświęcającym patosem pokazywania "ja" wewnątrz innego "ja" - rodzi eksperyment w zakresie aksjologii monologu wypowiedzianego. Eksperyment polega tu na próbie, udanej, utrzymywania jednoczesności dwu absolutnie przeciwstawnych ocen: najwyższej i najniższej, z autooceną łącznie. Jakby w myśl recepty: "zanim poczujesz się najlepszy, poczuć się najgorszy". Czyli solo offermy na krawędzi łyżwy.

Jerzy Pilch dystansujący się wobec swoich rutynowych ról, obśmiewający odgrywane komedie, sprawnie szydzący z nieudacznictwa, ale i ze sprawności, wytwarza zupełnie sprzeczne wrażenie tożsamości i kontrastu, ambicji swoich bohaterów i własnych dokonań pisarskich. Tożsamości nie trzeba wyjaśniać. W pierwszoosobowym monologu bardziej interesujący jest kontrast, mechanizm wytwarzania szczeliny między mówiącym "ja" opowiadań a podmiotem całości tekstu. Opozycja polega nie na kontraście między z r o b i o n e a n i e z r o b i o n e, n a p i s a n e i n i e n a p i s a n e - bo to byłoby trywialne. Opozycja rozdziela to c o n a p i s a n e i t o c o n i e n a p i s a n e. Zwraca uwagę na różnicę między tym co zrobiłeś a tym czego nie zrobiłeś. Tak pokazuje Pilch wzajemne zależności i uwarunkowania między tym co wyartykułowane a tym co milczane. Można by to dookreślić trawestując starą maksymę: "nic nie może być w głowach postaci literackich, czego wcześniej nie było w świadomości pokolenia".

Różne słychać grymasy na bohaterów Pilcha, że głupi, że puści, że bełkoczący, że trywialni.

A co my wiemy o tym, co nie zostało zrobione, co nie napisane, co milczane? Jaki



jest punkt odniesienia tej pustki i bełkotu?

Głupi grafoman, trywialny łotrzyk, pusty i bełkoczący pisarzyna podziemny Pilcha - to wyzwanie rzucone intelektowi pokole-  
nia.

x x x

Czytelnikom opowiadań Jerzego Pilcha należy się jeszcze glosa na temat zawie-  
dzionych oczekiwań rozbudzonych tytułem.

Sprzedaż "pokątnej literatury erotycz-  
nej" to jakby sterowanie rynkiem. Na którym  
od dawna handlarz pokątny oferuje najlepszy  
towar. I otóż to oczekiwanie lepszych /od  
czego? od kogo?/ erotycznych kąsków - jest  
również przez pisarza wyszydzone. Pilch lu-  
bi kobiety. Tym także różnią się jego boha-  
terowie od swoich, kilkakroć wspomnianych,  
literackich krewnych. Autor uruchamia ra-  
czej konwencje uczuć dobrze zadomowione  
w literaturze polskiej. Są w "Wyznaniach..."  
sygnały wątków pierwszej miłości, pierw-  
szych wtajemniczeń, są fascynacje i zapom-  
nienia, marzenia, zwidy, majaki. Jednak  
większość wspomnień erotycznych, pogoni  
za ideałem, zabiegów wokół zdobycia, ma-  
rzeń w końcu, jest poddana tej samej regule  
"nie serio", która opanowała inne sfery  
autobiografii bohaterów Pilcha. Jakby brak  
duchowego mistrzostwa rzutował na wszyst-  
kie dziedziny życia z uczuciami i erotyką  
włącznie. Jakby miałość tego, co da się  
powiedzieć, miała być ukarana miałością  
przeżyć, osłabieniem wszelkich form, frag-  
mentów, ekspresji osobowości.

I pewnie dlatego z taką zajadłością  
konstruowany jest portret zduszonej animy  
Jerzego Pilcha. Wzorowo zintegrowana, du-  
chowo samowystarczalna, o nadzwyczajnych  
uprawnieniach erotycznych - bohaterka nie-  
stworzonych rzeczy - demoniczna Alicja  
Hejnał, niedoścignione i ośmieszzone zarazem  
- alter ego Jerzego Pilcha.

W gabinecie śmiechu, do którego wprowadza nas Jerzy Pilch, jest jeszcze jedno krzywe lustro. Nie odkrył go Dostojewski i wyraźnie uwłaczałoby ono bohaterowi Camusa. Grać jednocześnie - jak to jest w "Człowieku z podziemia" - filozofa, kanalię i boże dziecko, zbyt ciężko, żeby jeszcze stroić miny. Również Jean Baptiste Clemence, doszedłby do tego, że przed ostatecznym, nieznanym trybunałem, człowiek i tak nie ma najmniejszej szansy, wetuje sobie swoje odkrycie poczuciem niezbyt starannie ukrywanej dumy. Samoupokorzenie tych dwóch postaci nie dotknęło rdzenia ich postaw. Nie podważyło rangi spowiedzi i wyznania jako rozrachunku.

Natomiast "biedni ludzie" - elokwentne gryzipiórki Pilcha - heroiczni w swej pasji powiedzenia wszystkiego, z jednakim talentem mówiący o czymś i o niczym, wiedzą, że wydani na śmiech, nie umkną do żadnej dziury. Nie jest im dana jakakolwiek satysfakcja, żadna duma samoobrażenia, wyśmiane wszystko. Ten moment "wytrawiania" konwencji monologu wypowiedzianego, pozbawienia go dumy rozrachunku, własnej wewnętrznej racji - nie jest nieoczekiwany u pisarza, który z taką maestrią operuje wszystkimi stylami mowy i pisma. /Język prozy Jerzego Pilcha mógłby stać się przedmiotem ambitnej tezy doktorskiej/. Skoro umie przemawiać głosem księdza Wujka, przełamanym timbrem PAP-owskich komunikatów, tym bardziej czytawista staje się osmoza monologu wypowiedzianego i rodzimej tradycji samokrytyki. Tak znika duma rozrachunku, a stąd już tylko krok do wyśmiania całej celebry samoupokorzenia. Po to, by w następnym, samozwrotnym geście - jak u Geneta, który mówi, że jak się ma talent to można uczyć się już tylko śmiać ze swego talentu - zobaczyć w krzywym lustrze własną twarz, swoje

miny, napuszenia i grymasy. I przypomnieć sobie jak "śmialiśmy się wszyscy prawdziwie gombrowiczowskim śmiechem, starzy i młodzi, zbawidowcy i sportowcy, partyjni i prawosławni, piekarze i murarze, i bracia ewangelicy, i bracia najniżej upadli, i ublacy, których pisarzyna nigdy nie widział, także się śmiali i widma na naszych wersalkach spoczywające śmiały się i chichotały, towar z krwi i kości, finalistki i medalistki, młodziutki protestantki i rówieśniczki, i tancerki z harcerskiego zespołu pieśni i tańca "Gawęda" śmiały się i chichotały, śmiały się i chichotały swym nieopisanym chichotem w nagłym jakby ukłonie, jakby śmiech w ich ustach miał wagę ołowiu i chylił do ziemi ich wiotkie ciała, nie do opisania jest ten śmiech;..." stop.

Czy naprawdę jest coś nie do opisania dla Pilcha?

Może ten śmiech, o którym w literaturze mówi się /Bruno Schulz/, że "pełen sekretnych znaczeń". Może śmiech, który w życiu zdobył sobie racje pełnoprawnej wypowiedzi.

Bo śmiech, który otacza "Wyznania twórcy pokątnej literatury erotycznej", to paroksyzm wiar pokolenia, śmiech, który niczego już nie chce znaczyć. Po takim śmiechu można powiedzieć tylko coś bardzo ważnego, albo - nic.

Magdalena Lubelska

Kraków, luty 1989

---

Jerzy Pilch: "Wyznania twórcy pokątnej literatury erotycznej". Wyd. Puls, Londyn 1988.

A.H.

## STARE GRZECHY

Książka nie sprzedaje się chyba najlepiej, skoro w pół roku po wydaniu można ją bez trudu kupić w którymś z jawnie działających punktów kolportażu na warszawskim uniwersytecie. Przyczyna tego tkwi być może w rozbieżności między dziewięćdziesięcioczostronicową zawartością "Starych grzechów" a tym, co zdają się zapowiadać strony tytułowe. Czego bowiem można oczekiwać po książce o podtytułe "dziennik dziennikarza 1982-83", opublikowanej na dodatek przez Wydawnictwo Grup Politycznych "Wola"? Czyż nazwa firmy nie sugeruje zwyczajnej agitki, a podtytuł nie wywołuje przypuszczeń, że będą to kolejne wyznania pismaka, który przekroczył swój Rubikon i o słuszności tego kroku chce poinformować świat cały?

To wszystko oczywiście może odstraszać, bo nie każdy przecież pamięta, jak mylnie są konotacje nazwy tego wydawnictwa, które publikuje pozycje bardzo odległe od ulotkowych uproszczeń. Dość wymienić ostatnio wydane "Kontynuacje /3/" Strzeleckiego, "Czas Solidarności" Reiffa czy "Świat zakorzeniony" Krzemińskiego. Gdyby jeszcze przypomnieć sobie któreś z recenzji bądź artykułów Tadeusza Sobolewskiego, będącego jednym z najwybitniejszych polskich krytyków filmowych, rychło można dojść do wniosku, że "Stare grzechy" niekoniecznie muszą być spowiedzią nawróconego dziennikarza.

I rzeczywiście nie są. Ludzie nawiedzeni, przeróżne ciotki rewolucji, wdowy po "Solidarności" czy niezłomni antykomuniści to postaci znajdujące się na antypodach świata, w jakim pragnie żyć diarysta.

Postawa, jaką autor wybrał dla siebie i afirmuje w "dzienniku" to niezaangażowanie



i bycie osobnym. Nie identyfikuje się do końca ani z "Solidarnością" ani z Kościołem, dziennikarz przeżywa i opisuje lata niezwyklej społecznej integracji, gdy ciśnienie zbiorowości osiąga swoje apogeum. Deklarując raz po raz: "jest kilka narodów polskich, wzajemnie się przenikających, ale ja jestem jeden", rozdarty między fascynacją a odrazą w stosunku do tłumy, chodzi na demonstracje i nabożeństwa, rozmawia z przyjaciółmi, sąsiadami, rodziną. Samotna samodzielność autora poddana zsotuje w pierwszych miesiącach stanu wojennego szczególnie ciężkiej próbie. Drzwi mieszkania wynajmowanego przez Sobolewskich w osiedlu "Za Żelazną Bramą" prawie się nie zamykają. W oparach papierosianego dymu w kuchni obradują świeży konspiratorzy, przychodzą dawno nie oglądani znajomi, zaglądają sąsiedzi. Wszyscy chcą się bratać i wzajemnie potwierdzać. Opisy rozkwitającego wówczas życia towarzyskiego - i to nie byle jakiego: autor dziennika zaliczał się bowiem do bliskich przyjaciół Mirona Białoszewskiego - kapitalnie oddają atmosferę stanu wojennego jako stanu towarzyskiego właśnie, a wplecione w opowieść obserwacje niszczącego działania czasu, z upływem którego kruszą się niezłomne postawy, stanowią niewątpliwie ozdobę zapisków. Autor, niechętny stadnym poruszeniom, zbroi się w podejrzliwość, która staje się jego głównym atutem w prowadzonej na kartach dziennika rozgrywce z otoczeniem. Strategia ta przynosi bardzo różne efekty. W pewnym momencie na przykład diarysta bierze w nawias swoją odmienność, by ekstrapolować własną postawę na motywacje innych, starając się zdemażkować grę pozorów, którą prowadzi społeczeństwo. W pierwszy dzień wojennych świąt Bożego Narodzenia notuje:

"W zeszły piątek u nas na Chłodnej Mamuta, Miron i pan Julian z sernikiem /.../

Otwieram drzwi, natykam się na ich palta, dostrzegam na kanapie Mirona, który się do mnie uśmiecha. A ja na niego napadam. Właściwie na nich wszystkich. Na Mamutę zwłaszcza, że myśli tylko o swojej książce, a nie przejmuje się dramatem dziejowym /.../ Przychodzi mi teraz na myśl, że do buntowników przystają często ci, co czują się niedocenieni gdzie indziej. Bunt jest dla nich rekompensatą. Swoją buntowniczością będą klucz w oczy spokojnych - i utalentowanych. /.../ Co mnie uderza w całym tym incydencie, to łatwość, z jaką przyjmuje się psotawę buntowniczą, wchodzi w tę rolę, która zagarnia całego człowieka. Widocznie jednak przyjęcie tej postawy kosztuje bardzo tanio, tak że wielu może sobie na nią pozwolić. I tą taniością da się wytłumaczyć nagły przypływ szlachetności u ludzi raczej niepozornych."

Podobnie negatywny zapis powstaje w Sylwestra: "- Czytam 'Księgę Hioba' - komunikuje bez wstępów spotkana w autobusie 157 pani W. Ludzie kontrolują siebie wzajemnie, czy są dość żalobni. A gdy się już dogadają, to się śmieją. Już zaczyna się gra na dwa fronty. Jeszcze rozpowszechnia się ulotki o biernym oporze, ale już myśli się o jutrze."

Gdy zwróci się uwagę na daty, można odnieść wrażenie, że uogólnienia Sobolewskiego proroczo wyprzedzają pojawienie się społecznych symptomów rozpadu, trzeba jednak uwzględnić fakt, iż jego wyostrzona świadomość jest po części wynikiem deklarowanej przez niego niechęci do ruchów masowych. Sobolewski, który przed 13 grudnia obawiał się dyktatury "Solidarności", stale podejrzewa zwolenników ruchu społecznego o nieczyste, niskie intencje. Nic dziwnego: zbiorowość jawi mu się głównie jako siła gwałcząca jego duchową niezależność. Nieufność autora czasem owocuje przenikliwością, czasem bałamutnym przerysowaniem: "Ania ma

rację, że zaciekle nienawiść do czerwonego w Polsce jest najczęściej wyrazem nieczystego sumienia". Jednak i te przerysowania sugestywnie oddają sytuację człowieka pragnącego uciec przed społeczną presją. Dziennika stanowi dla Sobolewskiego miejsce azylu, w którym może zdać sprawę ze skrywanych przed otoczeniem wątpliwości i pretensji. "Mam ochotę gadać na przekór. Mimo to nie jestem przekorny, bo to by było jeszcze gorsze. Współczuję pokrzywdzonym, choć w rzeczywistości nie współczuję. Czy inni dobrze myślący też czują ten nacisk opinii i są poprawni wbrew woli, na przykład przez wzgląd na mnie? Sytuacja, w jakiej nas wszystkich postawiono, oddziela od rzeczywistości, nie daje zupełnie luzu. Jesteśmy zanurzeni w stojącej, mętnej wodzie. Lepiej nie robić żadnego ruchu, bo można się tej wody napić. Lepiej już powtarzać to, co mówią inni."

Zbuntowany przeciw zbiorowości Sobolewski nie chce dostrzec nawet granicy między zachowaniem prywatnym a odgrywaniem społecznej roli, jakby nie godzi się na to, że w czasie demonstracji gra się rolę de monstranta a nie samotnika, a wznosząc toast "na pohybel komunie" gra się rolę wznoszącego toast właśnie a nie dzielącego włos na czworo nadwrażliwca. Ta stanowcza niezgoda na społeczne przymusy prowadzi autora do pewnych sprzeczności. Na marginesie lektury pierwszych rozdziałów "W oczach Zachodu" czyni uwagę, że Rązumow wypowiedział jego skryte myśli, gdy protestował przeciw bezprawiu zarówno autokracji, jak i rewolucji wdzierającej się bez pytań w prywatne życie. Ale gdy parę miesięcy wcześniej sam dostarczając znajomemu list do przemylenia za granicę spotkał się z jego strony z agresją niezdarnie maskującą odmowę, przyjął to z niesmakiem.

Kolejnym przedmiotem ataków autora jest kultura podziemna. Z goryczą konstatuje, iż "instytuty naukowe przestawiają się na przepisywanie gazetek i wierszyków", do pasji doprowadza go głupawa treść ulotki z adnotacją "tłumaczyć na różne języki, wysłać na wszelkie możliwe adresy za granicę", nie ma także zrozumienia dla bojkotu ogłoszonego przez artystów. Przyjmują pozę naiwnego szarego człowieka, którą zresztą jeszcze parokrotnie kokietuje w dzienniku, pisze, iż bojkot "mnie, przechodnia, skazuje na propagandę WRONy, na życie w mieście odmienionym. Fakt, że aż obcym. Ten bojkot bije we mnie". Irytacja Sobolewskiego jest tak wielka, że nie waha się przed przywołaniem argumentu: "Pewnie, że atmosfera dla liberalnej kultury europejskiej jest u nas wyjątkowo niesprzyjająca. Ale nie polikwidowano bibliotek, nie pozamykano kościołów, nie wysadzono w powietrze Wawelu."

Słuszne i niesłuszne, sprawiedliwe i nie, wyważone i przerysowane sądy, opinie, poglądy na temat komunizmu, podziemia, Kościoła, demonstracji, radia "Solidarność", policji stanowią zaledwie część dziennika, ale tę część, która stanowi o tempie i dramaturgii zapisków. Obok stematyzowanej walki przeciw uniformizacji, Sobolewski toczy także artystyczny bój o przekazanie prywatnej, nieskażonej społecznym jadem prawdy o sobie. Wbrew konwencji gatunku, rezygnując z chronologicznej ciągłości, wyodrębnia niektóre partie dziennika, jakby pragnął, by ich wymowy nie zagłuszały wydarzenia polityczne. Szczególny efekt osiąga w początkowej części książki, gdzie rozdział "Targowa" umieszcza bezpośrednio po bloku zatytułowanym "13 grudnia" opisującym pierwsze pięćdziesiąt dni stanu wojennego. Nagłe wyciszenie, jakiego autor doznaje w przeddzień Wigilii 1981 roku, odwołując się do starą ciotkę; niespodziewana wycieczka do wspomnień z lat dziecińczych,



w zestawieniu z klimatem tworzonym przez bieżące wypadki, stanowią kontrast tak wielki, że każą wręcz celebrować bogactwo możliwości ludzkiego odczuwania, rozpiętość nastrojów, różnorodność uczuć. Nie mam jednak pewności, czy prowadząc tę grę. Sobolewski nieco nie przeszarżował. Niektóre fragmenty zbyt ostentacyjnie mają pełnić funkcję dowodów wprost na to, że autor w rozgwarze polityki potrafił ocalić swe wnętrze. A cóż dzieje się z czytelnikiem, gdy czyta fragment, o którym wie, że ma być przede wszystkim piękny i ukazywać niezwykłą wrażliwość autora? Ano, czytelnik buntuje się. I ciut przesłodzony zdaje mu się akord wieńczący rozdział pt. "Jeden dzień": "Świat był niewinny tego dnia, nic nie mogło tego nastroju podważyć: A ja dałem się prowadzić". I nie bardzo wierzy sentymentalnym zapewnieniom kończącym "Targowę": "Wybiegam z bramy, jakbym wynurzył się z jakiejś toni. Zimno. Długo czułem lód w końciach, idąc w stronę cerkwi zatłoczoną Targową. Ale wydało mi się przez chwilę, że na ulicy panuje ruch pozorny, a prawdziwe życie jest po tamtej stronie bramy."

O wiele korzystniejsze wrażenie czynią zapiski, w których autor nie siląc się na poetyzowanie, zdaje sprawę z bogatych wydarzeń szarego dnia stanu wojennego. Czasami będzie to krótkie spojrzenie na świat oczyma Mirona, kiedy indziej treść własnego snu, czy notka o spotkaniu, rozmowie. Niedopracowanie pewnych wątków /na przykład pozostawienie bez komentarza kiczowatej sceny á la Borowski, którą wymodelowało samo życie: dzieci bawiące się w zomowca legitymującego obywatela/ może drażnić, ale dobrze oddaje autentyzm pospiesznych notatek ze staru wojennego. Notatek, dzienników, które pisane i wśród przyjaciół odczytywane, stanowiły także jedną

z istotnych stron stanu wojennego jako stanu towarzyskiego.

Niefortunnym raczej pomysłem - podsuniętym chyba przez znajomego słuchającego fragmentów zapisków - było zamieszczenie w "Starych grzechach" partii poświęconych intymnym lękom i kompleksom autora. Być może Sobolewski ma rację gdy stwierdza, iż "Upadek ogólny ośmiela do tego, żeby mówię otwarcie o sobie", być może te pisane z wyraźnym brakiem swobody, wyznania spełniły kiedyś rolę autoterapeutyczną, ale motywy ich publikacji są mało zrozumiałe. Co więcej, nakładanie intymnych zawężeń na relację o jednym ze szczęśliwszych dni w życiu autora w stanie wojennym, uniemożliwia pełne odczytanie istotnego fragmentu, w którym niespodziewanie ujawnia się sfera skrywanych dotychczas, osobistych odniesień historycznych. Po niejasnych opisach interpersonalnych napięć na żeglówce kołyszącej się na zalewie Sulejowskim, autor notuje: "W książeczce o generale Okulickim, takie zdanie o zachowaniu młodzieży w pierwszych dniach powstania na wyzwolonej Starówce: `Kościoły otwarte i puste. Dość było modlitw i błagań przez pięć lat okupacji. Teraz młodzież chciała kochać i walczyć na równi`." "To nie jest frazes - komentuje Sobolewski - kochać i walczyć razem. To mogła być forma jakiejś nad-komitywy, czegoś, o czym myślałem tam w zatoce, nocą."

To odsłonięcie tajonego marzenia mówi więcej niż całostronicowe zaklęcia mające dokumentować absolutną osobność autora. Szkoda, że miast rozpocząć rozważania, które rzuciłyby ciekawe światło na indywidualistyczną pozę, kończy ono opis żeglówkowej wycieczki.

Narzekam na ekshibicjonizm notatek, choć przecież to właśnie niezwykła bezpośredniość autora stanowi o uroku dziennika, który w zestawieniu z innymi publikowanymi

zapiskami z tamtego okresu uderza zwyczajnością i - jednak - bezpretensjonalnością. Autor, nie aspirując do rządu dusz, prowadzi grę o własną niezależność, stąd tak mało tu abstrakcyjnych rozważań i pompacyjnych zdań mówiących o ogólnej sytuacji w kraju. Przeważa codzienny konkret, ulotny nastrój. Dlatego chyba książka ta, niczym przypadkowo zachowana pamiątka czy zaszyta dawna piosenka, pozwala cofnąć się myślami w czasie, gdy byliśmy o siedem lat młodszy. A że niekiedy liryzm dziennika staje się przesadny? Dzięki niemu także oddana zostaje prawda o tamtych dniach, klimat rozmów i rozmyślań. Kto nie prowadził wówczas własnych zapisków, dzięki "Starym grzechom" może odnaleźć siebie gdzieś obok Tadeusza siedzącego na wiklinowym krześle i zapytać o duchowy bilans stanu wojennego. A gdy nie będzie w stanie odpowiedzieć do końca na to pytanie, zawsze może uciec w sentymentalizm:

"Siedziałem w nowo kupionym z Igą i Maćkiem wiklinowym krześle, słuchałem klawesynu i płakałem nad "Solidarnością". Nie, nie nad "Solidarnością", ale nad czasem, który minął. A nawet nie nad czasem, tylko nad ludźmi /.../ Żal nad ich konspiracją, nad ich nienawiścią - to jeszcze było w nich najcenniejsze. A i tak się zmarnowało. Ja wiem, że oni nie mieli racji. Ale tak mi się podobałi. Co poradzę, że chciałem być z nimi? /.../ Nie, źle mówię. Nad sobą płaczę, tylko nad sobą. Nad swoją bezużytecznością."

A.H.

---

Tadeusz Sobolewski: "Stare grzechy",  
Wydawnictwo Grup Politycznych "Wola",  
Warszawa 1988.

"CHCICA"

Zdzisław Smektała to prozaik obdarzony tak zwaną łatwością pisania. Konstatacja ta nie odnosi się, rzecz jasna, do realnego aktu twórczego, obfitującego być może w żmudne wysiłki i godziny niemocy, lecz do rezultatu, którym nieodmiennie są utwory sprawiające wrażenie przelanego na papier słowotoku ledwie utrzymywanego w ryzach narracji. Nie wiem, czy Smektała uświadomił sobie ograniczone możliwości artystyczne tak żywiołowego pisarza, gdzie za receptę wystarczał jeden chwyt polegający na tworzeniu zhomogenizowanego konglomeratu językowego, stanowiącego - wedle jednego z krytyków - "magazyn słówek, komplowskich metafor, grepsów, "tekstów" i nawijek, współczesnych anglo-amerykańskich "makaronizmów", haseł i odzywek z peryferyjnej pop-kultury, pomieszanych z nowomową oficjalnych przemówień i papowskich komunikatów". Dość, że w najnowszej powieści zatytułowanej "Chcica" dostrzec można próbę poszukiwania czegoś nowego. Śladem owych wysiłków jest choćby rygorystyczne przestrzeganie stałego, niezwykle sztywnego schematu budowy rozdziału, będącego jakby zaporą przed bezustanną erupcją słów.

Nie znaczy to, iżby Smektała odrzucił najbardziej wyraziste spośród stosowanych uprzednio form ekspresji; już przecież sam irytujący tytuł, konweniując z poprzednimi - "Krzywym ryłem", "Liszajem" i "Picem", dowodzi wierności starym pomysłom. Dominującą postawą narracyjną pozostało więc epatowanie wulgarnością i tworzenie groteskowych zbitek semantycznych, kreujących świat przemieszanych poziomów, w którym wysokie styka się z niskim, patos ze sprośnością, a współczucie z szyderstwem.



Jednak obranie za temat powieści nie jak dawniej żalosego środowiska polskiego show-biznesu czy smutnej rzeczywistości greckich emigrantów, lecz historii katowanego przez UB dziennikarza, zmieniając kontekst, zmienia zarazem znaczenie stosowanych rozwiązań artystycznych.

Cierpienia torturowanego w wymyślny sposób, człowieka podobnie jak kalectwo, wywołać mogą bowiem - wbrew lękowi, jaki wzbudzają - także mimowolny śmiech. I właśnie w tej okrutnej reakcji leżącej u podstaw groteski w sztuce, upatrywać trzeba uzasadnienia języka, jakim autor opowiada o kaźni, którą przeszedł Mikołaj Rej z Nagłowic, oskarżony o to, iż w prowadzonych audycjach radiowych o jazzie przemycił szpiegowskie raporty. Chichot i przerażenie stały się podstawą stylu uderzających swoistą elephantiasis, rojącego się od zestawień typu: "obuta pycha apodyktycznej władzy macała więźnia z choiwością zboczeńca", "obluzgał go szczytnymi wyzwisk", "czuć było odór prymitywnych kłamstw" czy "pryskający wokół uryną wrzasków", by poprzestać na pierwszych z brzegu. Zestawień, w których wulgarności języka, jakim operują prześladowcy Mikołaja Reja, odpowiada wulgarność relacji, a brutalności świata brutalność narratora, raz po raz wpadającego w metaforyczne spiętrzenia ocierające się o bełkot. Owe zbitki semantyczne początkowo ożywiają narrację, stają się z czasem dość nużącym balastem, tym bardziej, że zasada ich generowania jest tyleż przejrzysta, co monotonna i opiera się na jednym schemacie: przemieszania języków z wybijaniem na plan pierwszy wulgaryzmów jako zaplecza dla obrazów, porównań i metafor. Tworzenie kolejnych łańcuchów słów staje się w pewnym momencie celem samym w sobie, jakby znaczenie zdań było fundowane wyłącznie na zabiegu kombinacji odległych od siebie idiolektów. Trudno co prawda odmówić Smektale dowcipu w kombinowaniu

różnych zestawów słownych, ale zauważyć trzeba, że ich stopień ekspresywności zdecydowanie góruje nad funkcją komunikatywną. Gdy w dziewiątym rozdziale powieści narrator informuje, iż brama więzienna wypuła bohatera "jak zdradzona, nieatrakcyjna kobieta, z którą było się, dla pełnej miski, dla interesu lub też z przymusu", niewątpliwie buduje tym swój image twardego człowieka znającego życie, ale cierpi na tym czytelnik i to nie tylko dlatego, iż może nie wiedzieć jak wypuwa faceta zdradzona nieatrakcyjna kobieta, z którą było się dla pełnej miski, ale także z powodu niemożności uświadomienia sobie na czym też miałyby w tym wypadku polegać podobieństwo między prostytutującym się mężczyzną a sponiewieranym więźniem. Często wiat Smektałowych konceptów zdaje się odsłaniać jeden arcy-koncept, będący jakby prawozorem przy kreacji narratora, ów opowiadający o Jasiu, któremu wszystko kojarzyło się z dupą. Domniemanie to jest tym silniejsze, iż pozostałe elementy powieści wyglądają dość blado na tle wątku tyżącego męki Mikołaja Reja. Wykorzystanie stylu - wypracowanego przez Smektałę w poprzednich książkach - do drobiazgowego relacjonowania gehenny, jaką przeszedł dziennikarz, stanowi najciekawszy składnik powieści, będącej próbą artystycznego oddania grozy lat pięćdziesiątych. O ile somatyczny niejako wymiar kaźni Mikołaja Reja z Nagłowic opracowany został w sposób nie tylko oryginalny, ale i - mimo wszystko - niezwykle sugestywny, to rekonstrukcją świadomości uczestników opisywanych zdarzeń uznać należy za chybioną. Czy to dołączone do każdego rozdziału fragmenty zapisków kolegów uwięzionego dziennikarza, czy wynurzenia prowadzących śledztwo oficerów, stanowią zwykły pogłos obecnych dyskusji o stalinizmie i bardzo trudno byłoby je przypisać ludziom z tamtych lat. Z kolei autentyczne odruchy,

jak na przykład antysemityzm rozbudzany przez pochodzenie kadry Urzędu Bezpieczeństwa, sugerowany przez Smektałę jedynie aluzjami co do prawdziwego nazwisk Józefa Różańskiego, nie zyskują żadnego rozwinięcia. Czytelnikowi pozostają więc wywody z prowadzonego z niejasnych powodów dziennika kolegi prześladowanego, a wśród nich banalne przemyślenia typu: "utrzymywanie w przeświadczeniu o przededniu tragedii uzasadniało istnienie bezpieki", "we wszystkich gazetach piszą o reakcjonistach bez miaru, straszą nimi ludzi, niech wreszcie wskażą z imienia i nazwiska, kto to taki", bądź też rozważania pułkownika UB, będącego połączeniem Wielkiego Inkwizytora z Policjantem Mroźka.

Ciekawszym sposobem poszerzenia spojrzenia na lata pięćdziesiąte jest wprowadzenie do powieści kolązu cytatów z ówczesnych książek i prasy. Wszystkie rozdziały, których tytuły są nieodmiennie nagłówkami z gazet z tamtych lat, otwierają dwa autentyczne wiersze z epoki, a zamykają cytaty z prasy - fragmenty drobnych ogłoszeń, doniesienia o nędzach imperializmu i sukcesach obozu pokoju i demokracji. Smektała nie cofa się przed przytaczaniem nazwisk. Podobnie jak w objaśnieniach otwierających książkę wymienia zasłużonych artystów, którzy stworzyli w latach pięćdziesiątych scenografię i muzykę do jego powieści, tak i pod wierszami sławiącymi Józefa Wiszarionowicza czy Feliksa Edmundowicza pozostawia podpisy zaangażowanych twórców. Oczywiście całemu pomysłowi można postawić zarzut braku finezji, ale przecież piarstwo Smektały opiera się na takim dziwnym założeniu, iż wiedza czytelnika zbliżona jest do zera. I tak jak w książkach poświęconych latom siedemdziesiątym odnaleźć można wiele odgrzewanych dowcipów oraz niezbyt odkrywczych i niezbyt śmiesznych

uogólnień w rodzaju: "Polska rosła w siłę, a niektórym żyło się dostatniej", tak i w powieści o latach pięćdziesiątych próżno by szukać olśniewających nowością stwierdzeń.

Oryginalnym wkładem Smektały jest bowiem li tylko narrator - twardy facet rzucający od czasu do czasu komentarze typu: "Krzyż Pański, w który wierzyli przed laty był nieudaną amatorską nowelą" bądź "Biblia po raz kolejny okazała się nieprzydatna, była zaledwie bajeczką dla grzecznych dzieci". Narrator, który korzystając ze wspomnień więźniów UB i dokumentów epoki snuje swoją opowieść, nie przynosi przesłania różniącego się znacznie od zawartych w poprzednich książkach Smektały. Obraz Miłkołaja Reja z Nagłowic, który, gdy wyszedł z więzienia i "przestała go nawet interesować trzoda chlewna rozebranych kobiet, woń fig rozrzucanych w pośpiechu /.../ i przestał tęsknić do zapachu miesięczki Żydówki z Toledo", związał się z człowiekiem dobrze znającym "czar starczych pierdnieć, zgrzyt nie naoliwionych kości", niesie z sobą taki sam mało skomplikowany morał, jak finały "Liszaju" i "Chciwego żywota grajka".

Prostota wiedzy o życiu, jaką serwuje czytelnikom Smektała, każe zadać pytanie o motywy opublikowania "Chcicy" w drugim obiegu. O ile bowiem ukazujące się dotychczas na rynku oficjalnym wspomnienia prześladowanych utrzymane są raczej na niskim poziomie artystycznym i na ich tle "Chcica" wyglądałaby jeszcze jako tako, to w drugim obiegu, który uostępnił czytelnikom arcydzieła wspomnień łagrowych i więziennych, próba artystycznego przetworzenia relacji aresztowanych przez UB, podjęta przez Smektałę, wygląda nieco żenująco. Powieść słą rzeczcy pozbawiona atutu świadectwa, operująca bardzo ograniczonym zasobem środków



artystycznych, nie wytrzymuje konkurencji z pozycjami, nie dość, że posiadającymi walor autentyku, to jeszcze będącymi wybitnymi dziełami sztuki.

"Chcica" wybitnym dziełem sztuki nie jest. Podejmowanie prób wzbogacenia środków wyrazu, zaświadczone w początkowych rozdziałach powieści bądź to wprowadzaniem symultanizmu, bądź elementów fantastyki przypominających nieco Bułhakowa, zostało szybko zaniechane i w efekcie otrzymaliśmy po prostu kolejny Smektałowy słowotok tym razem wciśnięty w gorset sztywnego schematu budowy rozdziału i okraszony feerią cytatów. To zdecydowanie za mało nie tylko w skali bezwzględnej, ale też w odniesieniu do dorobku i rozwoju pisarza, którego siódmą już bodaj pozycją książkową jest "Chcica".

A.H.

---

Zdzisław Smektała: "Chcica". Inicjatywa Wydawnicza Aspekt. Wrocław 1988.

MAREK WOJGIENICA

LUDZIE CHCĄ POEZJI

Niejednokrotnie już zdarzało się, że twórcy antologii natychmiast po skończeniu swej pracy zaczynali żalić się na rozliczne trudności, jakie musieli pokonywać: że poddawani byli różnym naciskom, że zmuszani byli do kompromisów, że musieli liczyć się z nieznośną koniecznością fizycznego ograniczania wyboru, podczas gdy mieli do czynienia z materia, która - jak okazywało się w czasie pracy - w nijakie ramy pomieścić się nie chciała. Na koniec stwierdzali zwykle, że z efektów swego trudu zadowoleni być nie mogą i nie liczą też na pełne zadowolenie czytelników, zwłaszcza tych bardziej wyrobionych. Zwykle wiele było w tym kokieterii - tym więcej, im bardziej widoczne było piętno takich ograniczeń, a to zdarzało się chyba zawsze, gdy antologisci przystępowali do pracy ze zbyt przemożną świadomością ich istnienia. Tak też stało się w wypadku wydanej niedawno przez Wydawnictwo Łódzkie dwutomowej pozycji pt. "Od Staffa do Wojaczka: Poezja polska 1939-1985: Antologia", ułożonej przez Bohdanów Drozdowskiego i Urbanowskiego.

Już samo absurdalne zestawienie nazwisk i dat w tytule pozwala domyślać się, że nie tylko jasno sprecyzowana myśli przewodnia i pragnienie sprostania wymogowi merytorycznej poprawności, towarzyszyły pracy antologistów. Bohdan Urbanowski usiłuje wprawdzie usprawiedliwiać tytuł, twierdząc, że tylko jego druga część faktycznie nazywa zawartość dwóch tomów /dokonując przy tym niezwykłego odkrycia, że kilku wartych uwagi poetów urodziło się później niż Rafał Wojaczek/, zaś umieszczenie w tytule naz-

wisk tych akurat poetów podyktowane było względami handlowymi, ale niczego przecież nie tłumaczy. Zresztą również te względy nie przeszkadzały nazwać książki sensownie, nie miejsce tu jednak na rozważania o handlowym zmyśle niektórych edytorów. Natomiast trzeba wspomnieć, że obecny tytuł nawiązywać miał do innego: "Od Ilły do Wojaczka: Antologia na 202" jakim opatrzony był kiedyś jubileuszowy zeszyt "Poezji" /1982 nr 11-12/. Jego zawartość stanowiła ponoć pierwowzór i punkt wyjścia do dokonania obecnego wyboru. Podkreślali to obaj antologięści, mimo że efekt końcowy odbiegł od pierwowzoru tak dalece, że takie nawiązanie niczemu już nie służy, daje jedynie do myślenia na temat osobliwości logiki kierującej poczynaniami redaktora. Bliższy przegląd tych poczynañ zaczne od przyjrzenia się spisowi autorów, których utwory zdecydowano się zamieścić w "Antologii".

Wydawać by się mogło, że mając do dyspozycji niemal półtora tysiąca stron formatu A-5 można rzetelnie przedstawić esencję twórczości poetyckiej - wielu nawet - twórców, piszących jednak w ciągu niespełna półwiecza. Powierzchnowy rzut oka na spis autorów zdaje się wskazywać nawet, że coś podobnego zostało osiągnięte. Cieszyć musi obecność sporej grupy poetów emigracyjnych, których nazwiska niechętnie dotąd umieszczano w tego typu wydawnictwach i cieszyć musi to, że przedstawiono autorów bardzo różnych, odzwierciedlając wielonurtowość poezji, różnorodność inspiracji i poetyk. Przy bliższym wejrzeniu zaczyna się jednak dostrzegać rażące czasem braki. Dlaczego wśród emigrantów zabrakło np. Bronisława Przyłuskiego albo Bolesława Taborskiego? Czyżby dlatego - w wypadku drugiego - że to jakby pół-emigrant /publikuje w kraju/, jakiś podejrzany osobnik? Do obrazu owej różnorodności też wiele brakuje: na pewno wyborów poezji np. Arnolda Śluckiego, Julii

Hartwig, Stefana Flukowskiego, Lothara Herbsta czy Józefa Gielo, by wymienić tylko takich, których poetyckie światy były - jeden od drugiego - dość odległe.

Z drugiej zaś strony sporo w tym spisie nazwisk, których pojawienie się kazało mi przez chwilę zwątpić we własne rozeznanie we współczesnej poezji. A pierwsze z nich brzmi... Bohdan Urbankowski. Przyznaję, że może gdzieś czytałem jego wiersze, które nie zrobiły na mnie wrażenia albo czytałem jakąś recenzję jego tomu - taką, że nic tam nie kazało mi w stosunku do jego nazwiska kategorii "nieobce" zmienić na "znane". Moim błędem był zapewne brak dostatecznego zainteresowania zmianami personalnymi w redakcji "Poezji". Pozwalam tu sobie na spisywanie tych wstydlivych wynurzeń, jako że właśnie podczas uzupełniania braków w mej wiedzy odkryłem pewną prawidłowość rządzącą wyborem tych słabo mi znanych autorów. Otóż w, pomieszczonych w "Antologii", biogramach kilku z nich /np. Marty Berowskiej, Jerzego Tomaszewicza, Anny Frajlich/ przeczytałem, że działali oni w Konfederacji Nowego Romantyzmu, której prezesował... Urbankowski. Jeżeli więc komuś jeszcze brakuje tam nazwisk bez wątplenia godnych umieszczenia w antologiach, to wyjaśniam, że stało się tak, ponieważ jeden z redaktorów "Antologii" ma kolegów, których lubi i ceni. Można by tu jeszcze prześledzić odzwierciedlenie koneksji i sympatii Bohdana Drozdowskiego, ale szkoda trochę czasu i zdrowia.

Warto natomiast przyjrzeć się proporcjom, w jakich przedstawione zostały dokonania poszczególnych poetów. Taka krawiecka miara wprawdzie nie najlepiej nadaje się do poezji, ale w wypadku antologii staje się jednak jakimś miernikiem rangi, jaką nadaje się czyjejś twórczości. Otóż o ile jeszcze we wspomnianej "Antologii na 202!"



twórczości Bohdana Urbankowskiego /i jego współpracowników z KNR/ nie prezentowano wcale, to teraz poświęcono na to trzynaście stron - tyle samo, ile na pokazanie próbki talentu np. Jarosława Iwaszkiewicza i Mirolna Białoszewskiego. W obydwu tych przypadkach można mówić o skandalu, ale zwłaszcza takie potraktowanie twórczości Białoszewskiego - twórczości nie dość, że obfitej, to przecież stale odnawiającej się i nie znającej momentów skostnienia jest zdumiewające. Ale jakby tego było mało, Bohdan Drozdowski na swoje utwory zarezerwował aż stron szesnaście. Takie właśnie przypadki, a szczególnie te dwa, niewątpliwie rzucają cień na efekty pracy natologistów, mimo, że w większości wypadków ów dobór proporcjonalny odpowiada jakiejś mierze przyzwoitości.

Należy wreszcie zająć się rzeczą najistotniejszą: tym, jak dobierano wiersze poszczególnych poetów. Na temat kłopotów jakie sprawiało ustalenie kryteriów tego doboru, szeroko rozpisuje się w "Słowie wstępnym" Urbankowski. Mowa tam o kryteriach Piękna, Prawdy i Dobra /pisanych właśnie dużymi literami/, których to - ku zmartwieniu antologistów - większość wierszy nie chciała spełniać jednocześnie. Wiele też zostało napisane na temat tła, na jakim wiersze się pojawiały; tła rozumianego jako obraz koniunktur i mód literackich ale też politycznych. Kierując się nimi właśnie postanowiono umieszczać w "Antologii" utwory niejednokrotnie zapomniane już i o mglistej wymowie, ale kiedyś przykładnie trzymające się obowiązujących poetyk, różne utwory programowe i sztandarowe czy cieszące się po prostu chwilową popularnością. Bodaj raz tylko, gdy mowa była o tych kryteriach, padło słowo "oryginalność". Znalaziono więc sporo kryteriów, choć starczyłoby tylko jedno i nie wiersze,

a antologię winni je spełniać. - a jest nim znajomość rzeczy; umiejętność dostrzeżenia w jakiejś twórczości właśnie oryginalnych rysów oraz istotnych artystycznie efektów myślowych i formalnych poszukiwań. To jednak, że Drozdowski i Urbankowski woleli kierować się przez siebie określonymi miarami, sprawiło, że dokonane przez nich wybory chwilami zdają się być dość osobliwe.

Włączono więc do wyborów wielu poetów ich utwory socrealistyczne, również te - poświęcone osobie i myśli Stalina. Tylko, czy antologia p o e z j i to aby odpowiednie miejsce dla takich przypomnień...? Kierowano się tu - zdaje się - owym kryterium "zgodności z 'tłem" /a często może i osobistymi antypatiami/, które jednak okazało się motywacją niewystarczającą by zamieścić kilka wierszy z "Czarnego poloneza" Wierzyńskiego /co nie znaczy, iżbym tylko z tego względu uważał je za godne druku w antologiach/, a jeszcze dziwniejsze, że pominięto wszystkie z "Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada" Miłosza. Wszak tymi głównie utworami "zadrukowano" całą niemal prasę w momencie powrotu poety do krajowego obiegu literackiego. Z kolei chyba zbyt rygorystyczne trzymanie się owych pozaartystycznych kryteriów sprawiło, że wśród wierszy Iwaszkiewicza zabrakło jednego choćby z tomu "Mapa pogody", a te właśnie uznać można za przejaw renesansu jego talentu; jeszcze jeden rozkwit jakby przeczący naturze, bo dokonujący się u kresu życia poety. Najbardziej jednak obciążają antologię te miejsca, w których widać przypadkowość tych wyborów. Raczej owa "przypadkowość" pokierować musiała doborem np. trzech wierszy Jacka Bierieźnina a także utworów Stanisława Barańczaka, który - w ujęciu antologii - jakby "skończył się" po wydaniu "Dziennika porannego", choć nie przestał pisać, o czym

świadczy jeden nowy wiersz przedrukowany z "Tygodnika Powszechnego". Również wielość poetyk w twórczości Ryszarda Krynickiego nie sposób oddać prezentując wiersze jedynie z "Organizmu zbiorowego". W tych przypadkach zadziałała chyba też niechęć antologistów do sięgania po tomy wydane w drugim obiegu /stąd nieobecność późniejszych wierszy Krynickiego, Barańczaka, Zagajewskiego i in./ a także ich patologiczna wrogość wobec twórców Nowej Fali. Zjawiska tego nie zdołali ukryć pisząc "Słowo wstępne" i "Posłowie" /Drozdowski/. W ten sposób wróciłem do własnoręcznie spisanych przez nich wynurzeń i przy nich już stanę, jako że tam tkwi wyjaśnienie wszystkiego, co w dotychczasowych moich uwagach mogło brzmieć nie dość jasno.

Pisząc o kryteriach dobierania wierszy do "Antologii", wymieniłem tylko te, które zostały wprost określone przez Urbankowskiego. Ale są też inne - możliwe do zdemaskowania. Urbankowski pisze mianowicie: "... w stosunku do niektórych twórców, zwłaszcza młodszych, zastosowana została taryfa ulgowa". Przygotowując antologię, ocenia się rangę artystyczną pretendujących do niej utworów i tylko ona je kwalifikuje albo nie, zaś taryfę ulgową, wobec młodszych czy starszych, można stosować najwyżej decydując się na druk ich wierszy w miesięczniku "Poezja". W innym miejscu pisze ten sam autor: "Na późniejsze /niż "Ocalenie" - M.W./ zbiory Miłosza zacznie padać cień oderwania od ojczywej kultury i języka". Nie będę się rozwodził na temat rzekomego "oderwania" Miłosza; chcę tylko zwrócić uwagę, że w zdaniu tym ukryty jest pogląd jakoby pęczęją polską miało być tylko to, co nasze i o nas; w jakimkolwiek teraz i tu. I takiemu rozumieniu polskości rzeczywiście bardziej odpowiada apologie stalinizmu, niż poezje Flukowskiego, "Mapa pogody" Iwaszkiewicza czy "Ciemne świeciło" Wata.

Drugie z cytowanych zdań wyjąłem już z tych części "Słowa wstępnego", w których Urbankowski spisuje - rzekłbym - k r ó t - k i k u r s dziejów poezji współczesnej, który przedstawia się z grubsza tak: na początku był chaos /lata czterdzieste/, potem nastąpiła noc socrealizmu i dopiero od przełomu 1955-56 faktycznie zaczyna się poezja współczesna. Najbardziej zaś przełomowe było pojawienie się twórczości Bohdana Drozdowskiego. Wprawdzie było jeszcze kilku interesujących twórców, ale jego gwiazda zajaśniała najbardziej. Potem już tylko naśladowano jego albo innych "przełomowców", a oryginalniejsze zjawiska wytworzyły się właściwie tylko w kręgach Orientacji Hybrydy i Konfederacji Nowego Romantyzmu. Cały zaś rozwój poezji opierał się na powstawaniu i upadaniu różnych grup poetyckich, pisaniu programów i manifestów i wyklócaniu się twórców. Fakt, że teraz brak jakichś silnych grup świadczy o marnej kondycji poezji. Bodaj podobna była przyczyna owego chaosu z końca lat czterdziestych, kiedy nie istniały już orientacje z czasów okupacji.

Ale dość już tych kpin; wystarczy, że Urbankowski na kilkudziesięciu stronach kpi sobie z czytelników wypisując podobne brednie, używając przy tym różnych precyzyjnych określeń jak "pokolenie '56" czy zastanawiając się nad socjalistycznością niektórych programów poetyckich. Streściłem je tylko po to, by pokazać, jakie to wyobrażenia o poezji współczesnej mogą mieć ci, którzy biorą się za układanie jej antologii.

Trzeba też zaznaczyć, że Urbankowski /nomen omen/ w Urbanowym iście stylu zaczyna swój wywód, impertynencjami traktując samych poetów, a zwłaszcza ewentualnych krytyków "Antologii" i krytyków w ogóle /jednak z niepochlebnej recenzji musiałem



znać to nazwisko/, i że godne tego dopełnienie znaleźć można w "Posłowie". "...łatwo przyjąłem myśl /.../ uczynienia z niej /"Antologii" - M.W./ swoistej biblii poezji polskiej ostatniego niemal półwiecza" - wyznaje skromnie Drozdowski. "A pomieściliśmy w niej wiersze wszystkich orientacji i obozów, nie stosując klucza personalnego, tak lubego dawniej Bermanom, nie tak dawno Łukaszewiczom, obecnie Barańczakom. Poezja nie może być przedmiotem manipulacji /.../ wiem, co to wstręt i wiem, jaki jest obowiązek poety wobec poetów" - zapewnia tenże o swej wiedzy, głębi uczuć i wysokiej moralności. Wstręt właśnie budzi zwłaszcza stawianie Stanisława Barańczaka w jednym rzędzie z komunistycznymi włodarzami, których poczynaniom nie kto inny, tylko właśnie Drozdowski basował. O wierszach zaś wiadomo mi, że pisują je poeci, a nie "orientacje i obozy". Bohdanowi Drozdowskiemu natomiast życzę, by co noc budziły go ze snu jego własne zdania o poezji i manipulacji, i o obowiązku wobec poetów.

Teraz nikogo już nie powinny dziwić wszelkie, sygnalizowane przeze mnie, osobliwości tego wyboru. Nie można spodziewać się, by dobry smak wykazali ci, którym zwyczajnie brak taktu. To zaś, że wydawnictwo akurat takich ludzi wybrało do pracy, której nie zawsze mogą podolać wytrawni filologowie, wiadczy, że ktoś tam postąpił jak niepiśmienny przemytnik kokainy; zarobił pieniądze /trzydziestotysięczny nakład wykupiono bardzo szybko/ nie bacząc na społeczne skutki tego interesu, bo przecież wielu potraktuje "Antologię" jako swego rodzaju podręcznik. A jest ta książka tworem, przy którym tak krytykowana /i słusznie/ przed ośmiu laty antologia "Ze struny na strunę" Andrzeja Lama wydaje się być niemal wzorem poprawności i fachowości. Jest tym, czym jedynie stać się

mogła - kuriozalnym wytworem braku kompetencji jej autorów; jest pochodną różnych fobii, resentymentów i uprzedzeń a także megalomanii dwóch niedowartościowanych poetów i niewyżytych w kierowaniu "Poezją" redaktorów. Jest... jest w niej wiele wierszy na tyle dobrych, że niczyja głupota nie ujmie im wartości i wierzę, że tylko dla nich ludzie tę książkę kupili.

Marek Wojgienica

---

"Od Staffa do Wojaczka". Poezja polska 1939-1985: Antologia". Oprac. B. Drozdowski, B. Urbankowski. Wyd. Łódzkie 1988.

DOROTA CHAMCZIK

VACLAV HAVEL. ZABRANIA SIĘ... ?

Za bramą Uniwersytetu Warszawskiego, podczas wiecu z okazji dwudziestej pierwszej rocznicy wydarzeń marcowych, trwa akcja zbierania podpisów pod listem protestacyjnym w obronie skazanego na dziewięć miesięcy pozbawienia wolności w warunkach zastrzonego rygoru Vaclava Havla. Tego samego dnia na spotkaniu z krakowskimi studentami Adam Michnik relacjonuje swoje wystąpienie podczas premiery jednoaktówek Havla w Teatrze Powszechnym, kiedy to publicznie zaprotestował przeciw ponownemu uwięzieniu pisarza. Jest 8 marca 1989 roku. Teatr Powszechny zaprasza na spektakl Vaclava Havla pt. "Audiencja. Protest." Autor od czternastu dni przebywa w więzieniu. W epoce domniemanych zmian, rewolucyjnych reform "Europy środka" nie zabrakło i wypróbowanych historycznie metod i zaskakująco nowych kontekstów.

Vaclav Havel nie jest politykiem, albo jest nim o tyle, o ile bywa każdy człowiek, wyrażający opinie i sądy o tym, co według niego jest "złe". Jest pisarzem, który uważa za swój moralny obowiązek wypowiadać się pełnym głosem po stronie prawdy przeciwko kłamstwu, po stronie sensu przeciwko bezsensowi, po stronie sprawiedliwości przeciwko niesprawiedliwości. Wyrazem tej postawy jest zarówno jego twórczość dramatyczna, eseistyczna, jak i działalność w ruchu Karta77 i w Komitecie Obrony Nieśluszenie Prześladowanych /VONS/. Havel nie jest wrogiem ludu, choć jego państwo traktuje go jako wroga i niszczy jego wolność pod pretekstem, iż źle tej wolności używa. Jest wybitnym humanistą łączącym w sobie silny imperatyw etyczny z estetycznym - a władza zawsze pragnie zapanować nad takimi ludźmi. Od 1971 roku Havel znajduje się jak wiadomo na liście autorów, których książki usunięto z bibliotek publicznych Czechosłowacji. Jego utwory docierają do czytelników wyłącznie dzięki samizdatowi lub emigracyjnym wydawnictwom. Premierzy i wznowienia jego sztuk odbywają się jedynie poza granicami Czechosłowacji. Wszystko to oczywiście, jak sam przyznaje, nie sprzyja zarówno samej twórczości, jak i recepcji jego dzieł. Przed okresem "normalizacji" Havel był związany, jako kierownik literacki, z Teatrem na Balustradzie. Tam sprawdzał swe utwory i zmieniał je, gdy scena odkrywała ukryte braki. Od kiedy znalazł się na indeksie stracił kontakt z żywym teatrem, nie ma więc tak silnego poczucia obowiązku tworzenia dla sceny. Ale pomimo aresztowań i innych sankcji nadal zajmuje się i polityką /w tej formie, że wypowiada się o niej/ i twórczością dramatyczną. Na tym polega "siła bezsilnych". Pomimo systemowych nacisków nie rezygnują nigdy z niezależnego i artykułowanego życia w prawdzie.

Dwie jednoaktówki, które złożyły się na spektakl w Teatrze Powszechnym powstały w latach siedemdziesiątych. Ich pierwsza premiera w tym teatrze odbyła się w listopadzie 1981 roku. Do 13 grudnia zdołano zagrać tylko jedenaście przedstawień. Na wznowienie trzeba było czekać osiem lat.

Każda z jednoaktówek jest zdarzeniem rozpisany na dwa głosy. Wspólna dla obu jest postać Wańka, będącego porte parole autora; sztuki Havla powstały w oparciu o konkretne doświadczenia życiowe pisarza. "Audiencja" i "Protest" są to sztuki odrębne, ale razem zestawione tworzą całość, której siła oddziaływania jest dużo większa od ich pojedynczych wystawień. Wykorzystał to umiejętnie reżyser warszawskiego przedstawienia - Feliks Falk.

"Audiencja" to dialog pomiędzy majstrem browarnym - Sładkiem /gra go Kazimierz Kaczor/, a Wańkiem - Mariusz Benoit, dramaturgiem czasowo zatrudnionym w browarze przy przetaczaniu beczek. Wybór miejsca pracy nie wynika jednak z chęci poznania środowiska klasy robotniczej przez twórcę w myśl zasad socrealizmu; Havel rzeczywiście zarabiał na życie w browarze w Trutnowie, kiedy został pozbawiony możliwości pracy w Pradze. "Audiencja" rozgrywa się na zapleczu, w kantorze majstra. W głębi sceny za drucianą siatką stoją stopy skrzynek z piwem. Na pierwszym planie biurko, dwa krzesła i oczywiście piwo w skrzynkach. Tak wygląda królestwo browarnika, który wzywa do siebie Wańka celem prowadzenia misternej gry od zadzierzgnięcia z nim bliższych przyjacielskich stosunków poprzez zaofiarowanie awansu na magazyniera, aż do złożenia oferty, aby dług wdzięczności za powyższe łaski spłacał pisanem donosów na siebie samego. Wszystko w ścisłym wzajemnym powiązaniu. Przyjaźń gwarantuje magazyn, magazyn gwarantują donosy, donosy



gwarantują przyjaźń. Jeśli nic z donosów, to nic z przyjaźni, nie mówiąc już o cieplej posadce magazyniera.

Oto intryga na miarę piwnego królestwa. A'propos piwa. Twórcy przedstawienia w pełni docenili rolę, jaką ów napój winien odegrać u źródła - w browarze. Piwo leje się od pierwszej do ostatniej chwili "Audjencji". Waniek musi pić piwo, chociaż mu nie smakuje. Picie jest warunkiem zaaklimatyzowania się pisarza w nowym miejscu pracy i gwarancją zaufania, jakim może go obdarzyć kierownictwo. "Równe" picie to także wyraz klasowej równości. "Audjencja" to jednak nie tylko satyra na robotnika i urzędnika, na dwa typy, z których jeden piwa nie wylewa za kołnierz, a drugi wylewa gdzie może. To nie tylko satyra polityczna o propozycji pisania donosów na siebie samego. Satyryczność tkwi w tej sztuce, ale jej całej nie wypełnia.

Sladek i Waniek to antagoniści. Szef i podwładny, robotnik i inteligent także kat i ofiara. Tyle tylko, że pojęcia "kata i ofiary" nie są precyzyjne: kto tu, jaką, czy do końca i wyłącznie, pełni rolę nie wiadomo. I ten rodzaj wątpliwości, stanowi o randze sztuki i jej prawdzie.

Waniek jest ofiarą systemu. Jest skazanym dysydem. Ale i Sladek to także ofiara systemu, która uległa deprawacji i zastraszeniu. Chce mieć alibi na wszelką ideologiczną okoliczność, jak ów właściciel sklepu z eseju Havla, umieszczający między cebulą, a marchewką hasło "proletariusze wszystkich krajów łączcie się", to dzięki naturze systemu Sladek ulega moralnej degradacji, dostosowuje do niej po prostu własny system wartości. Myśli wyłącznie według konsumpcyjnej skali wartości, na której szczyt znajduje się "romans z aktorką". Nie dostrzega zła w pisaniu donosów, które nazwać przecież można "sprawoz-

daniami". Kiedy Waniek odrzuca ofertę współpracy Sladek reaguje znamienne: urażoną godnością. Wszak ludzie opowiadający się za życiem w prawdzie przedkładają zasady nad człowieka i w ten sposób poniżają tych, którzy muszą zabrudzić sobie ręce, aby inni mogli być czysti. W oskarżeniach Sladka pełno jest żalu, rozgoryczenia i rozpacz. Im bardziej chce być katem tym bardziej staje się ofiarą świata pozorów, w którym ideologia przesłania przepaść między intencjami życia, a intencjami systemu i udając życiową konieczność zniewala, doprowadzając w końcu do tragicznej rozpacz. Sladek zatracą właściwą miarę człowieczeństwa i niszczy własną tożsamość. Postawę dysydencką atakuje ten, za którego ów dysydent nadstawia karku. Obaj wiedzą o rzeczywistości to samo, ale tylko jeden ma odwagę głośno mówić. Drugi w gruncie rzeczy zazdrości tej odwagi, jak przywileju, lecz milczy. Milczenie próbuje usprawiedliwić żałosnymi replikami w stylu "świat sika na zwykłego człowieka".

Sztuka Havla zatacza koło i wraca do otwierającego ją pytania: "Jak leci?". Pierwotną odpowiedź urzędowo zadowolonego Wańka zastępuje teraz stwierdzenie "Życie jest do dupy". Na tym rozmowa urywa się. "Audiencja" skończona. Król jest nagi!

Granica między "Audiencją", a "Protestem" jest w teatrze antrakt szczelnie wypełniony muzyką Karola Gotta. Ta muzyka jest jak kolorowy szlaczek przy długiej i szarej wstążce, jak muślinowy róż w oknie walącego się domu. Trzeba puszczać ją wystarczająco głośno, a stłumi szarość dni, przesłoni ich ruinę i da poczucie, że żyć jest jednak lekko, łatwo i przyjemnie.

W teatrze muzyczny omam trwa parę chwil. Potem wracamy do rzeczywistości. Do "Protestu". W głębi sceny regały z książkami, na jednej z półek górnicza czapka. Na środku przeszklone drzwi do ogrodu, gdzie kwit-

ną "magnolie i morele" /później dowiadujemy się, że to symbol ideału życia gospodarza/. Po jednej stronie sceny piękne biurko, po drugiej wspaniałe fotele i stolik. Jest jeszcze mini-barek. Tym razem zamiast piwa - koniak i słone paluszki. W "Proteście" Waniek zostaje zaproszony przez pisarza, kolegę z dawnych lat, do jego willi. Wkracza na pokoje w samych skarpetkach czego gospodarz, jak przystało na człowieka z duszą artysty, nie zauważa. Rozbiegany w zwiewnym szalu Staniek - gra go Władysław Kowalski - zaaferowany jest sprawdzaniem czy ktoś nie stoi za drzwiami, czy ktoś nie śledził Wańka, czy ktoś jeszcze wie o jego wizycie. Pantofle dla gościa, spokojnie zdziwionego potokiem słów i płasami to z koniaczkami, to z paluszkami, znajdują się dopiero wówczas, gdy Sladek wyjaśni, jaką obrzydliwością napawa go świat, który Wańka wsadził do więzienia, a jemu dał wilgłą i pracę w telewizji. Wtedy dopiero zauważy Staniek nieszczęsne skarpetki Wańka i odegra patetyczną scenę wkładania mu na nogi pantofli. Waniek został zaproszony nie po to jednak, by mógł mu oddać cześć konformista. Wańka zaproszono, by tego członka bractwa podpisywaczy protestów, którzy nic nie mają do stracenia - namówić na następny list protestacyjny w obronie niewinnie więzionego młodego piosenkarza. Który to piosenkarz, ale to tak zupełnie, zupełnie na marginesie, jest ojcem jeszcze nienarodzonego wnuka Stańka. Słowem chodzi o człowieka, o demokrację, prawdę i szczerą protest, a tak zupełnie mimochodem o to, by córka miała męża. Ale - jak donosi Stańkowi Waniek protest jest już gotowy i zaostrzony w sporą liczbę podpisów; jeśli Staniek zgadza się z jego treścią może oto dołączyć i swój. Ta szansa daje początek scenie, która jest majstersztykiem autorskim i aktorskim. Kiedy wiadomo już, że protestu można nie podpisywać, a on i tak

będzie, nie zniknie, bo zorganizowali go specjaliści z dysydenckiego getta, trzeba tylko umiejętnie wykazać zbędność własnego udziału w tej akcji. Przygotowaniem do tego staje się cała galeria drobiazgów, które Władysław Kowalski po mistrzowsku wygrywa. A to nagle okulary zawieruszają się, lampka nie działa, pióro nie pisze, w końcu dochodzi do tzw. głośnego myślenia o subiektywnych oraz obiektywnych aspektach złożenia podpisu. Monolog Stańka jest szczytem sposobu myślenia i argumentowania zwanego dialektycznym. Ostatecznie dylemat czy zostać haniebnie wykorzystaną ofiarą humanizmu i podpisać, czy zostać ofiarą własnych wyrzutów sumienia i nie podpisywać zostaje rozstrzygnięty. Bohater wybiera "subiektywną" klęską i "obiektywne" korzyści.

Jednoaktówki Havla są przyczynkiem do dyskusji o "widmie dysydenctyzmu, które krąży po Europie Wschodniej". Dysydenctyzm to szlachetna specjalność, a zarazem rażąco groźny w swej odmienności nonkonformistyczny wyjątek. Często staje się obiektem przesadnej troski ze strony państwa, w którym przyszło mu straszyć. Prawdziwie napawające strachem powinno być pokazane w obu sztukach Havla, ograniczenie form komunikacji między totalitarną władzą, a społeczeństwem. Donos i list protestacyjny - oto instrumenty porozumiewania rozpowszechnione w realnym socjaliźmie. Donos jest komunikatem o społeczeństwie dla władzy przez nią samą zaaranżowanym. List protestacyjny - prawdziwie zwrotną informacją, znową nieobojętnych specjalistów od moralności. Havel w "Audiencji" i "Proteście" poddał analizie zależność postaw etycznych od tych dwu instrumentów społecznej gry, widząc pozostawiąjąc ocenę moralną niejednoznacznych zachowań bohaterów. Sztuki Havla są na pozór "wesołe", mają urok paradoksalnego



humoru, satyryczną przynętę, jest nawet miejsce na bufonadę. Nasycone są jednak pesymizmem i beznadziejnym metafizycznym niepokojem tkwiącym w najbardziej banalnych czynach. Jest w nich dziedzictwo i Haska i kafki. Teatr odsłania to dziedzictwo w tragicomicznych sytuacjach, piętrzących wątpliwości naszego odbioru i oceny.

Dramatopisarski kunszt Havla widoczny jest w jego umiejętnym panowaniu nad słowem. Havel stwarza świetne teatralnie, bo nie szczeleszczące papierem, role. To język legitymuje jego postaci, jest ich sposobem samorealizacji. W Teatrze Powszechnym aktorzy nie zmarnowali danej im przez autora szansy. Kazimierz Kaczor, potrafił swego "zwykłego człowieka" naznaczyć tragizmem, złamać jednoznaczność jego negatywnych intencji, nie popaść w prymitywizm. Władysław Kowalski stworzył brawurowy portret obłudnie tchórzliwego konformisty - udało mu się jednak przy tym uniknąć nadmiernie karykaturalnego tonu, który zniszczyłby przerażenie i grozę, jaką pomimo swej śmieszności winien napawać. Najtrudniejsze zadanie, bo prawie zupełnie pozbawione możliwości formalnych podpórek, miał Mariusz Benoit - Waniek. Znaczenie jego roli jest tym większe, iż udało mu się osiągnąć autentyczność; jest w niej spokój, pewność swych racji, pokora wobec nałożonych obowiązków, wyrozumiałość dla niedoskonałości innych i siła pozornie bezsilna. Mamy prawo przypisać te cechy samemu Havlowi i innym jemu podobnym. Oni dają świadectwo "prawa do wolności". My po dwóch tysiącleciach patrzymy na powtarzającą się ofiarę Sokratesa.

Na koniec mała uwaga. Program przedstawienia w Teatrze Powszechnym zdobi pewien zestaw znaków: nakaz skrętu w lewo, zakaz zagłuszania porządku publicznego; ostrzeże-

nia - nie wychylać się, szkodzi zdrowiu  
i dwa znaki zakazu z twarzą Havla w tle.  
Powracającym z teatru do domu polecam,  
wyężdżając pamięć i płuca, głośno krzycheć:  
zabrania się zabraniać!  
zabrania się zabraniać!  
zabrania się zabraniać!

Dorota Chamczik

---

Vaclav Havel: "Audiencja. Protest".  
Przekład Andrzej Sławomir Jagodziński. Reż.  
Feliks Falk, scenogr. Krzysztof Baumiller.  
Teatr Powszechny, Warszawa. Prapremiera  
21.X 1981, wznowienie 1989.

# REALIA

ANDRZEJ OSEKA

## POLCUL - "PO WSZE CZASY"

W środowiskach, nazywanych przez partyjne gazety "określonymi środowiskami", fundacja POLCUL znana jest dobrze od lat. Konkretnie - od lat dziewięciu, powstała bowiem w 1980 roku, na kilka miesięcy przed Sierpniem. Założono ją w Australii - z myślą o tych, którzy w kraju organizowali już wtedy drugi obieg kultury - wydawniczy, fonograficzny, oświatowy.

Inicjatorem i jednym z dyrektorów Fundacji /jej pełna nazwa - POLCUL FOUNDATION LIMITED/ jest Jerzy Boniecki z Sydney, przedstawiciel w dziedzinie urządzeń przemysłowych. Inni dyrektorzy POLCUL-u to: Krzysztof Nadolski - adwokat z Sydney, Jan Pakulski - socjolog w Uniwersytecie w Hobart /Tasmania/, Wojciech Zagała - informatyk z Melbourne oraz Dyrektor Honorowy Jan Dunin-Karwicki, wydawca i redaktor "Wiadomości Polskich" z Sydney.

POLCUL nie wspiera instytucji, akcji, inicjatyw - nawet najszlachetniejszych, najpotrzebniejszych. Nie załatwia maszyn, części zamiennych, farby. Pomaga natomiast ludziom, którzy - poza systemem państwowego zezwolenia i kontroli - redagują pisma, organizują wydawnictwa, urządzają wystawy itp. Wreszcie - pomaga samym artystom - tym znanym z niezależności.

Wśród wyróżnionych przez POLCUL znaleźli się /wymienia ich prospekt informacyjny/ znani pisarze, jak Anka Kowalska, Piotr Wierzbicki, Lech Dymarski, Janusz Szpotański, znani historycy, jak Jerzy Łojek, Adam Michnik oraz wielu takich, którzy woleli pozostać anonimowi - artyści, dziennikarze, organizatorzy wystaw, wydawcy, drukarze, kolporterzy. Zgodnie ze statutem Fundacja wyróżnia także działaczy ruchu praw człowieka i obywatela, jak też niezależnych związków zawodowych.

"Jednorazowe świadczenie Fundacji - czytamy w prospekcie - wynosić może minimum \$ 500, a maksimum \$ 1000. Chodzi o to, aby wyróżnienie takie nie było jedynie symboliczne, lecz stanowiło konkretną i znaczną pomoc finansową. W warunkach polskich wspomniana wysokość wyróżnień spełnia ten postulat. Celem udzielenia pomocy jak największej ilości osób, w ostatnich latach wszystkie wyróżnienia wynoszą \$ 500".

Dowiadujemy się /z tego samego, wydanego w ubiegłym roku, prospektu/, że w ciągu ośmiu lat działalności Fundacji jej nagrody otrzymało ponad 400 osób. Obecnie ta liczba przekracza pewnie 450. Nagrody te nazywane są w Polsce "Polkulami", Mówi się: "X dostał Polkula" - co znaczy, że X jest kimś, kto pracuje na rzecz niezależności polskiej kultury i czyja działalność została dostrzeżona, uznana.

Przez kogo? Przez jury, w którego skład wchodzi dwaj spośród dyrektorów Fundacji, Jerzy Boniecki i Jan Pakulski, oraz: Stanisław Barańczak, Mirosław Chojecki, Jerzy Giedroyć, Gustaw Herling-Grudziński, Jan Nowak-Jeziorański, Eugeniusz Smolar, Jakub Świącicki. Osoby - jak widzimy - znane. Członkowie jury rozpatrują kandydatury przysłane z Polski przez osoby prywatne a także przez instytucje takie jak Komitet Kultury Niezależnej, Społeczny Komitet Nauki, Zespół Oświaty Niezależnej. Zgłoszeń jest zawsze znacznie więcej niż nagród, trzeba więc przeprowadzać selekcję, brać pod uwagę dane dotyczące sytuacji życiowej kandydatów. Sytuacja życiowa jest tutaj - co wynika z całej idei POLCUL-u - sprawą szczególnie ważną.



Środki finansowe, jakimi fundacja rozporządza, pochodzą z darowizn osób prywatnych. Obok założyciela POLCUL-u do głównych ofiarodawców należą państwo Krystyna i Bolesław Singler z Melbourne, pani Eudoksja Rakowska z Adelaide i pani Natalia Kułakowska z Sydney. Członkowie fundacji, których jest obecnie kilkudziesięciu, płacą składki; pozwalają one na pokrycie bieżących kosztów operacyjnych /opłaty urzędowe, transfery itp./. Ze wspomnianego prospektu dowiadujemy się, że Fundacja nie jest jedynie przekazicielem zebranych funduszy, lecz stara się je pomnożyć: "Dochody Fundacji składają się z: /a/ odsetków od zainwestowanego kapitału; /b/ rocznych składek - dotacji; /c/ ewentualnych darów czy zapisów". Nie ma tutaj - warto dodać - żadnej biurokracji, żadnego zatrudnionego personelu. "Wszelkie funkcje fundacji sprawowane są na zasadzie honorowej".

Można sobie wyobrazić, że zgromadzenie funduszy, zebranie kandydatów, później - głosów tylu jurorów, przebywających w różnych stronach świata, następnie przesłanie pieniędzy z Australii do Europy, potem do samych wyróżnionych w Polsce - wszystko to wymaga bardzo wielkiej pracy. Trzeba przy tym zachowywać pewną dyskrecję, jako że przyjmowanie /przez ludzi, prowadzących działalność niezależną/ pieniędzy z Zachodu spotykało się zawsze ze strony komunistów z pomówieniami o agenturalność a także z całkiem konkretnymi pogrózkami. Niejednokrotnie chodzi przy tym o działalność, której nie należało nadawać publicznego rozgłosu - na przykład druk prasy niecenzurowanej.

Pozostaje rzeczą do dyskusji: jaki stopień ostrożności potrzebny jest dzisiaj? Wydawać by się mogło, że gdy na Targach Książki w Warszawie dziesięć stoisk zajmują wydawnictwa drugiego obiegu - wszelkie zagrożenia dla kultury niezależnej zniknęły. Tak jednak nie jest: wciąż nie ma nowej

ustawy prasowej, nowej ustawy o upowszechnianiu kultury, wolaż więc działalność kulturalna nie posiadająca państwowego zezwolenia stanowi naruszenie prawa i jako takie może być ścigana.

Może się też wydawać, że wobec zmian zachodzących w Polsce i innych krajach wschodniego bloku ruch niezależnej kultury zaniknie, roztopi się w całokształcie życia kulturalnego narodu i nie będzie już podziałów na różne obiegi, na kulturę popieraną przez państwo i przez nie prześladowaną. Liberalne, pluralistyczne państwo obejmie swym mecenatem wszystko co w sferze kultury istnieje.

Otóż nie: Jakkolwiek potoczyłyby się wydarzenia polityczne, na o p i e k ę państwa nie ma tutaj co liczyć. Nie wypełnia ono - jako mecenas - swych podstawowych obowiązków: w ruinę popadają zabytki, muzea, biblioteki, teatry. Nawet jeśli nie powrócą prześladowania, aresztowania, konfiskaty - sytuacja będzie nadal bardzo trudna: trzeba budować zniszczoną infrastrukturę, trzeba się odbijać w wielu dziedzinach niemal od dna. Wyjście z pozycji kraju pod względem czytelnictwa książek przedostatniego w Europie /za nami już tylko Albania/ - będzie kosztowało wiele pracy. A w każdym razie s z y k a n ze strony byłego monopolisty, ze strony jego aparatu - możemy być pewni.

Pisząc o nagrodach ufundowanych, które będą nosiły imię fundatora /"Wiadomości Polskie", 10.10.1987/ Jerzy Boniecki wyraził się, że będzie tak "co roku po wsze czasy", jako że "nawet w przyszłości, w niepodległej i demokratycznej Polsce, Polcul Foundation będzie nadal wyróżniać wybitnych przedstawicieli kultury polskiej". Dalekowzroczność ta pozostaje w zgodzie z całym charakterem niezwyklej Fundacji, jaką jest Polcul: jego idea - jeśli ją dobrze odczytuję - polega nie na premiowaniu rzadkich, uwieńczonych sukcesem dzieł, lecz na pomaganiu ludziom, wielu ludziom, w pracy często szarej i niewdzięcznej - w pracy, która na codzień tworzy kulturę.

# WYDARZENIA

## ZJAZD STOWARZYSZENIA PISARZY POLSKICH

"Powrotem z diaspory" nazwał Jan Józef Szczepański powstanie SPP. "Mamy za sobą próbę, która wykazała, że coś nas łączy. Okres ośmiu lat, kiedy działaliśmy poza wszelkimi strukturami, okazał się czasem integracji środowiska. Połączyła nas odmowa uczestniczenia w czymś co uznawaliśmy za kłamstwo, uczestniczenia w działaniach niegodnych". Andrzej Braun powiedział to konkretniej: "łączy nas niezgoda na przynależność do nowego ZLP".

Postawa wierności i odmowy; to nie tylko kwestia smaku - jak w znanym wierszu Herberta, to sprawa honoru, powiedział J.J. Szczepański. Wysokie wymagania ideowo-moralne, to motyw, który stale był obecny podczas dwudniowej dyskusji. Oczywisty jako postulat, trudny do ujęcia w postaci przepisu. Zjazd zrezygnował z umieszczenia w statucie formuły o potrzebie wykazania się przez kandydatów "postawą ideową i moralną nie budzącą zastrzeżeń"; uznano za wystarczające kryterium rekomendację dwóch osób wprowadzających. Zjazd odrzuciła także nieliczne próby gapienia pisarzy za to, że w czasie "diaspory" szukali obrony swych interesów w innych - z wyjątkiem nowego ZLP - stowarzyszeniach zawodowo-twórczych, a przeciwnie - złożył oficjalnym związkom podziękowanie za okazaną pomoc. Na konferencji prasowej po zakończeniu zjazdu, wybrany prezesem SPP Jan Józef Szczepański powiedział, że stowarzyszenie pozostanie zamknięte tylko dla "niedużej grupy ludzi, którzy przyczynili się do rozwiązania ZLP i do kłopotów, które nas przez wiele lat nękały" i dodał, że nie spodziewa się, by ci ludzie zechcieli kandydować do SPP.

Wśród członków założycieli SPP znalazła się dość liczna grupa pisarzy, którzy nie należeli do rozwiązanego ZLP. Przede wszystkim ci, którzy nie zdążyli wstąpić, ale w czasie rozproszenia współpracowali z pisarzami pozbawionymi swego związku. Druga grupa, to pisarze polscy pozostający za granicą. Komitet organizacyjny SPP wysłał do nich zaproszenia; odpowiedzieli na nie m.in. Czesław Miłosz, Jan Kott, Gustaw Herling-Grudziński, Jerzy Giedroyc, Józef Czapski, Maria Danilewicz-Zielińska, Tadeusz Nowakowski, Leszek Kołakowski, Stanisław Barańczak, Renata Gorczyńska, Waclaw Solski, Henryk Grynberg, Stanisław Wygodzki, Janina Katz Hewetson. Zjazd potwierdził ich akces, w specjalnej uchwale ponowił też zaproszenie pisarzy na obczyźnie. Specjalnie zaproszono pisarzy polskich w Czechosłowacji, bowiem związek literatów CSSR nie zgodził się na powołanie polskiej sekcji tego związku.

SPP odrzuca mecenat państwowy. "Niebezpieczeństwem polityki kulturalnej jest to, że piastun zamienia się w strażnika. I to była istotna przyczyna rozwiązania ZLP", powiedział prezes Szczepański. Stawia to stowarzyszenie w bardzo trudnym położeniu materialnym. Postulaty rewindykacyjne ograniczono do minimum: udziału w podziale "funduszu martwej ręki" z honorariów za wydania klasyków, zwrotu majątku pochodzącego ze składek, dostępu do biblioteki dawnego ZLP; zjazd upoważnił Piotra Wojciechowskiego do utworzenia komisji rewindykacyjnej. "Związek twórczy nie jest potrzebny literaturze, jest natomiast potrzebny literatom. Powstanie stowarzyszenia ma sens wykraczający poza doraźny interes pisarzy i literatury. Jest to krok ku suwerenności jak najszerzej pojętej" /J.J.Szczepański/.

Przygotowania organizacyjne podjęto na spotkaniu niezrzeszonych pisarzy 14-15 stycznia br. 12 kwietnia komitet organizacyjny złożył w warszawskim sądzie wojewódzkim dokumenty do rejestracji. Rozprawa nie odbyła się, natomiast wydział spraw



wewnętrznych urzędu stołecznego złożył zastrzeżenia do statutu: jedno z tego tytułu, że zamiar objęcia opieką "wszystkich pisarzy polskich" narusza uprawnienia istniejącego ZLP, drugie - że wykluczenie możliwości jednoczesnego należenia do SPP i do nowego ZLP "ogranicza swobody obywatelskie" Statut - zresztą bynajmniej nie z powodu tych zastrzeżeń, które zgłosił urząd - wymaga jeszcze udoskonalenia. Zjazd upoważnił do dokonania poprawek specjalną komisję, która ostateczną redakcję statutu przedstawi na następnym walnym zgromadzeniu.

Pierwsza kadencja władz SPP została ustalona na okres jednego roku. Prezesem jednogłośnie wybrano Jana Józefa Szczepańskiego. O kandydowanie do zarządu głównego poproszono wszystkich członków ostatniego zarządu rozwiązanego ZLP /tak samo - do komisji rewizyjnej i do sądu koleżeńskigo/ i wszyscy uzyskali potwierdzenie ważności mandatów sprawowanych od przeszło dziewięciu lat /w wyborach uzupełniono oczywiście także wakujące stanowiska/.

Zawiadomienia o zjeździe założycielskim SPP rozesłano do agencji informacyjnych, czasopism i do radiokomitetu. Oficjalne środki masowego przekazu nie wydelegowały swoich sprawozdawców, a o obradach zjazdu - poza "Gazetą Wyborczą" i solidarnościowym programem wyborczy w TV - nie było żadnej informacji. Nie było także żadnych przedstawicieli władz i urzędów. Jeżeli połączyć to z odwlekaniem przez rząd rejestracji SPP, wygląda na to, że miał rację Andrzej Braun, mówiąc: "Zebraliśmy się tutaj, ludzie wyjęci spod prawa, pisarze pozbawieni własnego związku, obywatele II kategorii". Próba dalszego ignorowania, nie zauważania stowarzyszenia przez oficjalne czynniki, to tylko strusia polityka. "Ani Kochanowski, ani Mickiewicz nie mieli do czynienia z polityką kulturalną" - powiedział prezes Szczepański.

LEON BOHER

DO WSZYSTKICH PRZYJACIOŁ WOLNEGO SŁOWA

Nowa sytuacja i stare dylematy

Wydawnictwa niezależne stoją dziś przed kolejnym wyzwaniem. Stanowisko 9 firm Konsorcjum w sprawie ujawniania się jest jednomyślnie negatywne. Niebezpieczeństwem obecnej sytuacji jest próba wyparcia nas z marginesu pełnej wolności politycznej na jawną stronę swobody koncesjonowanej. Wszystkie firmy konsorcjum uważają, że należy się przed tym zabezpieczyć. Przeżywamy czas elastycznych represji, w którym policja głównie zbiera dane operacyjne. Nie po to wystawiliśmy nasze książki na Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie, w stoisku "Polska bez cenzury", żeby w imię pierestrojki poddać się dobrowolnie cenzurze. Dopiero nowe ustawy o ustroju sądowniczym i kontroli prasy, publikacji i widowisk pokażą, czy w kraju powstała sytuacja, w której prawa można przestrzegać, nie gwałcąc przy tym swoich przekonań i nadrzędnej zasady wolności słowa.

Relegalizacja "Solidarności" nasila trend do ponownego - jak w latach 1980-81 - skupienia aktywności wydawniczej wokół związku. Przy dotychczasowych zasadach rozdziału funduszy na pomoc dla kraju stwarza to zagrożenie dla licznych, drobnych, ale animujących swoje środowiska, inicjatyw wydawniczych. Jako ci, którzy popierali i podtrzymywali przez lata działalność "Solidarności" pozostajemy zwolennikami różnorodnej, pluralistycznej struktury. W przypadku zamachu na wolności obywatelskie jest ona bardziej odporna na ciosy władzy niż polityczna monokultura. Państwowy monopol wydawniczy chce wiągnąć niezależne oficyny do jawnego życia. Najsilniejsi nawet z niezależnych nie wygrają konkurencji z monopolem państwowym bez

równorzędnego sprzętu i kapitału obrotowego. Po 44 latach komunizmu w Polsce wolny rynek wydawniczy bez pomocy Zachodu przekształcił się w rynek dowolnie koncesjonowany.

### Doświadczenia Konsorcjum

Konsorcjum powstało dla koordynowania i wspomagania niezależnej działalności wydawniczej. Fundusz Wydawnictw Niezależnych, którym kieruje na Zachodzie Irena Lasota i IDEE, służył wszystkim, którzy zwracali się do Konsorcjum o dotacje i swoją produkcją uwiarygodniali ich sens. Pomagaliśmy małym pismom lokalnym, poważnym kwartalnikom oraz oficynom wydającym książki. Status niezależnego wydawnictwa Konsorcjum przyznawało firmie, która wydała 12 książek, nie miała przerw w obecności na rynku dłuższych niż 9 miesięcy oraz przestrzegała praw autorskich i wydawniczych. Pracę Konsorcjum kontroluje Rada Wydawnictw Niezależnych, składająca się z ludzi o niekwestionowanym autorytecie społecznym. Od roku 1989 ma ona jawnych rzeczników. Są nimi: Andrzej Drawicz i Kazimierz Dziewanowski - członkowie Komitetu Obywatelskiego "Solidarność". Zofia Kuratowska - przewodnicząca Fundacji Zdrowia, Wiktor Kulerski - członek RKW Mazowsze.

Konsorcjum wypracowało prawdziwie demokratyczne procedury. W kluczowych kwestiach ruchu wydawniczego formułuje pisemne oświadczenia podawane do publicznej wiadomości. Decyzje zapadają większością głosów członków Konsorcjum. Ewentualne votum separatum musi być publicznie umotywowane: w ten sposób zabezpieczamy się przed próbami manipulacji, wynikającymi z uwikłań politycznych przedstawicieli wydawnictw wchodzących do Konsorcjum. Ruch wydawniczy broni swojej niezależności przez stworzenie zasad pozytywnej selekcji. Zarząd Funduszu grupuje 5-9 najsilniejszych firm wydawniczych, które podlegają corocznej selekcji i rotacji. Np. w 1989 r. ustąpił z Konsorcjum Krąg, który w latach 1982-84 był naj-

silniejszą podziemną firmą wydawniczą w Polsce, a weszły w skład Konsorcjum młode firmy, Pokolenie i PoMOST, które w 1983 i 1986 r. dopiero rozpoczynały swoją działalność. Konsorcjum nie jest ekskluzywnym klubem, lecz ligą najsilniejszych, która dzięki ustaleniu górnej granicy cen na książki chroni masowe czytelnictwo. Każda firma, która zwracała się do nas o pomoc i odpowiadała ustalonym kryteriom, otrzymywała ją. Konsorcjum reagowało i reaguje na publiczną krytykę, czy to z kraju, czy z Zachodu. Pierwotne proporcje rozdziału funduszu między członków Konsorcjum a kilkadziesiąt krajowych oficyn zostały dwa lata temu zmienione, gdyż uznaliśmy, iż pierwotne zasady groziły monopolizacją rynku przez najsilniejszych. Nadal jednak optujemy za poglądem, że jedynym sprawdzianem sensowności rozdziału funduszu jest produktywność firm otrzymujących pomoc. Jednocześnie została przyjęta uchwała, że firmy, które ujawnią swoją dotychczasową działalność nie będą mogły korzystać z pomocy Funduszu Wydawnictw Niezależnych.

### Potrzeby niezależnego ruchu wydawniczego

Nową sytuację polskiej pierestrojki po "okrągłym stole" można testować zakładając jawne ekspozytury firm podziemnych, nie ujawniając jednocześnie dotychczasowej infrastruktury niezależnego ruchu wydawniczego. Tylko takie rozwiązanie pozostawia wyjście ewakuacyjne. Taki ostrożny test wymaga większych niż w ubiegłych latach funduszy dla ruchu wydawniczego. Wydaje się nadto, że obecnej szansy obudowania nowego pola wolności niezależnymi instytucjami nie można wykorzystać bez kolejnego zastrzyku sprzętu i pieniędzy. Na białym rynku wydawniczym w odróżnieniu od czarnego są zwierzęta równe i równiejsze. Czarnorynkowa cena ryzy papieru jest od lat stabilna - jeden dolar. "Wolnorynkowa" cena kupowanej oficjalnie ryzy może sięgać paru dolarów /dwudziestu kilku tysięcy złotych/.



Trudno przyjąć, że władze stworzą niezależnym wydawnictwom te same warunki co partyjnemu koncernowi RSW "Prasa-Książka-Ruch".

Na nową sytuację Konsorcjum odpowiedziało utworzeniem Stowarzyszenia Wolnego Słowa. Zgodnie z ustaleniami "okrągłego stołu" wewnętrzne publikacje stowarzyszeń mają być wyłączone spod cenzury. Powstaje sieć Klubów Książki Niecenzurowanej. Łączność między wydawnictwami a czytelnikami zapewnić ma dotychczasowy biuletyn Konsorcjum "Obieg". W najbliższych miesiącach przekonamy się, czy książki niezależnych oficyn z nadrukiem "Stowarzyszenie Wolnego Słowa" i drukujące je jawnie drukarnie staną się przedmiotem represji. Przekonamy się niebawem, czy Stowarzyszenie Wolnego Słowa zostanie zarejestrowane. Wierzymy, że tak jak dotychczas, wolności dostaje się tyle, ile jej się samemu bierze.

Apelujemy do wszystkich przyjaciół wolnego słowa w Polsce i w świecie o wsparcie tej kolejnej fali ewolucyjnej rewolucji.

Warszawa, 3 czerwca 1989

CDN

IWA

Myśl

NOWa

Oficyna Literacka

Pokolenie

PoMOST

Przedświt

Wola



Warsz. 2299

Kosz. 2299

500.-



- WYDAWNICTWO -  
**PIEKARSKI**  
1980  
WARSZAWA